

Steinar Bragi

Kobiety

© Copyright by Steinar Bragi, 2008

Title of the original Icelandic edition: Konur

Published by agreement with Forlagi\$, www.forlagid.is

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Ioro
Wydanie I

Printed in Poland

ISBN 978-83-61006-99-2

Redakcja i korekta: Anna Sidorek

Projekt okładki: rzeczyobrazkowe.pl

Układ typograficzny i skład: rzeczyobrazkowe.pl

Na okładce wykorzystano zdjęcia Marzeny Michałek i Johana Palla.

Druki oprawa: .. • www.opolgraf.com.pl

Wydawnictwo Krytyki Politycznej

ul. Nowy Świat 63

00-042 Warszawa

www.krytykapolityczna.pl

redakcja@krytykapolityczna.pl

Seria Literacka,

Steinar Bragi

Przekład z islandzkiego Jacek Godek

◆ WYDAWNICTWO KRYTYKI POLITYCZNEJ

Część pierwsza

MASKA

— Po co? — zapytała, odwracając się od okna.

— Żeby mieszkańcy mogli czuć się bezpieczniej

— odparł z cieniem sarkazmu w głosie. — Tak myślę.

Nie wiem.

Stał ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami pośrodku salonu, uśmiechnięty, wbijając wzrok w podłogę. Oprowadzając ją po apartamencie, nie patrzył jej w oczy, chyba że przypadkiem, ale wówczas szybko odwracał spojrzenie. Jednak kiedy nie widziała, bacznie jej się przyglądał.

— To już chyba wszystko — powiedział po krótkiej pauzie. — Jeśli cokolwiek będzie nie tak, proponuję porozmawiać z recepcjonistą. I oczywiście masz mój telefon.

Niespiesznie ruszył do przedpokoju, a ona za nim, jakby tu mieszkała i odprowadzała gościa do drzwi,

co było kompletnie niedorzeczne. Nacisnął guzik obok stalowych drzwi windy pomalowanych na jasnobrązowo z ciemnymi słojami, tak by przypominały drewno.

— Jeszcze tylko jedno — rzucił. — Będą wyposażali mieszkanie obok, o którym ci mówiłem. Gdyby zańd- to hałasowali, dasz mi znać.

Otworzyła się winda. Wszedł do niej i ostatnie, co zauważyła, zanim drzwi zamknęły się z cichym szelestem, był jego niepokojący uśmiech.

Uklękła w salonie przed telewizorem i zmieniała pilotem kanały, dopóki nie znalazła kanału 14, o którym facet wspominał. Na ekranie pojawił się kiepsciutki, mocno ziarnisty obraz, rejestrowany przez kamerę monitoringu w holu. Ukazywała widok z góry, eksponując siwą głowę recepcjonisty, z którym przywitała się, wchodząc do budynku. Siedział przy biurku wpatrzone w ekran monitora. Poza tym hol był pusty. Na krawędzi kadru majaczyły drzwi windy; rozsunęły się i wyszedł z niej mężczyzna, który przed chwilą pokazywał jej apartament. Przeszedł obok recepcji i zniknął z kadru.

Absurdalne — pomyślała, uśmiechając się do siebie — ale wśród mieszkańców zapewne równie popularne, co reality TV. Zerknęła w stronę znajdującego się pod ścianą salonu barku, ale swoje kroki skierowała do kuchni, by zaparzyć sobie kawy.

Mężczyzna, którego imię natychmiast zapomniała, przedstawił się jako prawnik Emila Thorssona. Nie był w stanie powiedzieć jej nic, czego by wcześniej nie wiedziała. Kobieta, która mieszkała tu ostatnio, wyjechała w kilkumiesięczną „podróż” — szczegółów jednak nie pamiętała.

Emil reprezentował islandzki bank w Nowym Jorku i zaproponował jej darmowe korzystanie z apartamentu podczas jej pobytu w Islandii; w zamian miała zająć się kotem, podlewać roślinki i sprzątać. Z początku pomyślała sobie, że facet usiłuje ją zbajerować, a ta propozycja jest częścią jakiejś dalekosiężnej strategii, ale teraz już nie była tego pewna — nie spodziewała się aż takiego przepychu, nie dwustumetrowego apartamentu na najwyższym piętrze wieżowca nad brzegiem zatoki. To byłaby przesada. Poza tym nie zastała tu żadnych roślin do podlewania, żaden kot nie plątał się po mieszkaniu, a mimo że sama nigdy nie miała kota i zupełnie nie znała się na zwierzętach, wydało jej się mało prawdopodobne, by — zważywszy, że to najwyż-

sze piętro wieżowca — zwierzak był w stanie wyruszyć przez okno na włóczęgę.

Czekając, aż zaparzy się kawa, przechadzała się po salonie wyłożonym szarawym parkietem i umeblowanym czarnymi, szarymi i białymi meblami ze skóry, szkła i metalu. Gładkie i lśniące płaszczyzny organizowały przestrzeń, jakby z góry założono, że nie da się uczynić jej ludzką. Jedynym kolorystycznym akcentem w salonie były obrazy: Madonna Kristin Gunnlaugsdottir i Ocean w deszczu Geoga Gudnego.

Na tej samej ścianie znajdował się również kominiek, półokrąg z rustykalnych, ciemnych cegieł, ze złoconą, zdobną w kwiaty metalową ramą; dość idiotyczny widok w tak nowoczesnym, minimalistycznym wnętrzu.

10

Stała całkiem długo, przyglądając się obrazom. Falsyfikaty — oceniła, ale nie myślała na tyle jasno, by odpowiedzieć sobie, dlaczego tak sądzi. Po prostu wiedziała, ale wiedziała też, że nikomu o tym nie powie. Chwilowo miała dość swoich kłopotów i w cudze nie chciała się mieszać.

Otworzyła drzwi w szklanej ścianie biegnącej w poprzek salonu i wyszła na taras. Lustrzane szkło sprawiało, że nie można było zajrzeć do środka apartamentu. Na wyłożonym boazerią tarasie rozstawiono gliniane donice z drzewkami; liście zaczęły opadać i gromadziły się w rogu przy podeście, na którym znajdowało się gorące jacuzzi.

Ponad ścianą oddzielającą apartament od sąsiedniego mieszkania biegły kable elektryczne — alarm przeciwłamaniowy, powiedział gość, na wypadek gdyby, co mało prawdopodobne, komuś udało się włamać do jednego z apartamentów, miał chronić drugie mieszkanie przed włamywaczem; albo gdyby mieszkańcom samym zachciało się wspinać po ścianach, dodał ze śmiechem. Ale apartament obok stał pusty.

Spojrzała na zatokę, górę Esję i półwysep Snaellfellsnes w oddali. Morze było spokojne, a lodowiec roztaczał wokół czerwony blask. Wypełniło ją uczucie smutku i czegoś na kształt klaustrofobii.

Kiedy kawa była już gotowa, zapaliła papierosa i bezradnie zastanawiała się, co teraz zrobić — rozpakować walizkę, rozgościć się — ale niczego nie zrobiła. Włała w siebie kawę i laziła bez celu po salonie, prawdopo-

dobnie pięć razy większym od całego wynajmowanego przez nią i Hrafna mieszkania w Nowym Jorku.

Ogarnęło ją przemożne pragnienie, by do niego zatelefonować, lecz udało jej się nad nim zapanować. Usiadła na jednym z wysokich obitych skórą stołków przy barze, przez chwilę skanowała wzrokiem butelki na półkach, po czym naląa sobie pojedynczą whiskey, którą pochłonęła jednym haustem. Potem napełniła wielki kieliszek białym winem i z przyjemnością je sączyła. Pomyślała, żeby zamówić coś do jedzenia, ale uznała, że to zbyt skomplikowane i wymaga ułożenia całej strategii, zgrania ze sobą zbyt wielu elementów: dokonania wyboru dania, z czym zawsze miała kłopot, podania numeru domu, którego nie знаła, numeru apartamentu, którego nie pamiętała — dostarczyciel, recepcjonista, winda, dostęp do ostatniego piętra, klucz do windy. Nie potrafiła usiedzieć na miejscu, postanowiła więc cały czas się poruszać. Z kieliszkiem w ręku dreptała po mieszkaniu, rozglądając się za kotem. — Kici, kici, kici — nawoływała cichutko, chodząc w kółko po mieszkaniu.

Gdy później, w nocy, przeszła do sypialni, aby się położyć, spojrzała na ścianę nad łóżkiem. Choć była pijana, zauważyła coś, co przypominało wgłębienie w ścianie, nieduży cień w białej płaszczyźnie wydobyty dzięki światłu padającemu z sufitu.

12

Wdrapała się na łóżko i na palcach zbliżyła do ściany. Na wysokości jej twarzy znajdowało się owalne wgłębienie, jakby gładka miseczka wydrążona w ścianie; mniej więcej w środku wgłębienia było drugie, mniejsze, pogłębiające się ku dołowi, a z obu stron środkowego wgłębienia, nieco wyżej, znajdowały się dwa inne, mniejsze, wielkości migdałów. Im dłużej wpatrywała się w ścianę, tym bardziej zawiły stawał się wzór i tym więcej widziała wklęsłości i krzywizn, oplatających się wzajemnie. I nagle zdała sobie sprawę, że patrzy we wnętrze twarzy, czy raczej odlewu czyjejś twarzy — maskę, która została „wrzeźbiona” w ścianę. — Dzieło sztuki — wymamrotała w ciszę panującą w pokoju, jakby czuła potrzebę skonfrontowania słów z tym, co widzi. Poszukała podpisu artysty, lecz nic nie znalazła. Stereotyp maski, pomyślała, schodząc z łóżka. Ściągnęła zeń narzutę, zrzuciła ją na podłogę i uwiła sobie gniazdko pod miękką kołdrą należącą do wyposażenia apartamentu. Lęk przed niemożnością zaśnięcia z powodu myśli o Hrafnie ustąpił przed przygniatającym

uczuciem zmęczenia, i wreszcie zasnęła.
Na ścianie ponad jej głową maska połyskiwała
w blasku górnego światła, które zgasło po chwili z nie-
wiadomych przyczyn, pogrążając sypialnię w ciemno-
ściach.

ZMARŁA KOBIETA

Obudziwszy się rankiem, poczuła się lekka, tak lek-
ka, że rozciągnęła ramiona i wydała krótki, radosny
okrzyk.

Nie całkiem zapomniała o kłopotach poprzednich
dni i tygodni, ale te na tyle się oddaliły, że mogła o nich
nie myśleć. A wypity poprzedniego wieczoru alkohol
pozostawił jedynie lekki szum w głowie i suche usta.

Nic wielkiego. Do tego zdążyła przywyknąć.

Zaczęła dzień od gorącego prysznica, po czym
wyszczotkowała zęby i przyjrzała się wannie — wolno
stojącemu antykowi na czterech lwich nogach z brązu;
umywalce kształtem przypominającej muszelkę; po-
złacanym wieszakom, uchwyтом na papier i ręczniki;
podwójnemu prysznicowi w tym gładkim świecie czar-
nych kafli. Mieszkanie zdawało się wciąż fluktuować
pomiędzy dwoma światami: współczesnym, bezoso-
bowym minimalizmem stali i gładkich powierzchni
a wiktoriańskim, zdobionym kwiecistymi ornamen-
tami i złoceniami.

Wytała się ręcznikiem wyjętym z walizki i stanęła
na wadze, by potwierdzić, że jest nadal o pięć kilo
lżejsza niż półtora miesiąca temu, i weszła do garde-
roby wypełnionej drążkami, wieszakami i szufladami.

14

Ciuchy, które w niej powiesiła poprzedniego wieczoru,
zdawały się teraz jakieś nieistotne, wzbudzające współ-
czucie, a ta przepastna przestrzeń pozbawiała je duszy.
Ubrała się i postanowiła jak najlepiej wykorzystać
swoją wesołą nastrój, dopóki trwał, i wyskoczyć do
piekarni, którą zauważyła nieopodal domu. Włożyła
płaszcz, wsunęła klucz do kieszeni, przeszła do przed-
pokoju i zawołała windę. Zjeżdżając w dół, przyglądała
się drzwiom windy — było ich dwoje. Wcześniej nie
zwróciła na to uwagi. Ale to akurat chyba łatwo wy-
tłumaczyć; jeśli jedne drzwi windy prowadziły do jej
apartamentu, to drugie musiały do mieszkania, które
stało puste.

Hol był wyludniony, nikogo za kontuarem. Dzień
wcześniej recepcjonista przedstawił się jej i przywitał ją
w apartamentowcu — siwy, zadbany mężczyzna ubrany
w coś na kształt uniformu: czarne spodnie i granatową

koszulę. Pewno nieszkodliwy gość, ale cieszyła się, że teraz go tu nie ma i że nie musi gadać, opowiadać, jak to dom się jej podoba, wysłuchiwać komentarzy na temat czegoś, o czym nie ma pojęcia, na temat siłowni czy parkingu, czy czegoś innego również nieistotnego. Na zewnątrz było dość ciepło, powietrze pachniało rurami wydechowymi i silnikami, a tło stanowił delikatny zapach morza. Po drugiej stronie hałaśliwej czteropasmowej ulicy pysznił się Słoneczny Wojazer, rzeźba stojąca na brzegu, przypominająca kształtem szkielet statku wikingów, dalej rozlewały się wody zatoki, a za nimi wznosiła się Esja, góra, która zawsze

15

zdawała się jej niewysoka i płaska, a teraz jakby znajdowała się dziwnie blisko miasta, niemalże wyrastając nad nim.

Weszła do piekarni ulokowanej na parterze pobliskiego wieżowca i zrobiła zakupy śniadaniowe. W drodze do domu zatrzymała się, by spojrzeć na obłoki przesuwane przez krajobraz od zachodu. Ochłodziło się, znad morza szybko nadciągały chmury, domy nad brzegiem pogrążyły się w cieniu, a Esję pochłonięła szaruga. I zaczął padać deszcz.

Biegła w ulewie, największej, jaką zdarzyło się jej przeżyć w Islandii, rozglądając się za numerem jej nowego domu, lecz nie była w stanie niczego zobaczyć; w końcu jednak udało jej się trafić. Wskoczyła do holu i otrząsnęła się z deszczu.

— Dzień dobry — usłyszała. Podniosła wzrok. Za kontuarem stał recepcjonista, inny niż poprzedniego dnia. — Widzę, że się rozpadło. — Uśmiechnął się. — Tak, jakoś tak nagle. — Starła wodę z twarzy i przestępując z nogi na nogę, przyglądała mu się. Niepodobny był do wczorajszego: młody, z wielkim nosem i szeroki w barach, lecz ubrany tak samo: poliestrowe czarne spodnie i granatowa koszula z plaketką z imieniem Snorri. Ekran jego komputera podzielony był na kwadraty, ukazujące różne pomieszczenia w budynku: windę, rzędy drzwi, coś, co przypominało siłownię i jakąś postać na bieżni.

— Nowa lokatorka — powiedział Snorri, w trybie raczej oznajmującym niż pytającym. — Jakbyś

16

miała jakieś potrzeby lub chciała się dowiedzieć czegoś na temat budynku, daj mi znać.

— Poradzę sobie — odparła i wyciągnęła rękę, by się

przedstawić. — Eva. — Uścisnęli sobie dłonie.

— Snorri — rzekł, wskazując odznakę.

Jak się spodziewała, do rozmowy wkradła się pewna niezręczność i pospolitość. Żadne z nich nie wiedziało, gdzie kończą się stosunki oficjalne, a zaczyna zażyłość.

Taka wszechobecna poufałość powszechnie panoszy się zresztą wśród Islandczyków. Marni rozmówcy, jeden prostak rozmawiający z drugim, nie radzą sobie z praktyką podziałów klasowych, być może dlatego, że ich istnienia nigdy w kraju nie potwierdzono. Ludzie niezdolni są do zbliżeń z tymi, którzy sprawują nad nimi władzę, w każdym razie tę wynikającą z zakresu obowiązków, bez ryzyka zmiany stosunków w zbyt bezceremonialne lub nadmiernie formalne. W odróżnieniu od większych narodów, które wykształciły konwenanse zapewniające większy dystans między ludźmi, ograniczając tym samym niezręczności.

Tak bardzo podziałało jej to na nerwy, że prysnął dobry nastrój i pogoda ducha.

Ktoś chrząknął za jej plecami.

Obróciwszy się, ujrzała siedzącą na sofie pod oknem starszą kobietę, która najpewniej przebywała tam cały czas, choć Eva jej wcześniej nie zauważyła.

Wyglądająca na jakieś sześćdziesiąt lat kobieta odłożyła czasopismo i zbliżyła się do niej. Była wysoka i szczupła, o uderzająco czerwonych ustach kontrastu-

17

jących z bladą cerą, włosach długich do ramion, czarnych, niemal fioletowych, przypominających skrzydła kruka. Eva odniosła wrażenie, że kobieta czekała tu na jej powrót z piekarni.

— Wybacz bezpośredniość, ale nic na to nie poradzę, że usłyszałam waszą rozmowę i pomyślałam sobie: kim jest to piękne, młode dziewczę? To musi być nasza nowa lokatorka! Bergthora jestem.

— Eva... — odpowiedziała Eva z wahaniem, zupełnie jakby szukała potwierdzenia, że to na pewno jej imię. Kobieta uśmiechnęła się.

— Oczywiście. Eva. Pięknie. Cokolwiek byś robiła, Evo, nie pozwól Snorriemu rzucić na siebie uroku. On tu jest głównym czarusem — powiedziała sztucznie, machając do recepcjonisty. — A więc ty jesteś ta nowa. Widzę, że znalazłaś drogę do piekarni. Pierwsze śniadanie w nowym mieszkaniu zawsze jest bardzo ważne. Nadaje ton. Mieszkam w 10-2, piętro niżej. Razem pojedziemy windą, z pewnością nie po raz ostatni. — Wybuchła dziewczęcym, jasnym śmiechem, dotknęła ramienia Ewy i wskazała na kamerę nad biurkiem re-

cepcjonisty. — A teraz pomachajmy na pożegnanie Elin z4-2, niech ma o czym myśleć. Siedzi tam i obserwuje nas, zawsze biedaczka siedzi i obserwuje. Wiesz, że jest transmisja z holu na kanale 14?

— Mówiono mi...

Kobieta podniosła rękę do kamery i pomachała.

Eva także uniosła dłoń, niemal bezwiednie, pomachała do kamery i pozwoliła starej poprowadzić się do windy.

18

— Inni też obserwują — kontynuowała kobieta.

— Tego możesz być pewna. Nie tylko mała Elin. Nigdy nie wiadomo, co tym chłopakom przyjdzie do głowy wyczyniać za biurkiem... — Obejrzała się przez ramię i podniosła głos: — Kiedy myślą, że nikt nie widzi!

— Nigdy nie wiadomo? — krzyknął za nimi Snorri, uśmiechając się szeroko. — Poczekaj, a sama zobaczysz! Dziś o północy! — Weszły do windy i drzwi się za nimi zamknęły.

— Które, mówiłaś, piętro? — Eva zawahała się przy tablicy z guzikami, ale kobieta jej przerwała:

— Najpierw odwieziemy do domu ciebie. Nie użyjesz klucza? To dojedziesz tylko do piętra poniżej.

— Eva wyciągnęła klucz z kieszeni płaszcza. Wyglądał jak szpila z błyszczącym okiem i z pewnością był sprzętem elektronicznym. Włożyła szpilkę do dziurki obok guzika oznakowanego numerem 'jedenaście', przekreśliła go i świecące oko dwukrotnie mrugnęło. Winda ruszyła.

Kobieta przysunęła się do lustra na ścianie i zaczęła poprawiać szminkę, podczas gdy Eva zastanawiała się nad słowami recepcjonisty.

— O co chodziło temu cieciowi? — spytała. — Dziś o północy?

— Elin porusza się na wózku inwalidzkim — rzekła kobieta, jakby nie słyszała pytania Ewy. Odwróciła się od lustra. — To straszne dla trzydziestolatki. Zostawił

* W Islandii parter określa się jako pierwsze piętro.

19

ją po wypadku. Ten chłopak z banku Glitnir. Znałam Marie, tę która mieszkała przed tobą w apartamencie. Wiedziałaś o tym?

— O Marie?

— Zdziwiona?

— No cóż... Nie znam nawet jej imienia. Marie? Była Francuzką? Przepraszam, ale ja nic nie wiem. Jej przyjaciel odstąpił mi apartament tylko na czas określony.

Do jej powrotu. Żeby podlewać kwiatki i podobno ma tu być kot?

— Do jej powrotu? — powtórzyła kobieta spokojnie.

— Powiedziałaś, że do jej powrotu. Co masz na myśli?

— Rzekomo pojechała na jakąś wycieczkę. Do Azji?

A ja mam nadzieję, że zatrzymam się tu tylko przez kilka tygodni... pewno dlatego odstąpił mi to mieszkanie za darmo.

— Marie nie żyje — powiedziała kobieta w chwili, gdy otworzyły się drzwi windy. — Myślałam, że o tym wiesz, inaczej nie pakowałabym nosa do nie swojej sprawy.

— Nie żyje? Ale ten facet, Emil, który odstąpił mi mieszkanie, nic o tym nie mówił, powiedział, że pojechała w podróż...

— Pewno nie chciał cię wystraszyć. Emil. Znam Emila. W porządku człowiek. Kulturalny. Nie z tych bezbożników, którymi stary Dawid tak bardzo pogardzał.

— Nie rozumiem — dziwiła się Eva, stojąc w drzwiach windy, które się otwierały i zamykały przed jej stopami. Usiłowała poukładać sobie to wszystko. — A jak zmarła ta kobieta? Marie?

20

— Dziewczyna, Evo. Mniej więcej w twoim wieku.

Ale inna. Tobie spryt patrzy z oczu. Jakbyś siedziała we własnym wnętrzu i wyglądała na zewnątrz - rzekła kobieta żartobliwie. — Za dużo myślisz! Wyluzuj. Jesteś zbyt młoda, by tak się zachowywać.

Eva wyszła z windy do przedpokoju swojego nowego i wciąż obcego mieszkania. Stara przyglądała jej się uważnie z bezczelnym pragnieniem w oczach i nim Eva zdążyła się zastanowić, podniosła torbę z pieczywem i zaproponowała starej wspólne śniadanie.

— Chodzi ci raczej o lunch? Nie mam nic przeciwko. — Stara weszła do apartamentu. — I może to i owo opowiem ci o tym mieszkaniu, coś, czego nie wiesz. A najwyraźniej wiesz niewiele.

„ZAWSZE JEST CHŁOPAK...”

Podczas gdy Eva nakrywała do stołu i przygotowywała kawę, stara krążyła po apartamencie, zaglądając w różne kąty.

Eva znalazła ją w pokoju projekcyjnym.

— Te wszystkie filmy! — odezwała się stara, Bergthora albo Begga, jak chciała, by ją nazywano. Trzy ściany całkowicie niemal zastawiono pudełkami z filmami, a czwarta, pusta, przeznaczona była na ekran dla projektora umocowanego do sufitu. W pokoju nie było okien. — Sama nigdy nie zakochałam się w filmie jako

formie sztuki, nie specjalnie. Dla mnie to zbyt tajemnicze — dodała, obracając jedno z pudełek w dłoniach, po czym odłożyła je na półkę.

Eva poprosiła ją do stołu. Przeszły do salonu, gdzie po parkiecie przechadzał się kot, bury i smukły. Eva zatrzymała się.

— Och! — ucieszyła się. — Nie wierzę własnym oczom... Kot!

— I co z tego? — stara podeszła do zwierzęcia.

Kot miał gęste futro, przez jego grzbiet biegły czarne pręgi. Spojrzał na nie świdrującym wzrokiem.

— Po prostu myślałam, że... nie widziałam go wcześniej, nie miałam pojęcia, gdzie jest. A mam się nim opiekować.

22

— Ja i kicia zupełnie obcy sobie nie jesteśmy — rzekła stara, znalazłszy się obok kota. Uklękła i podrapała go za uchem. — Czyżby to był nasz malutki Hógni, mój przyjaciel? — Hógni potrząsnął głową, obnażył zęby i prychnął cicho na staruchę. Gwałtownie cofnęła rękę. Obie patrzyły, jak zwierzę przechodzi przez salon i idzie ku korytarzowi prowadzącemu do sypialni.

— Niedobry Hógni — rzuciła baba rozdrażniona jego reakcją.

— Może powinniśmy go nakarmić? — zastanowiła się Eva, lecz stara kazała jej się nie przejmować, bo na pewno zauważy, kiedy kot będzie głodny.

— To bezczelna bestia. Zawsze mówiłam Marie, że on ją zeżre, jeśli nie będzie uważała...

— Ciekawe, skąd się wziął? Nie widziałam go wcześniej — powiedziała Eva, a stara odparła, że koty chodzą własnymi ścieżkami.

Podczas lunchu Eva stwierdziła, że wciąż jeszcze usiłuje się zorientować w nowej sytuacji, że się nie boi i nie ma zamiaru zmieniać swoich planów, ale chciałaby wiedzieć, co się wydarzyło w tym mieszkaniu.

— Wydarzyło... Spodziewam się, że ciągle chodzi ci o Marie? — Stara wybuchła krótkim śmiechem. — A jakie to ma znaczenie? Ty jesteś tutaj! Dlaczego się tym przejmujesz? Zmarła i tyle. Wszyscy umierają.

— Dlatego, że to ważne! — krzyknęła Eva. — Mieszkam w jej mieszkaniu! Była młoda, a to oznacza, że nie zmarła w domu starców czy na zawał, mogła przecież umrzeć tutaj. I nie przejmuję się tym, po

23

prostu się dziwię. Bo jest zupełnie inaczej, niż mi mówiono...

— A nie sądzisz, że młodzi ludzie też mogą umrzeć?
— Oczywiście, że tak. — Eva zaśmiała się z przymusem. — Ale nie z tych samych przyczyn.
Umilkły, a stara zdawała się nad czymś zastanawiać. Widelcem włożyła sobie kęs do ust. Eva nigdy nie widziała, by ktoś jadł drożdżówkę sztucami. Starła się uspokoić, choć ani nie chciała, ani nie mogła.
— Tak — odezwała się w końcu — prawdę mówiąc, przejmuję się. Chcę wiedzieć, czy zmarła w mieszkaniu. Na przykład na krześle, na którym siedzę? Czy ktoś się włamał i ją zabił, czy może... Jak ona umarła?
— Eva zadała pytanie w sposób tak opanowany, jak tylko mogła i przez chwilę miała wrażenie, że wypowiada kwestię w filmie, że tekst napisany został przez kogoś innego i przydzielono go jej; jakby grała postać, która staje się coraz bardziej znerwicowana i zalękniona w obliczu niezrozumiałej dla niej sytuacji. Główna bohaterka filmu, która nic nie wie, mniej nawet od widza, bo ten ma przynajmniej świadomość, że nabył bilet na horror i wie, że prowadzą ją gdzieś, gdzie nie powinna się znaleźć. Odpędziła jednak od siebie te myśli. Stara przestała żuć drożdżówkę, otarła usta serwetką, złożyła ją i odłożyła na miejsce.
— Wyjaśnij ci to — wolno i chłodno cedziła słowa, wbijając wzrok w Evę. — Skoro się tego domagasz. Ale wątpię, by jej rodzina życzyła sobie, aby o tym mówiono, a ja chciałam to uszanować, nie miałam zamiaru

24

siedzieć tu i plotkować, lecz mnie do tego zmuszasz: Marie się zabiła. Zginęła z własnej ręki. Popelniła samobójstwo, i to tu, w tym mieszkaniu. Nie wiem gdzie i nie wiem jak. Zadowolona?
— Tak podejrzewałam — skwitowała Eva. Choć sama przed sobą nie chciała tego przyznać, od początku tak myślała. Oczywiście, że podejrzewała samobójstwo, skoro Marie była w jej wieku. — Jak?
— To nie ma znaczenia — odparła stara. — Nie wiem. I to nie jest twoja sprawa, ani moja. Wybacz, że mówię to wprost, ale tak to wygląda.
Jakaś sztywność wkradła się potem do ich rozmowy, a stara działała Evie na nerwy, czyniąc uwagi na temat stołu. Sugerowała, że Eva powinna znaleźć obrus, by go nakryć, jadła, zachowując się jak wielka dama, jakby studiowała stołowe maniery: łokcie ciasno przy bokach, nie dotykające stołu, sposób używania serwetki, widelca — wszystko zdradzało jej snobizm. I jeszcze coś pierwotniejszego, z czego Eva nie zdawała sobie w pełni sprawy.

Spytała starą o jej przeszłość, a wtedy ona zaczęła opowiadać, w zapamiętaniu coraz bardziej koloryzując, nostalgiczne historie z własnej młodości spędzonej w najważniejszych metropoliach Europy — w Brukseli w charakterze kochanicy jakiegoś dyplomaty, w Amsterdamie w komunie hipisów, uprawiając wolną mi-

25

łość i paląc trawkę, w Paryżu, gdzie dawała natchnienie jakiejś francuskiej gwiazdzie rocka, o której Eva nigdy nie słyszała. Dzięki tym opowieściom obie się rozluźniły i poczuły bardziej komfortowo, a Eva nieomal wdzięczna jej była za towarzystwo.

Za oknem wciąż siąpił deszcz i wzmagał się wiatr, krople dudniły o szyby. Kiedy skończyły jeść, stara poprosiła o wybaczenie, że ciągle mówi tylko o sobie, a Ewy z pewnością to nie interesuje, i zażądała, by pozwoliła jej powrócić sobie z filizanki; sztukę tę podobno doskonaliła, mieszkając w Amsterdamie. Eva nie miała wyboru, jak tylko przystać na to, wyszła do kuchni zaparzyć więcej kawy, a wróciwszy z dzbankiem, zastała starą stojącą przy oknie i obracającą w dłoniach pozytywkę, którą Eva dostała od mamy: na nakręcanej szkatułce siedziała małeńka syrena w otwartej, polakierowanej na biało muszli.

— To najwyraźniej twoje — powiedziała stara. — Piękna... Nie pamiętam, żebym ją wcześniej tu widziała.

W czasach, gdy odwiedzałam Marie.

— Należała do mojej mamy. A wcześniej do jej mamy.

— Ale nie gra żadnej melodyjki. Próbowalam nakręcić. Dotykam wszystkiego, co tylko zauważę. Ciekawość — próbowała się tłumaczyć.

— Od lat jest zepsuta — powiedziała Eva. — Pamiętam tę melodię z dzieciństwa, ale zapomniałam tytułu. Popijały kawę, czarną i mocną, i Eva zażądała od starej, by sobie także powróżyła. Po żartobliwych prze-

26

komarzaniach na temat przewidywalności i monotonii perspektyw starych ludzi w końcu się zgodziła, po czym popijając kawę, skierowała rozmowę na Ewę — żeby wróżba była pełniejsza. Eva wzięła udział w tej grze, powiedziała, że w zasadzie wychowała się w Stanach Zjednoczonych, przeprowadziła się tam wraz z ojcem w wieku dwunastu lat, po śmierci mamy i tam chodziła do „high-school”; potem studiowała art performance i sztuki audiowizualne na uczelni w San Francisco, po

czym wróciła do Islandii „na jakiś czas”. Unikała rozmowy na temat tego okresu, nie wspomniała o Hrafnie czy o tym, co się stało. Zakończyła opowieść na tym, że wróciła do Stanów studiować dokumentalistykę na Columbia University w Nowym Jorku, wspomniała imiona swoich rodziców, babci i dziadka, których stara nie znała.

— Na co umarła twoja mama? — spytała stara, przybierając smutną minę.

— Rak. Żołądka. Tak jak wcześniej jej tata. Oboje byli młodzi, gdy umierali. Mama ledwo przekroczyła trzydziestkę. W zasadzie. Miała trzydzieści pięć.

— Przykro mi — podsumowała stara, lecz Eva powiedziała, że już dawno ma to za sobą i że oboje, jej mama i tata, byli dla siebie bardzo dobrzy; on nigdy nie wrócił do Islandii, nie interesowało go to.

— Jest lekarzem. Pensję dostał tam lepszą niż tutaj. I nadal dostaje. O wiele lepszą. To jest oczywiście niesprawiedliwy system... Spodziewam się, że to była taka nasza ucieczka, moja i taty. Swego rodzaju. Nic

27

poważnego, oczywiście, nie żebyśmy jakoś strasznie się spieszyli czy chcieli zupełnie zerwać więzi... I pewno zaraziłam się od niego tym brakiem zainteresowania Islandią. Dopóki nie poznałam Hrafna.

— Hrafna? — ożywiła się stara, a Eva zakłęła w duchu, że jej się wypsnęło. Z jakiegoś powodu, którego nie pojmowała, nie chciała ujawniać starej jego istnienia.

— Hrafna, mojego narzeczonego — wydusiła z siebie.

— Przyjechaliśmy tu, do Islandii, trzy lata temu, po skończeniu kursów w Kalifornii. Mieliśmy nawet zamiar tu osiąść, to znaczy on chciał. Ale to było bez nadziejne. Ja nikogo tu nie znałam, nie miałam żadnych kontaktów, niczego. Machnęłam na to ręką i ponownie wyjechaliśmy...

— To czyni z człowieka artystę, prawda? Brak ojczyzny, nawet brak domu? — zauważyła stara i roześmiała się hałaśliwie. — Pozbawiony korzeni artysta, wieczny outsider, wszędzie obcy!

Eva także zaczęła się śmiać. A potem obie umilkły.

— I gdzie jest ten człowiek, ów Hrafn, czy tak?

Ukrywasz go gdzieś tutaj?

— Jest u swojej mamy. Przy Njalsgata... nie wiedzieliśmy, jak będzie z mieszkaniem, kiedyśmy przyjeżdżali...

— I to jest powód, dla którego nie mieszkacie razem? — spytała stara z powątpiewaniem, unosząc brew.

— Nie przejmuj się, nie musisz mi mówić tego, czego nie chcesz. Nie jestem ciekawska i nie plotkuję. Ale

jestem uważnym słuchaczem, jeśli brak ci „życzliwego ucha”, jak to, zdaje się, mówią tam w Ameryce?

28

Stara wypila ostatni łyk kawy i natychmiast uniosła filiżankę do góry, obracając ją w prawo nad głowę. Powiedziała Evie, by zrobiła to samo, po czym ustawiła filiżanki między dwoma talerzykami.

Podczas gdy filiżanki schły, stara opowiadała o swoich wróżbach, z których większość się spełniła, często w tajemniczych okolicznościach, mówiła o mowie filiżanki, którą czasem należy rozumieć dosłownie, a czasem nie, i o wrażliwości niezbędnej do rozróżnienia tych komunikatów; opowiadała o kochankach pojawiających się i zmieniających wszystko, niespodziewanych pieniądzech, podróżach, klęskach.

— Ale twoja wróżba będzie dobra, jestem przekonana — powiedziała, sięgając po filiżankę, zajrzała pod nią, by się upewnić, że „się nie przesunie”, po czym ją podniosła. — Zobaczmy... — skuliła się nad filiżanką, cicho coś do siebie mamrocząc.

Eva słuchała szeptu wiatru i deszczu, myśląc, że to dobrze, iż istnieje deszcz i wiatr, i że to fajnie, otwierając rano oczy, nie wiedzieć nigdy, jaka będzie pogoda — za tym zawsze tęskniła za granicą, a w każdym razie tak sobie wmawiała. Być może wyolbrzymiała swoje oczekiwania co do nadchodzącej zimy, mroku, sztormów i śniegu, i jakie to wszystko będzie fajne. Nagle zauważyła, że stara zerka na nią spode łba, a kiedy ich oczy się spotkały, spuściła szybko wzrok na filiżankę. — Co? — spytała Eva. Jej głos zabrzmiał radośnie, lecz poczuła, jak cała sztywnieje. Atmosfera przy stole zmieniła się, luźna rozmowa stała się przytłaczająca

29

i niemiła. I choć niczego nie chciała wiedzieć — miała ochotę wyrwać starej filiżankę z rąk i cisnąć nią o ścianę — kontynuowała: — I co tam czytasz w tej filiżance? Masz minę, jakbyś zauważyła coś strasznego! Stara potrząsnęła przecząco głową i przywołała sztuczny uśmiech.

— Nic nie mogę powiedzieć — oświadczyła. — Jest popsuta...

— Kto jest popsuty?

— Filiżanka. Linie się pozlewały. — Odłożyła filiżankę, zaczęła bębnić palcami w blat stołu i znów potrząsnęła głową.

— Nie rób tego! — zdenerwowała się Eva. — Jeśli nic

mi nie powiesz, zacznę wyobrażać sobie najgorsze. Myślałam, że to zabawa! Ale kiedy mówisz, że nie możesz, to mam wrażenie, że to coś o wiele poważniejszego!

— Usiłowała się roześmiać, spojrzała starej w oczy i nagle zauważyła to coś, czego nie potrafiła pojąć, coś, co drzymało głęboko, a co kobieta starała się przed nią ukryć.

— Wybacz — rzekła stara, a jej spojrzenie znów stało się łagodne, matczyne. — Dawno tego nie robiłam. Nie ma tu nic bardzo dobrego, ale kto powiedział, że wszystkie wróżby muszą być dobre? Postaram się przedstawić to jak najprościej... Ostatnio nie było ci lekko, prawda?

Eva skinęła głową.

— Chłopak, zobacz tutaj. On, chłopak, Hrafn. Zawsze jest chłopak. — Wyciągnęła rękę z filiżanką i pokazała brązowy zaciek po kawie, krągławy i zakrzy-

30

wiony od góry, taki sam jak wszystkie inne zacieki, ale Eva pozostawiła to bez komentarza. Stara znów zbliżyła filiżankę do siebie i dalej się w nią wpatrywała: — Byliście ze sobą od dawna, za granicą. Ale już z sobą nie mieszkacie... On odszedł... Dlatego tutaj przyjechałaś. Dlatego jesteś tutaj, w tym mieszkaniu... Przybywasz tu krętymi ścieżkami z powodów, które, nie jestem przekonana, że są... Przyjechałaś za nim?

Eva nie odpowiedziała, spuściła wzrok na blat stołu, myśląc: Chwilowo od siebie oddzieleni, lecz nie rozłączeni, i czuła, jak wszechogarniająca jest ta niepewność. Stara wciągnęła głęboko powietrze, po czym stuknęła filiżanką o stół. Eva podniosła wzrok.

— Nie będę przed tobą nic ukrywać — rzekła stara, zdecydowanie, niemal obcesowo. — Nie będzie ci łatwo. To się jeszcze nie skończyło i być może nie skończy się tak szybko, jak ci się zdaje. I może nie tak, jak byś pragnęła, rozumiesz? Ja się nie tyle obawiam efektu, który nie jest ani dobry, ani zły sam w sobie, lecz tego, jak ty to wykorzystasz, to wszystko, co się działo i jeszcze wydarzy...

Eva milczała. Stara mówiła dalej:

— I musisz uważać. Jeśli przestaniesz się trzymać... Nie masz zbyt silnego poczucia rzeczywistości, jak sądzę... Niewiele potrzeba, aby rzeczy wokół ciebie zaczęły się ulatniać, tak ci się zdaje, i często odnosisz wrażenie, że nic nie rozumiesz, co nieraz się zdarza, gdy ludzie borykają się z problemami, zamianami, ale zwłaszcza ty... Musisz umieć rozróżniać, nie pozwo-

31

lić myślom błąkać się bezładnie, żyć zdrowo, unikać alkoholu... I myślę, że powinnaś się przygotować, aby usłyszeć coś... Negatywnego. Nawet. Że to nie będzie... niezupełnie takie, jak byś chciała.

Eva miała dość. Czuła, jak gotuje się w niej wściekłość. Jak śmie to pierdolone babsko udawać, że wie coś na temat jej czy Hrafna i jak to czy tamto się skończy! Jednak gdy tylko otworzyła usta, aby pouczyć starą, by się nie wtrącała, zeszło z niej całe powietrze, poczuła łzę spływającą po policzku, którą ukradkiem wytarła, ale zaraz w ślad za nią popłynęły kolejne. I nim się zorientowała, już beczała, opowiadała, że się boi, jest tak okropnie samotna i wystraszona, a stara ją pocieszała, trzymała w ramionach, powtarzając, że wszystko będzie dobrze, wszystko obróci się na jej korzyść, bo tak się zawsze dzieje.

Kiedy Evie minął atak, stara wyszła do kuchni, wróciła z ciepłym ręcznikiem i kazała jej obetrzeć twarz. — Nie powinnam była nic mówić — powiedziała, lecz Eva pokręciła głową, powtórzyła, że jednak wolała to usłyszeć, niż coś sobie roić; sama wie, że jej życie nie jest ucieleśnieniem szczęścia i pewno w najbliższym czasie nie będzie. Nie spodziewała się wróżby, która powiedziała by co innego, i dobrze się czuje, mając przy sobie kogoś, kto potrafi zdobyć się na szczerość. Nie rozumiała, dlaczego wygaduje te kłamstwa. Przecież najchętniej chwyciłaby starą za szyję, rozdarła się na nią, opieprzyła, że nie ma pojęcia o jej życiu, ikazała jej się wynosić.

32

— Dobrze. Dobrze to słyszeć. A teraz zostawię cię w spokoju. Pamiętaj tylko, żeby za dużo nie myśleć, nie pozwól, by twoje myśli kopały pod tobą dołki, w które wpadniesz i się zagubisz.

Eva chciała ją odprowadzić do windy, lecz kobieta powstrzymała ją, mówiąc, że sama trafi.

Chwilę później rozległ się cichy szum drzwi windy i Eva została sama w apartamencie. Deszcz wciąż padał.

PROGRAM O PÓŁNOCY NA KANALE 14

Po wyjściu starej Eva usiłowała się położyć, ale nie mogła. Wyjęła telefon, żeby zadzwonić do Hrafna, lecz się rozmyśliła — powiedział, że się skontaktuje, zabronił jej dzwonić, bo potrzebował czasu do namysłu.

Nienawidziła tego mieszkania, nic, co jej mówiono na jego temat, się nie zgadzało, a kiedy już stara otworzyła usta, uznała, że dalszy pobyt tutaj nie ma

sensu. Przyszło jej do głowy, żeby się spakować, opuścić apartament i gdzieś się przenieść, może na Njalsgata, położyć się na ziemi i krzyczeć, płakać, dopóki nie zjawi się on, nie obejmie jej i nie pocałuje, albo ona nie dostanie zastrzyku i nie zyska spokoju od samej siebie. Ale to zniszczyłoby wszystko, co do tej pory udało się osiągnąć, całe skupienie, które kumulowała przez ostatnie dwa tygodnie i które miało być podobne do chłodnej samokontroli, do jakiej on był zdolny, czy braku miłości, i — znów jego zdaniem — najprędzej mogło otworzyć im możliwości porozumienia i przezwyciężyć „problemy związku”.

Nie miałyby dokąd odejść. Nie miała innego miejsca. Trzy pierwsze noce w Reykjavíku spędziła w dzielnicy Skuggahverfi, w pensjonacie zbyt dla niej droгим. A rynek wynajmu był do niczego, również drogo

34

jak w Nowym Jorku, gdzie czasowo odnajęli swoje mieszkanie. Co do przyjaciółek, to większość z nich pozostała w Stanach. Najlepsza żyła w Nowym Jorku, a druga, która mieszkała w Islandii i pewno mogłaby się z nią spotkać, uczyła dzieci na prowincji i szybko do Reykjavíku nie jest w stanie wrócić.

I to nie apartament stanowił problem i nie starucha czy jej trajkotanie nad filiżanką, lecz fakt, iż on, jej miłość, przeszłość i przyszłość, przebywa gdzie indziej. I mimo że powzięła inne postanowienie, kiedy zbliżała się pora kolacji, była już pod silnym wpływem alkoholu. Usiłowała włożyć do ust kawałek chleba z serem, lecz nie miała apetytu, krążyła bez celu po mieszkaniu, rozglądając się wokół, po czym usiadła w salonie i zamysłona patrzyła w telewizor. Połączyła się laptopem z bezprzewodowym Internetem, który dostępny był w całym mieszkaniu, i sprawdziła pocztę. Nie chciało jej się jednak na nic odpowiadać, bez przekonania próbowała odnaleźć Islandczyków, których poznała w Stanach, a którzy wrócili do domu, lecz większość z nich była bardziej przyjaciółmi Hrafna niż jej, a nie wiedziała, czy ma ochotę spotykać się z pozostałymi. Nie potrafiła wyobrazić sobie, że mogłaby rozmawiać z nimi o Hrafnie, już słyszała te ich wymijające odpowiedzi, tę pielęgnowaną od lat niechęć do współodczuwania cierpienia i lęków innych: „Po prostu zapomnij o tym” czy „żyj dalej swoim życiem”.

Wiadomości telewizyjne okazały się zaskakującym zbiorem niczego, co nie wydarzyło się nigdzie na nie-

35

dużej wyspie, leżącej na najdalszym krańcu cywilizacji, ale Eva zauważyła, że teraz wiadomości dotyczące rybołówstwa, połowów i kwot połowowych ustąpiły informacjom ze świata biznesu i banków — Glitnir, Landsbanki, Kaupthing, i że mówiono o „ekspansji”. Ekspansja... eks... pansja... eks... eks... — nuciła sobie w myślach, siedząc przy barze i bawiąc się szkłem, dopóki za oknami się nie ściemniło i nie zapaliły się latarnie, a latarnia morska w Grotta nie zaczęła ciskać świetlnego promienia ponad tafelę wody, koło za kołem, koło za kołem. Picie było jak spojrzenie przez odwróconą lornetkę, odwrócenie ambicji czy zamiarów skierowanych na zewnątrz, sterujących zmaganiem z tym, co w mowie codziennej nosiło nazwę rzeczywistości, lecz było jedynie powietrzem; niezgodą na naskórkość, przeciętniactwo i spojrzeniem do wewnątrz, gdzie płatanina długich ciemnych, przeżartych przez robactwo korytarzy prowadzących donikąd jest prawdziwym stanem człowieka; wiedzą, że nic tak naprawdę nie ma znaczenia, a wszystko to — błahe i próżne — sprawia, iż człowiek czuje się dzieckiem przed obliczem cesarza, który podnosząc do ust kieliszek, wskazuje, że oto patrzcie: nic.

Cały czas piła, patrzyła na komórkę i czekała, aż on zadzwoni, ale kiedy zbliżała się jedenasta, zrezygnowała i postanowiła sama odbyć kilka rozmów. Podczas większości z nich krzyczała i wymyślała rozmówcy, zmuszając go do rozłączenia się, po czym znowu dzwoniła i ponownie krzyczała, zataczając się po mieszka-

36

niu. Wtedy nagle, ni stąd, ni zowąd, przypomniała sobie, że coś ma się wydarzyć o północy — pamiętała, że rozmawiano na temat północy i czegoś, czego nie wolno przegapić. Na kanale 14.

Położyła się na podłodze przed telewizorem i korzystając z pilota, przełączyła na kanał 14. Hol był pusty, ale po drugiej stronie recepcji lśniła głowa Snorriego. Siedział przed komputerem i jedną ręką ruszał myszką. Eva mrużyła oczy, przysuwała twarz to bliżej, to dalej do ekranu, by ustawić lepszą ostrość. Snorri podniósł nogi i położył je jedną obok drugiej na biurku, przechylił się do tyłu wraz z krzesłem, nie przestając operować myszką, położył dłoń między nogami i zaczął pocierać sobie krocze. Cholera — pomyślała i zachichotała — co ty wyprawiasz — i nieświadomie przysunęła się bliżej ekranu. Po chwili pocierania szybko rozpiął spodnie, rozsunał zamek błyskawiczny i wyjął kiepsko widoczną

ptaszynę: cielistego koloru punkcik zlewał się z cielistego koloru dłonią poruszającą się w górę i w dół. Rozłożył nogi nieco na boki, głowa opadła mu w tył; patrzył teraz prosto w sufit, w kamerę. Jakby wiedział, że patrzę — pomyślała Eva. Potem zamknął oczy, ciało drgnęło, albo tak sobie Eva wyobraziła, i wystrzeliło białkiem. Po krótkiej chwili wyprostował się, zapiął spodnie, opuścił nogi na podłogę i pochylił się nad komputerem. Eva patrzyła jeszcze przez kilka minut, ale nic więcej się nie wydarzyło. Zaczynała przysypiać, wtoczyła się do sypialni, zdjęła skarpetki i majtki, położyła się do łóżka i przykryła kołdrą.

37

Na ścianie, w mdłej poświacie księżycy, widziała majaczący cień, wgłębienie, maskę czy co to tam było wrzeźbione w ścianę; wszystko zaczęło się kręcić i dryfować i wydało jej się, że patrzy we własną twarz, a potem zasnęła.

SPACER W DESZCZU

Stała na falochronie na brzegu, niedaleko Słonecznego Wojazera. Dochodziła dopiero wpół do dziesiątej rano, ale było dość ciepło i bezwietrznie. Im dłużej wpatrywała się w powierzchnię morza dziurawioną deszczem, tym bardziej ulegała złudzeniu, że deszcz pada od dołu w górę, że krople odrywają się od szarej powierzchni i wracają do chmur.

Telefon spoczywał w kieszeni kurtki przeciwdeszczowej. Niedawno skończyła pisać wiadomość do Hrafna, żeby przeprosić go za wczorajsze wieczorne telefony i spytać, czy nie spotkaliby się później. Po cichu liczyła, że natychmiast oddzwoni, więc ścisnęła telefon w kieszeni. Ale było to mało prawdopodobne. Chciała go przekonać, że to się więcej nie powtórzy. Zeskoczyła z kamieni i ruszyła na zachód, ku centrum. Trasa Saebraut była zapchana warkoczącymi samochodami — ludźmi w drodze do pracy, ale kiedy zbliży się do portu, hałas z pewnością zelżeje. Od poprzedniego dnia padało nieustannie, ale Evie było wszystko jedno. Jedyne pogoda, jakiej naprawdę nie lubiła, to taka nijaka, bezbarwność ziemi i nieba — ani ciepło, ani zimno, ani bezwietrze, ani wichura, a ponad wszystkim nędzne szare niebo przypomina-

39 Ijące twarz pijaka, bezskutecznie usiłującego wyjść na prostą. Zawsze dobrze się czuła na deszczu, zwłaszcza kiedy nie wiał wiatr. Wiele z najmilszych wspomnień z dzieciństwa związanych było właśnie z deszczem:

ona w kombinezonie przeciwdeszczowym i kaloszach kopie kanały, tapla się w błocie, tworzy jeziora; ona w samochodzie patrzy na krople deszczu podchodzące w górę szyby jak posrebrzane koluchy — sperma, myślała później, kiedy dorosła — zanim wycieraczki zetrą je w niebyt, lub nie może zasnąć w namiocie z powodu dudniących kropli; całe dni nabrzmiałe ciężką ospałością, deszczem, który, gdy wychodziła z namiotu, okazywał się o wiele mniejszy, niż się spodziewała. Mineła płot okalający dom w budowie — centrum handlowe czy co to tam miało być, stację benzynową, pchli targ Kolaport i przystań kutrów, gdzie w wieku lat dziewięciu, ukryta za garażem, całowała się z chłopakiem.

Na ulicy prowadzącej do Kościoła Chrystusowego musiała się zatrzymać i odpocząć. Pomimo częstych spacerów w Nowym Jorku kondycję miała nie najlepszą, ale też ostatnio dużo paliła i piła. Postanowiła więc, trochę zawstydzona, ograniczyć jedno i drugie i nie upijać się wieczorami, niezależnie od wszystkiego; alkohol nigdy nie był dla niej problemem, ale zdarzało się, że co jakiś czas pijaństwo wymykało się spod kontroli: kiedy na przykład skończyła jakiś duży projekt i zbierała pomysły i siły na następny. Kiepsko szło jej Podejmowanie decyzji i wiedziała o tym; kiepsko szło

40

jej wytyczanie sobie granic i przestrzeganie ich, a jeszcze gorzej przyznanie przed sobą, że coś takiego świadczy o jakimś pęknięciu charakteru; wręcz przeciwnie — uważała, że coś takiego jest niezbędną przesłanką twórczości, treściwego życia; czasem rzeczy po prostu się działy, człowiek wyłączał rozum, chęć zarządzania otoczeniem i pozwalał się wieść gdziekolwiek, w szaleństwo zmysłów, w przynoszące ulgę otępienie i zapomnienie albo w ciemność, koszmar, kłótnie, wszystkie zrujnowane poranki — by się przekonać, co poczuje. Ale może już dość, czas wydorosnąć, pomyślała, niemal zawstydzona.

Od Kościoła Chrystusowego miała zamiar zejść w dół ku nadmorskiej ulicy Aegisida, lecz się rozmyśliła, zeszła ze wzgórza do Ratusza i stamtąd na ulicę Tjarnargata.

Lustrzana powierzchnia stawu Tjörnin połyskiwała i przez chwilę Eva miała wrażenie, że woda jest zamrznięta; poczuła, jak coś przewraca się głęboko w jej wnętrzu, a potem zauważyła podskakujące krople deszczu oraz kaczkę i mowy pływające po wodzie. Rozejrzała się wokół bezradnie, spojrzała w stronę Ratusza i dostrzegła mężczyznę, który skręcał właśnie w Tjarnar-

gata i zmierzał w jej kierunku. Miał na sobie niebieską kurtkę przeciwdeszczową, a głowę przykrył kapturem w taki sposób, że prawie nie widać było twarzy. Po raz pierwszy zauważyła go na przystani kutrów, jak szedł za nią przez kilka minut, po czym zniknął. Nie wydało jej się to dziwne, nie wtedy.

41

Mijając ją, skinął głową i spojrzał na nią z ukosa, lecz jego zainteresowanie było banalne — chciał się tylko upewnić, że ona tam jest, nieznajoma kobieta. Był średniego wzrostu, tyczkowaty, wąski w ramionach. Jeśli chodzi o jego twarz, to zauważyła jedynie szeroki nos i grube, ciemne brwi. Zdawało jej się, że już gdzieś go widziała, pewnie raczej na zdjęciu niż osobiście.

Patrzyła za nim, jak znika na końcu ulicy, a potem weszła na deptak prowadzący wzdłuż brzegu Tjrnin i usiadła na ławce. Zapaliła papierosa i obserwowała kaczkę nurkującą za koluchami albo jakimś innym gównem, które miały w tej wodzie za pożywienie. Usiłowała zrozumieć położenie, w jakim się znalazła, i zastanawiała się, skąd się bierze owo niejasne acz silne uczucie, które narasta z każdą godziną, odkąd wprowadziła się do mieszkania: wrażenie, że ktoś albo coś się do niej zbliża; ogromnie ją to irytowało.

Wspomnienia, które nie nawiedzały jej od wielu lat, tłukły się teraz w jej głowie. Usiłowała o nich nie myśleć, lecz to się nie udało, szybko zerwała się na nogi i zdeptała papierosa.

Wolno szła Tjarnargata na południe, wzdłuż domów, dopóki nie zatrzymała się przed jednym z nich. Numer dwadzieścia sześć. Pewno dzień cały czas do tego zmierzał, nie mógł przecież być bezcelowy i nie był od chwili, gdy z samego rana wyszła z domu — konsekwentnie prowadził ją w to jedno miejsce, aby uchwyciła ster własnego życia.

42

Był to piętrowy dom pokryty blachą falistą, biały i schludny, przed nim mały trawnik, a na jego środku dwa elfy ogrodowe, oba roześmiane. Niskie schodki wiodły do drzwi zwróconych w stronę Tjórmin; obok drzwi błyszczał dzwonek o katedralnym dźwięku, którym dzwoniła raz w tygodniu przez kilka miesięcy. Niecałe trzy lata temu. Do drzwi, prowadzących do koszmaru jej życia i niepasujących do tej ulicy, do tego miasta i do tego świata, i kobiety wewnątrz,

która w jakiś sposób przybliżyła ją do samej siebie. I oto znowu tu była — jakby dreptała w kółko i ponownie znalazła się w punkcie wyjścia, zmieniona, ale ta sama.

Kiedy poznała Hrafna, miała dwadzieścia cztery lata, on był o rok starszy. Poznali się na kolacji Towarzystwa Islandzkiego z okazji Siedemnastego Czerwca*, na przyjęciu, w którym Eva nie miała ochoty uczestniczyć, lecz poszła, by dotrzymać towarzystwa swej islandzkiej przyjaciółce. Nigdy nie miała zamiaru znać go dłużej niż noc, lecz następnego dnia rozmawiali z sobą długo, aż do wieczora, znowu zaczęli pić, razem usnęli i od tego czasu zamieszkali razem; przez pierwszy miesiąc trzymali się zasady, że czynsz płacą w obu miejscach, ale potem postanowili dzielić łożę i płacić tylko jeden — ze względów ekonomicznych, bo przecież i tak oboje w tym samym czasie zajmowali tylko jedno łóżko.

* Narodowe święto Islandii.

43

W rok po tym, jak się poznali, Hrafn zrobił magisterium z projektowania stron internetowych i łamania składu na podmiejskim uniwersytecie w San Francisco, co dopełniło jego kapitulacji po ukończeniu Akademii Sztuki w Islandii, kapitulacji, którą tłumaczył jakimś objawieniem o śmierci sztuki. Po Akademii szybko stracił zainteresowanie, albo wiarę, w kontynuację, nie potrafił się w niczym odnaleźć, wszystkie pomysły uleciały mu z głowy, w której być może pojawiły się wyłącznie jako odpowiedzi na dość wyraźnie naszkicowane zadania uczelniane. Pewnego dnia postanowił rzucić sztukę — było mu wszystko jedno, przecież to i tak od początku była pomyłka — i zdawało się, że innym też jest wszystko jedno, czy rzuci sztukę, czy nie — pewnie dlatego, że wszystko, co robił, nasiąknięte było przeciętnością, myślała Eva. A myśl ta dotycząca człowieka, którego kochała, nie była wcale przyjemna, była niespójna, pełna współczucia, ale i pogardy. I natchodziła ją zazwyczaj, kiedy zmuszona była go wysłuchiwać, przeważnie w towarzystwie — gdy pijaństwo zaczynało brać górę podczas skądinąd kulturalnych kolacyjek, a on zaczynał narzekać na sztukę współczesną i jakoś nie przyjmował do wiadomości, że ona właśnie tym się zajmuje, niezależnie od jego własnej kapitulacji. Jego prace nie były ani dobre, ani złe, tylko zdawały się w żaden sposób nie trafiać ani do nikogo na świecie, ani do niego samego.

Po tym triumfalnym końcowym egzaminie kapitu-

lacyjnym postanowili opuścić Kalifornię i przenieść się

44

do Islandii, czy też raczej on postanowił, a ona zgodziła się podążyć za nim. Chciał tu pracować, nie do „końca życia”, ale przez jakiś czas; miał ochotę spotykać się z przyjaciółmi i rodziną, lecz prawdopodobnie głównym powodem było to, iż pragnął się pochwalić swoją małą kobietką w drugim miesiącu ciąży, i chciał wychować swoje dziecko w „domu” — jako rozpieszczony islandzki bachor musiał w końcu stać się wyznawcą teorii, że nudna, bezpieczna Islandia jest „najlepsza dla dzieci”, poglądu, którego ona nienawidziła.

I nie chciała urodzić dziecka, z początku. Choć nie uważała się za zbyt młodą na dobrą matkę ani nie wątpiła już, że kocha Hrafna, to zdążyła zdecydować, co ma zamiar robić w życiu, a to wymagało wielu poświęceń, lecz nie dla dzieci, nie prania, regularnego gotowania i niemal całkowitej rezygnacji z osobistego życia. Dyskutowali o tym przez kilka tygodni, ale pewno nie było to u niej nigdy nic więcej, jak tylko ostentacyjny przejaw próżności — oczywiście, że urodzi dziecko, bo fantastycznie jest być matką, przestała pić, stała się szczęśliwą przyszłą matką i pojechała za swoim facetem do Islandii, uzyskawszy od niego zapewnienie, że wróci z nią za granicę, jeśli ona znienawidzi swoją ojczyznę. Poznała jego rodziców, a stosunek Hrafna do nich — zwłaszcza do mamy — i nieustanne podkreślanie, jacy to będą szczęśliwi, bawiąc wnuki, niezmiernie ją denerwował. Poznawszy tych po wielekroć wysławianych ludzi, uznała ich za jeszcze jedną wypaloną parę hippisów pograżoną w objęciach rynku i pracy,

45

której w jakiś tajemniczy sposób wciąż udawało się pielęgnować stare antymieszkańskie wartości i swój dawny „liberalny” wizerunek: zrobili swoje, zmienili świat, poprawili go, a teraz kolej na młodych i gdzie ta rewolucja? — Czyżby wszystkie te ręce obeznane z Playstation zajmowały się wyłącznie sobą? I zgadzali się z synem w kwestii „sztuki współczesnej”. Co za nudziarze.

Po półrocznym pobycie w Islandii urodziło się dziecko — dziewczynka. Wspomnienia Ewy z tamtego okresu nie były wyraźne, wszystko tonęło w oparze depresji, która, nie wiedziawszy nigdy, czy wynika z izolacji i dętwoty Reykjavíku, szarugi spowodowanej „global dimming” nad miastem czy jej własnej nierównowagi

hormonalnej. Nic nie robiła; pogadywała z rodzicami i przyjaciółmi Hrafna; jęczyła i kłóciła się z nim, co sprawiało, że czuła się chwilami jak popsuta maszyna; obzerała się warzywami, owocami i orzechami zgodnie z przygotowaną przez jego matkę dietą odpowiednią do jej grupy krwi, chodziła na gimnastykę ciążową, urodziła dziewczynkę i dwa miesiące później dziewczynka już nie żyła. — „Dziewczynka”, „dziecko” albo po prostu „ona”. Ta ona. Nie żyła.

Choć czas przed i po porodzie tonął we mgle, Eva pamiętała niemal każdą minutę, każde słowo, myśl i spojrzenie poprzedzające śmierć dziewczynki. Potem spytała psycholożkę, czy może ma uszkodzoną pamięć, gdyż sądziła że „szok” litościwie oczyszcza pamięć, ale Sigurlina odparła, że szansa, aby „rozpracować” to, co

46

się stało, jest w jej przypadku o wiele cenniejsza i powinna być za to wdzięczna.

W dniu, w którym zmarła dziewczynka, Eva pokłóciła się z Hrafnem przez telefon, powiedziała, że dość ma przemierzania reykjavickich ulic z wózkiem; znudziła jej się samotność — wszystko jak w podręczniku — podczas gdy on chodzi do pracy, a następnie narzeka, jaka jest nudna, że nikogo „w tym kraju” nie poznała, nie spotyka się z nikim poza jego przyjaciółmi, którzy jej zdaniem są nudnymi, kombinującymi według politycznych wskaźników pragmatystami wiodącymi odpowiedzialne i arcynudne życie i że on jest tego samego zdania, ona wie o tym. I chciała znów wyjechać za granicę, zapisać się na kurs dokumentalistyki na uniwersytecie Columbia, o czym już wcześniej dyskutowali, była gotowa dać mu jeszcze kilka miesięcy na uwolnienie się od zobowiązań, ale chciała, by obiecał, że wyjadą — odmówił. Rozłączyła się wściekła, zadzwoniła do kumpeli i poprosiła, by się spotkały po południu w kawiarni, a następnie namówiła kuzynkę Hrafna, dwudziestoletnią studentkę, by przez dwie godziny popilnowała dziewczynki podczas snu. Kiedy Hrafn zadzwonił do niej około piątej, wciąż był w pracy, powiedział, że wróci później, a usłyszawszy, że jest w kawiarni, sama — to znaczy bez córeczki, stracił kontrolę nad sobą, ogarnął go święty gniew i spytał, dlaczego mu nie powiedziała albo jego mamie i czy „pije” — do czego się przyznała, wypiła dwa małe piwa, pierwsze od niemal roku, bo czy tylko jemu wolno pić piwo? On odparł, że nie]

47

karmi piersią, a ona kazała mu stulić pysk, bo przecież

doskonale wie, że przestała podawać pierś — dwa dni wcześniej. Powiedziała, że wraca do domu za godzinę, ale nie dlatego, że on jej tak każe, dodała, że nie rozumie, co oni jeszcze robią razem, i rozłączyła się. Potem na wpół sparaliżowana strachem i poczuciem samotności włóczyła się po ulicach. Zdawało jej się, że utkwiała w powieści dla młodzieży pióra Edwarda Ingolfssona, wiejskiego kaznodziei, któremu, gdy miała dziewięć czy dziesięć lat, w jakiś sposób udało się przelać na nią swój fanatyzm religijny wraz z dziewiętnastowiecznym podziałem ról płci. Walczyła z nieodpartym pragnieniem alkoholowego upodlenia się i przemożną chęcią zostania zerżniętą — po raz pierwszy od roku — przez jakiegoś hermafrodytę, Edwarda Ingolfssona, po czym wróciła do domu, by znów wziąć „odpowiedzialność” za swoje życie. Kochała córeczkę bardziej niż kogokolwiek innego w całym swoim dość popapranym życiu; wiedziała, że może stać się dobrą matką, i gdy tylko usiadła obok łóżeczka, poczuła, jak przepelnia ją spokój i miłość. Kuzynka powiedziała, że dziewczynka spała spokojnie cały czas, jak zresztą zawsze — przez te dwa miesiące swojego życia zapłakała zaledwie kilka razy i w zasadzie wyłącznie uśmiechała się czule do sufitu. Eva odesłała kuzynkę do domu, podała dziewczynce butelkę, pogaworzyła do niej z godzinę i położyła ponownie do łóżeczka, sama zaś poszła do kuchni, przygotowała sobie kolację i w oczekiwaniu na powrót Hrafna i dalszy ciąg kłótni oglądała telewizję.

48

Kiedy przestąpił przez próg, około wpół do ósmej — właśnie w telewizji zaczynał się program W reflektorze — dziewczynka nie żyła już od kilku minut, jak później im powiedziano. Rozebrał się w przedpokoju, wszedł do salonu i pozdrowił ją; bąknął coś usprawiedliwiająco, że powinni ze sobą porozmawiać, a następnie wszedł do sypialni popatrzeć jak zwykle na córeczkę. Kilka sekund później usłyszała, jak coś mamrocze, jakby do siebie, a potem krzyknął, że coś „jest nie w porządku”. Zerwała się na równe nogi i natknęła na niego w drzwiach sypialni. Trzymał dziewczynkę pod ramiona wpatrzony w jej buzię, podnosił ją w górę lub przyciskał do piersi, jakby nie wiedział, co ma robić, powiedział, że „jest biała”, i zaczął się koszmar. Eva wyrwała mu dziewczynkę i przekonała się, że tak jest w istocie — była biała, zupełnie biała i zimna, twarz gładka i pozbawiona życia. Słyszała, jak pyta ją, kiedy wróciła do domu i ile wypita w kawiarni, i „jak położyłaś ją do łóżeczka?”. Ona mrugała

tylko oczami i ocknęła się dopiero, kiedy przyjechała karetka i dom wypełnił się ludźmi w uniformach, po czym straciła świadomość i więcej nic nie pamiętała, dostała zastrzyk, jak jej powiedziano, a potem znowu w nocy i rano, a potem tabletki, teściowa pilnowała jej, żeby nie popełniła samobójstwa, zaczęła się otrząsać z koszmaru, siedziała z kimś w poczekalni i czekała na Sigurlinę, rozmawiała z pastorem, który ochrzcił dziewczynkę, formalnie, dla nagrobka i rodziców, znów siedziała w poczekalni, znalazła się w ciemnym

49

pokoju, płakała i mówiła, i pozwalała się pocieszać, trwała bez ruchu i gapiała się przed siebie, włączając się po mieście, na ławkach, krzesłach, łózkach, w samochodach, autobusach, sama albo z innymi. Potem zaczęła odzyskiwać równowagę, przekonała się, że wyświechtane porzekadło mówi prawdę — z dna pewno jest tylko jedna droga: „w górę!”. Ale przyszło jej do głowy, że ta druga droga z dna, o wiele bardziej oczywista, to skończyć ze sobą, ale nigdy nikomu o tym nie powiedziała i nie zastanawiała się nad tym zbyt poważnie, nie wprost. Tabletek ubywało, aż pozostał jej tylko środek psychotropowy powszechnie stosowany przez połowę populacji Zachodu i znów zaczęła rozmawiać z Hrafnem. Zmienił się, pewno nawet bardziej niż ona, sam chodził do psychologa, a oboje uczęszczali razem na psychoterapię, gdzie zmuszono ich, by rozmawiali na temat dziewczynki i ich związku; on przestał wyżywać się na sztuce współczesnej, odszedł z pracy, obiecał, że znów wyjadą razem za granicę i że ona ma rację, życie w Islandii jest bezbarwne i szare, przyjął zlecenie, które mógł wykonywać gdziekolwiek na świecie, i znów stali się „naturalni”, zakochani. Jedyne, co jej przeszkadzało i z czym trudno jej się było pogodzić, trudniej nawet niż ze śmiercią córeczki — co czasem uważała za nadto egoistyczne ze swej strony — był stosunek jego matki, wyimaginowany lub nie, i wspomnienie słów Hrafna. Wykonując zalecenia Sigurliny, pod koniec terapii usiłowała z nim o tym rozmawiać, ale zawsze jakoś źle się jej to układało w głowie i słowa

50

nie chciały przejść przez usta. Potem dostała się do szkoły w Nowym Jorku, wyjechali do Stanów i nigdy nie poszukała sobie nowego psychologa — byli zbyt drodzy; w zamian pielęgnowała swoją nienawiść do człowieka, którego kocha, nienawiść do wszystkiego, co mówił, i do siebie samej za to, że myślała, iż on może mieć rację. Przez

dwa lata. Czasem zdawało się jej, że ta odnowiona miłość do niego nakręcana jest poczuciem winy z powodu tejże nienawiści — pogwałcona, wewnętrznie sprzeczna i beznadziejna miłość, którą najlepiej byłoby zatopić. Zadawała sobie pytanie, dlaczego go kocha; z czasem zmienił się z pogodnego, fajnego chłopaka w kogoś śmiertelnie poważnego, sztywnego i pokrętnego. A może oboje się zmienili, lecz ona kurczowo trzymała się starych wersji ich obojga z obawy przed samotnością?

Piła coraz więcej, co na studiach nie wymagało specjalnych zabiegów, a kiedy już wszystko miało być dobrze, znów zaczęli się kłócić, przeważnie z jej inicjatywy, tyle że teraz nie było żadnej Islandii, żadnej koszarnej szarugi, na którą mogłaby się złościć, i raz w końcu - tak pijana, że nie pamiętała tego później — oświadczyła, że nienawidzi go za to, co powiedział: ile wypijałaś i jak położyłaś ją do łóżeczka? — nigdy mu tego nie wybaczy, kopnęła go i usiłowała uderzyć i nie wiedziała, co się stało, dopóki nie obudziła się w metrze po południu następnego dnia.

Nigdy nie uwolniła się od swoich myśli, nieważne jak często prosił ją o wybaczenie — był w szoku zupełnie jak ona, otepiały, wypowiadał jakieś bełkotliwe myśli,

51

ale jej nigdy o nic nie obwiniał, to był po prostu zwyczajny, koszarowy przypadek śmierci kołyskowej. Od rana do wieczora uciekała przed samą sobą, ciągle dalej i dalej, znieczulała się na wszelkie możliwe sposoby i wciąż zdawało jej się, że nie powinna wierzyć w to, co on mówi, i nie wolno jej mu wybaczyć. Aż do teraz, kiedy on miał już dość; przekonała się, że bardzo go kocha i że nienawiść i amok były zawsze jedynie czymś, z czego powinna się rozliczyć sama z sobą, a nie z nim. I że nie może wypowiedzieć imienia dziewczynki, nie po takim czasie, nie potrafiła go nawet pomyśleć. Przyszedł jej do głowy labirynt na podłodze katedry w Chartres we Francji, symbolizujący drogę rozwoju duchowego; od wejścia do labiryntu prowadziła prosta ścieżka do ściany otaczającej środek, stamtąd tak daleko na zewnątrz, jak tylko się dało, po czym ścieżka skręcała na zmianę to na zewnątrz, to do wewnątrz, dopóki wszystkie ściany nie zostały pokonane i można było wkroczyć w samo serce labiryntu; zadanie nie polegało więc na tym, by trafić, lecz raczej by się nie poddawać, mimo iż cel zdaje się wciąż oddalać, i wierzyć. I Eva czuła, że wiary nie straciła; pomimo wszystkich błędnych decyzji, kłótni, pijaństw i beznadziei zawsze się kochali. Znów się ocknęła na Tjarnargata; stała przed do-

mem, nie wiedząc, jak długo tkwi tam bez ruchu. Otworzyła furtkę do ogrodu, weszła po schodkach i nacisnęła przycisk dzwonka. Cichy dźwięk dzwonów, inny niż ten, który zapamiętała, rozległ się gdzieś w środku domu.

52

Usłyszała jakąś krzątanicę i chwilę później otworzyły się drzwi. Stał przed nią mężczyzna około pięćdziesiątki, siwy, ubrany w sweter z owczej wełny. — Dzień dobry — zaczęła Eva. — Chciałabym zapytać, czy może jest Sigurlina? Byłam u niej kilka lat temu. — Niestety — odparł mężczyzna i uśmiechnął się. — Jest z pacjentem. Zanotuję, że przyszedłeś. Poczekaj chwilę... — Zniknął w głębi domu. Eva zastanawiała się nad słowem „pacjent”, które wydało jej się dziwne, jakby ten facet traktował to aż tak serio. Pacjent? Wrócił z czarnym niedużym notesem i zanotował jej imię oraz numer komórki, po czym zamknął notesik. — Poproszę ją, żeby do ciebie zadzwoniła, jak tylko coś się zwolni. Spodziewam się, że chcesz zamówić wizytę? Ale jest lista oczekujących... miesiąc, czasem nawet dwa.

Nic nie odpowiedziała, usiłując ukryć rozczarowanie i skierowała wzrok na ogród. Z pobliskiego drzewa dobiegł głośny i drażniący ptasi śpiew. Drozdy pijane fermentującymi porzeczkami — pomyślała sobie, ale może jesień była już zbyt późna.

— Mam nadzieję, że... — zaczął znowu, patrząc jej badawczo w twarz. — Jeśli to coś bardzo pilnego, to może będę w stanie polecić ci kogoś innego?

— Dziękuję. Wolałabym jednak spotkać się z nią... Dlatego, że już wcześniej się spotykałyśmy.

— Masz płytę do relaksacji? — zapytał. Pokręciła głową. — Jak chcesz, możesz ją dostać. Stanowi niezłe przygotowanie do terapii. Tylko musisz słuchać raz

53

albo dwa razy dziennie. — Sięgnął za drzwi, wyciągnął białą płytę w papierowej kopercie z napisem Relaksacja. Sigurlina Einarsdottir i numerem telefonu. - Jeśli chcesz chodzić na terapię relaksacyjną i hipnozę... Kiedy mówisz, że byłeś u niej ostatnio?

— Trzy lata temu. Mniej więcej. — Przeszukała kieszenie w poszukiwaniu drobnych za płytę, i wprawdzie nie uzbierała całej kwoty, ale mężczyzna kazał jej się tym nie przejmować i dodał, iż ma nadzieję, że wkrótce doczeka się wizyty.

Pożegnała się; schodząc po schodach, czuła na sobie wzrok mężczyzny, potem także, gdy przechodziła przez jezdnię i zbliżała się do Tjórnin, aż w końcu usłyszała trzask zamykanych drzwi.

Szła wzdłuż brzegu, gapiąc się w trotuar i przeklinając, że nie udało jej się zastać Sigurliny, ale wstukała numer jej telefonu do swojej komórki i postanowiła zadzwonić do niej później.

Hrafn do tej pory nie odpowiedział na SMS-y ani nie zadzwonił.

Podniosła wzrok. Dwa łabędzie wylądowały na wodzie z pluskiem i łopotem skrzydeł. Po drugiej stronie zauważyła mężczyznę w niebieskiej wiatrówce. Siedział na ławce, skrywając ręce w kieszeniach i zdawał się ją obserwować. Ona też patrzyła na niego, zastanawiając się, dlaczego siedzi właśnie tam, a wtedy on wstał i ruszył do centrum.

Nie ma nic złego w chodzeniu w koło, pomyślała sobie i znów skierowała się na trasę Saebraut.

„TU KOŃCZY SIĘ UCIECZKA

Jak tylko winda się otworzyła, usłyszała dzwonek telefonu. Wskoczyła z butów i wbiegła do kuchni. To niemożliwe, żeby ktoś dzwonił na ten numer, nie przypominała sobie, aby ktokolwiek spośród jej znajomych go znał.

Podniosła słuchawkę.

- Halo? Nareszcie — usłyszała kobiecy głos, bezczelny. Stara. Bergthora. — Od samego rana staram się z tobą skontaktować. Spałaś?

— Nie. Byłam na spacerze. A dlaczego?

— Chciałam cię zabrać na siłownię. A potem do sauny. Zaczynam się bać o ciebie, chciałam nawet zajść na górę i sprawdzić!

— Mogłaś iść sama.

— Mowy nie ma, kochanie! Nie wykręcisz się. Za dziesięć minut na dole w holu, zabierz ręcznik i ubranie na zmianę. Tam jest szatnia.

— Byłam na spacerze - zdenerwowała się Eva. — Nie chce mi się...

— Czekam na ciebie od rana, a ty potrzebujesz ruchu. Raźniej się poczujesz. Spacery są dla staruchów! Widzimy się na dole za dziesięć minut. — Rozłączyła się.

55

Eva odłożyła słuchawkę, zakłęła, ale uznała, że może to i lepiej nie móc zaznać spokoju, by się nad sobą rozczulać. Nie miała nic lepszego do roboty,

a ta sauna brzmiała całkiem rozsądnie. Potem zje zdrowy lunch, żadnego alkoholu — tak jak postanowiła rano.

Weszła do sypialni, zdjęła ubranie, które wrzuciła do torby razem z ręcznikiem, zmieniła skarpety, włożyła T-shirt i jedyne spodenki sportowe, jakie posiadała.

Kiedy wróciła do salonu, zauważyła kota.

— Kiciuś... Wróciłeś, maluski? Gdzie się podziewałeś? — Głupio się czuła, słysząc swój głos w ciszy salonu; nigdy nie potrafiła rozmawiać z dziećmi i przemawiać do zwierząt, uważała, że staje się wtedy sztywna i sztuczna. — A może jesteś głodny? To dlatego wróciłeś?

Miauknął przeciągle i cicho i poszedł za nią do kuchni. Otworzyła szafkę, w której wcześniej zauważyła kocią karmę, wyjęła dwie miski i ustawiła na podłodze, do jednej nasypała suchego kocięgo żarcia, do drugiej naląła mleka. Kot podszedł ostrożnie, powąchał mleko i spokojnie zaczął je chleptać.

Coś w zachowaniu kota sygnalizowało Evie, że być może nigdy tu nie mieszkał, że pije mleczko z tej miseczki po raz pierwszy w życiu. Przyszło jej do głowy, by bliżej przyjrzeć się miskom, sprawdzić, czy nie są porysowane, nie wyglądają na nowe — opaść na cztery łapy obok zwierzęcia i trochę powęszyć.

Parsknęła śmiechem, kot uniósł przednią łapę i spojrział na nią spode łba, a to wywołało ponowny

56

wybuch śmiechu. Jej myśli! — Śmieszne, pełne manii prześladowczej fantazje starej ciotki, która rzadko uprawia seks, toteż ma wyobraźnię, dla której nic nie jest niestosowne, już nie, i niebawem zgaśnie humor, potem pamięć, aż w końcu będzie sikać pod siebie w jakimś zakładzie opieki. Musi sobie odpuścić.

Kot przestał chleptać mleczko, otarł się o jej łydki i zamiauczał. Schyliła się i podrapała go za uchem. Na obróżce widniało jego imię wyryte w żelazie: Hógni.

— Cześć, Hugni — odezwała się Eva. — Długo już tu mieszkasz?

W holu dyżurował siwowłosy recepcjonista z poprzedniego dnia. Na plakietce na piersi widniało imię „Einar”. Starej nigdzie nie było widać.

Eva życzyła „Einarowi” dobrego dnia i gawędziła z nim na temat deszczowej pogody, dopóki cichy dzwonek nie oznajmił, że otworzyły się drzwi windy. Wysiadła z niej stara, ubrana w błękitne lśniące ciuchy sportowe z epoki disco, opięte ciasno na kościstych biodrach i płaskich piersiach, białe legginsy do kolan i czerwone opaski na nadgarstkach i czole. Barwy flagi!

To przypadek, mam nadzieję, pomyślała Eva. Miała ochotę się roześmiać, lecz uśmiechnęła się tylko, jakby ucieszyła się na widok starej.

— Nie ma co zwlekać — zarządziła stara energicznie i uniosła pięść w górę.

57

Eva podążyła za nią przez drzwi opodal windy i dalej do wielkiej, jasnej sali wyposażonej w sprzęt gimnastyczny: steppery, rowery, bieżnie, umieszczone w rzędzie przed szklaną ścianą oraz sprzęt do wyciskania, który skojarzył się Evie z kłębówiskiem drutów na złomowisku.

— A oto i cudowności — powiedziała stara. W sali znajdowały się dwie osoby, na jednej z bieżni przebiegała nogami blondynka w wieku Ewy, ubrana w obcisłe szorty i przeciwpotną koszulkę, o nogach pięknie rzeźbionych, długich i opalonych, wzbudzających w Evie mieszaninę pogardy i przerażenia, chłopak zaś walczył z ciężarami na jednym ze stanowisk. — Świątynia ducha — dodała stara zamyślona i skierowała wzrok na chłopaka, który, jak się zdaje, także ją zauważył.

— Begga — zawołał młodzieniec, wstał i podszedł do nich. Ciemnowłosy, szeroki w barach, umięśniony o wysokich kościach policzkowych — przystojny w jakiś nieprzyjemny, prostacki sposób.

— Kochanie — odpowiedziała mu stara, pozwalając pocałować się w oba policzki. Wymienili się informacjami na temat jakiegoś wspólnego znajomego, kiedy ostatni raz się z nim widzieli, a Eva milczała. Usiłowała nie dać poznać po sobie, jak idiotycznie czuje się w stroju sportowym, rozejrzała się wokół, jakby szukając odpowiedniego sprzętu — pasującego do jej mięśni, dopóki stara nie zwróciła się do niej, by ją przedstawić:

— To Eva. Czyja córka?

— Einara.

58

— Eva Einarsdottir właśnie wprowadziła się do apartamentu Emila. Tego, w którym mieszkała Marie. Chłopak skinął głową, po czym oboje przyjrzeni jej się dokładnie, taksując ją od stóp do głów. Stara zachowywała się tak, jakby nigdy wcześniej jej nie widziała, prawie jakby się za nią wstydziła.

— Atli — przerwał ciszę chłopak. Podali sobie dłonie. — Piękne mieszkanie, Emil słynie z dobrego gustu. Zarówno gdy chodzi o lokatorki, jak i apartamenty! — Chłopak uśmiechnął się do niej.

— Wyjątkowo — potwierdziła stara i zwróciła się do Ewy: — Atli pracuje w banku. Landsbanki. Zna się zatem na gustach. Prawda, Atli?

Atli wybuchnął śmiechem, strzelił palcami, podniósł łokieć do boku, podłożył pod brodę płaski wierzch dłoni, zamknął oczy i obnażył zęby w grymasie, który zarówno mógł być wyrazem radości, jak i bólu; potem oczy się otworzyły, ręka opadła, a wszystko to nastąpiło zbyt szybko, by Eva połapała się, co to było, jeśli w ogóle coś — człowiek drapiący się pod brodą, dziwaczny jakiś tik czy powitanie, którego nie zrozumiała.

Stara ujęła Ewę pod ramię, poprosiła Atlego, by im wybaczył, zostawiła ją przy jednym ze stepperów, a sama weszła na bieżnię obok jasnowłosej dziewczyny. Eva zaczęła ćwiczyć wolno, w najniższym tempie dostępnym w komputerowych ustawieniach, patrzyła przez szklaną ścianę na zarośnięty plac na tyłach budynku, ale dostrzegła jedynie pieczenie w płucach,

59

doskwierający ciężar ud i przemożną chęć, by położyć się na ziemi.

Po kilku minutach zeszła ze steppera, osunęła się na kolana, ciężko dysząc, przekonana, że za chwilę zemdleje; wzrok przesłoniła czerń, usłyszała pipanie komputera, śmiech starej i jej krzyk, żeby się nie poddawała. Na koniec stara powiedziała coś do blondynki, która także zaczęła się śmiać.

Kiedy udało jej się złapać oddech, podeszła do plastikowych materaców w kącie i położyła się w odprężającej „pozycji trupa”, której nauczyła się na lekcjach jogi w San Francisco. Walczyła z sobą, żeby nie usnąć. Atli, człowiek Landsbanki, opuścił salę. Gdy tylko zamknęła oczy, stanęła nad nią stara i nakazała skorzystać z urządzeń, które rozciąga uda i ma wzmacniać „miednicę, serce i duszę”. Głównie jednak męczy uda. Tak uważała Eva. Trudno jej było podnieść się na nogi.

Stara przegoniła ją jeszcze przez kilka urządzeń, a Eva nie miała siły protestować. W jednym z luster przypadkiem dostrzegła swoje odbicie — twarz pocizerwieniała z wysiłku, ciuchy bezkształtnie wiszące. Pod koniec nie wiedziała już, czy płacze czy śmieje się z tego, jak bardzo się trzęsie i że straciła czucie w całym ciele. A potem było po wszystkim. Stara wyprowadziła ją z sali do szatni, gdzie się rozebrały każda w swoim boksie, owinęły się ręcznikami i poszły do sauny.

— Nie ma to jak sauna — powiedziała stara, gdy

wchodziły do kabiny, małej i ciemnej.

60

Eva zajęła miejsce, a stara zapaliła pod kamieniami i zaczęła polewać je wodą, dopóki kabina nie wypełniła się parą. Eva oparła się o ścianę i westchnęła; kątem oka zauważyła, że stara odwinęła ręcznik i naga położyła się na ławce pod nią.

— Dobrze... o jak dobrze — mamrotała stara. — Nie zdejmiesz ręcznika? Wygodniej. Ja to bym tam chodziła nago cały dzień, gdyby mnie za to nie aresztowali. A ty, z takim pięknym ciałem!

Eva nie odpowiedziała, ale pomyślała sobie o telewizorze i recepcjoniście na kanale 14. On się onanizował! Zaświtało jej w głowie, że być może jej się to śniło, ale to nie miało sensu — pamiętała słowa, które padły wczoraj w holu: „Nigdy nie wiadomo, co oni tam robią pod biurkiem”, „północ” i „tylko nie przegap!”.

Otworzyła usta, by o to zapytać, ale zamiast tego usłyszała, że porusza temat maski w sypialni.

— Jest coś w ścianie w sypialni — powiedziała.

— Maski. To znaczy, nie wiem, jak to opisać, owalne wgłębienie, jakby zrobiono odlew twarzy i wpuszczono w ścianę, tę która sąsiaduje z mieszkaniem obok. Pamiętasz, czy ją kiedykolwiek widziałaś? Kiedy odwiedzałaś...

— Marie? Nie, nie kojarzę... brzmi dziwnie.

— Zastanawiałam się, czy to może dzieło sztuki. To znaczy, to jest dzieło sztuki, najwyraźniej. Rzeźba. Ale nie ma podpisu artysty. Nie wiadomo, kto jest twórcą. Drzwi sauny otworzyły się; w świetle dobiegającym z korytarza pojawiła się czarna sylwetka. Weszła do

61

środką, mówiąc, że od weekendu przytyła półtora kilo. Dziewczyna. Blondynka z bieżni. Przeszła nad starą i usiadła obok Ewy.

— Rannveig — przedstawiła się, przysuwając twarz do jej twarzy i uśmiechnęła się, strasząc upiornymi białkami oczu w zaparowanym pomieszczeniu. — Ty jesteś Eva, ta nowa dziewczyna z mieszkania Grace, prawda?

— Grace?

— To znaczy Marie — wyglądała na zakłopotaną.

— A dlaczego powiedziałaś Grace? Kto to jest Grace?

— Za dużo ludzi spotyka, biedaczka — odezwała się stara schrypniętym głosem dobiegającym jakby zza ściany. — Jak to człowiek ma rozróżniać, a co dopiero kobieta w moim wieku...

— To ty znasz jakąś Grace? — Eva sama nie rozumiała, dokąd zmierza, jeszcze nie.

— Wybacz Evie, Rannveig. Jest trochę pogubiona, źle zrozumiała coś w związku z mieszkaniem. I może trochę zbyt szybko przeleciała przez strefy czasu. Jest w tobie, Evo, jakieś zmęczenie, jakiś mętlik.

— Jet-lag. Zespół nagłej zmiany strefy czasowej — potwierdziła Rannveig i dodała, że strasznie tego nie cierpi: - Czego bym nie próbowała, nic nie działa, chyba tylko ścisła dieta. Przez całą drogę nic nie jem, piję tylko wodę. Moja przyjaciółka stanęła raz na głowie, w toalecie, na kilka minut. Powiedziała, że zadziało. Chodzisz na jogę? Może zabiorę cię do Laugar.

— Dobrze się tutaj mieszka — rzuciła stara i Eva nie wiedziała już, o czym rozmawiają. Rannveig powie-

62

działa, żeby uważała na pokojówki, po czym rozwinęła ręcznik, rozłożyła na ławce i położyła się na plecach. Eva przyciągnęła nogi do siebie, żeby nie dotykać palców Rannveig, przesunęła wzrokiem po jej ciele, szczupłym, lecz pięknie wyrzeźbionym, choć z małymi piersiami. Dokładnie wygolona między udami w wszechobecnej parze sprawiała wrażenie, że nic między nimi nie ma, lekko wypukła absencja przypominała krocze lalki.

— A w każdym razie biżuterię i pieniądze, jeśli masz je na wierzchu. Nigdy nie wiadomo. Mamy tu dwie z Filipin — Rannveig ciągle mówiła o pokojówkach.

— Ona zastała okradziona — wyjaśniła stara. — Najlepiej nie ufać nikomu. Może tylko tym, których życie od ciebie zależy.

— Masz kogoś konkretnego na myśli? — bąknęła Rannveig z głębi oparów, a Evie wydało się, że chce.

— Ludzkość jest zła z natury — ciągnęła stara.

— Tysiące lat rozwoju miały na celu udoskonalenie zła. Człowiek jest padlinożerny, trawożerny, roślinożerny, ale przede wszystkim jest drapieżnikiem i ci, którzy o tym wiedzą, zwyciężają. Doskonali w sobie tę najgłębszą naturę, podczas gdy nieudacznicy w oświetlonych hipermarketach starają się przewietrzyć tkwiącego w nich padlinożercę. Cała nasza kultura wynika z tego, że a) kilkoro drapieżników postanowiło polować razem dla wygody i b) mamy zdolność pocenia się i długodystansowej pogoni za ofiarą.

63

— To trochę przypomina pracowników banków
— bąknęła Rannveig, a Eva usłyszała, jak stara zgrzyta zębami.
— Ale niezależnie od ludzkości — odezwała się Eva, chcąc z powrotem sprowadzić konwersację na ziemię, gdyż denerwowało ją, że zaczęły aż tak orbitować, wkurzała ta cała ich sztuczność i wyświechtane frazesy starej. A poza tym nareszcie dotarło do niej, że mają tu pokojówki, Rannveig mówiła o pokojówkach. — Powiadasz, że w naszym wieżowcu mamy pokojówki?
— Oczywiście, że mamy pokojówki — odparła Rannveig. — Myślisz, że na zmianę sprzątamy powierzchnię wspólnie użytą?
— I w mieszkaniach też sprzątaję?
— Jasne.
— Evo, co ci jest? — zapytała stara, lecz Eva nie miała zamiaru odpowiadać, zaprzętnięta myślą, że wszystko jest nie tak, wszystko, co jej mówiono, to fałsz: zaproponowano jej korzystanie z lokalu, którego lokatorka przebywała w podróży, gdy tymczasem popełniła samobójstwo; mogła użytkować mieszkanie za darmo, w zamian za opiekę nad kotem, podlewanie roślin i sprzątanie, a potem okazało się, że nie ma żadnych kwiatków, kot pojawia się na minutę dziennie, a teraz jeszcze doszły pokojówki sprząające mieszkanie.
— A więc zabijanie! — krzyknęła Rannveig, chichocząc w oparach. Rozmawiały o czymś ze starą. — Jak to się przejęła tą ideą, stara hipisiara. A co z ideałami, miłością, wolnością...

64

— Bzdury! — zaskrzeczała stara. — Wiesz równie dobrze jak ja. Wszelkie ideały usuwają przeciętniaków poza nawias. Przeciętniak zawsze pozostanie więźniem swojej zamkniętej, strachliwej duszy. I w ten sposób wykluczonych zostaje dziewięćdziesiąt dziewięć procent służących jednemu procentowi, choć czasem dla zabawy udaje im się zerwać pęta. Nie dlatego, że tacy się urodzili, zaleknieni i pozbawieni inicjatywy, lecz dlatego, że takie jest życie, w ten sposób rozdaje się karty, a ta cała zabawa niestety kończy się, nim człowiek osiągnie wiek dziesięciu lat. Niestety. Ale myślisz, że ja mam zamiar marnować życie, użalając się nad innymi? A miłość! Miłość, o której tu mówisz, nie jest prosta i bardzo rzadko romantyczna. Ludzie uczą się kochać różne rzeczy, ale większość kocha kajdany. Tak już po prostu jest.
— Tak już po prostu jest! — Rannveig roześmiała się, wprawiając w drganie swoje nieduże piersi.
— Wiesz, że mam rację — skarciła ją stara. Potem zmie-

niła ton i zwróciła się do Ewy: — Przystojny chłopak ten cały Emil, nie uważasz? Wpadał tu czasem odwiedzić Marie. Sądzę, że byli kimś więcej niż przyjaciółmi...
— Bergthoro, mam narzeczonego — odparła Eva, tłumiąc kipiącą w niej wściekłość — jak zresztą wiesz.
— Ale nie zaszkodzi rozejrzeć się wokół — stara uderzyła w lżejszy ton, lecz Eva zaprotestowała, a wściekłość krążyła jej w piersiach niczym gorąca kula.
Rannveig kazała starej zostawić Ewę w spokoju, nie wszyscy odkryli w sobie płciowość w latach siedemdziesiątych albo przyswoili sobie idee wolnej miłości.

65

— Zapominasz o rewolucji porno, moja droga, ona zdaje się jest waszym dziełem? Myślisz, że nigdy nie wchodzi do Netu? Pornografia jako przemysł. Taki sam jak rybołówstwo czy waluty, nieosobista ceremonia, squirting i facial, fisting, anal lick, orgie lesbijskie, zwierzęta...

— Przestań! — krzyknęła Rannveig, wybuchając śmiechem. Stara także zaczęła się śmiać. — A czy seks kiedykolwiek był czym innym niż przemysłem? Tylko że nigdy nie potrafiliśmy uczciwie spojrzeć prawdzie w oczy. W najnowszej ustawie na przykład pozwala się islandzkim kobietom sprzedawać swoje ciało, sankcjonuje się je jako towar, którym do woli można handlować, zakazując jednocześnie kupna. Co jest oczywiście idiotyzmem. To jasne, że należy zezwolić na jedno i na drugie, inaczej mamy do czynienia z hipokryzją.

Kontynuowały ten temat, dyskutując nad zmianami zwyczajami kurewstwa w kraju: islandzkie, czasem wschodnioeuropejskie dziewczyny hodowane w Reykjavíku dla grupy docelowej, jaką stanowi islandzka finansjera — „wikingowie ekspansji” — i ich zagraniczni przyjaciele. Nowością przemysłu kurewskiego były wyższe honoraria, dziewczyny często posiadające wyższe wykształcenie ekonomiczne lub politologiczne i władające dwoma językami obcymi.

— To brzmi, jakbyśmy mówiły o całym narodzie islandzkim, tyle że on tym samym facetom płaci za to, że go dymają.

66

Stara zmieniła temat, zapraszając je do siebie na kolację następnego dnia: Rannveig, Ewę i Atlego, narzeczonego Rannveig, a może i innych jeszcze mieszkańców wieżowca. Rannveig się zgodziła, a Eva usłyszała siebie, jak wy-

myśla jakieś ważne spotkanie w tym czasie, i to jeszcze zanim zorientowała się, czy ma ochotę na tę kolację.

— Jak długo będziesz? — spytała Rannveig, podkładając ramię pod szyję, unosząc głowę i patrząc na Evę wzdłuż swojego ciała. Patrzyła na nią ponad swoim niewielkim krocem lalki.

— Długo? — zdumiała się Eva. — O co ci chodzi?

— W mieszkaniu.

— Nie wiem, myślę, że to się okaże. — Nie miała pojęcia, czy lub jak ubrać w słowa swoją tam obecność.

— Mój narzeczony chciał tu przyjechać... Mieszkamy w Nowym Jorku, wynajmujemy tam mieszkanie i jeszcze nic nie zdecydowaliśmy...

— Wspaniale. To znaczy Nowy Jork jest wspaniałą. Byłam tam kiedyś, to znaczy my, ja i Atli. On pojechał, służbowo, a ja bawiłam się w sklepach.

— Nie zachowuj się jak idiotka! — zagrzmiała stara, niczym trąby we mgle. — Rannveig jest największą nadzieją islandzkiej kobiety. Następny dyrektor generalny Islandii, prawda Rannveig? Następny Bjarni Armanns'?

— Jeśli uda mi się uniknąć feministek — odparła Rannveig. Roześmiały się. Rannveig znów wróciła do

* Były dyrektor generalny banków Kaupthing i Glitnir.

67

Evy: — A nie czujesz, że to nieprzyjemne... To znaczy to, co się stało. Nie mieszka ci się tam nieprzyjemnie po upływie tak krótkiego czasu od tamtego?

— Czego? — zdziwiła się Eva. — Po upływie krótkiego czasu od czego?

— Jak się zabiła. Słyszałam, że połknęła tabletki.

Jedna tabletką, druga tabletką, trzecia tabletką... tabletką za tabletką za...

— Nie wtrącaj się do tego, Rannveig — ostrzegła ją stara. — Eva ma zbyt dużo własnych spraw, żeby interesować się problemami innych. Pogadajmy na jakiś fajniejszy temat, na przykład kogo by jeszcze zaprosić na jutrzejszą kolację, żeby nie została z parą młodszą o trzydzieści lat, płonąca pożądaniem, które dla mnie samej jest już tylko wyschniętym wspomnieniem. — Stara i Rannveig eksplodowały śmiechem, a Eva podniosła się, nie wiedząc, czy dość już ma tej rozmowy czy temperatury, ale czuła, że zaraz zemdleje.

Usłyszała się, jak mówi coś, że gorąco i że świeże powietrze, wyszła na korytarz, podpierając się o ściany dotarła do drzwi prowadzących do ogrodu na tyłach domu i otworzyła je.

Wciągnęła w płuca zimne powietrze, usiadła czy raczej osunęła się na ławkę i spuściła głowę na kolana, zasłuchana w szum w głowie wyobrażała sobie, że znajduje się w mgiełce wodnej, przyjaznej i orzeźwiającej mgiełce wodospadu Oxararfoss, gdzie kiedyś siedzieli na trawie z Hrafnem, obejmowali się, jedli oliwki, pili

68

czerwone wino i zastanawiali nad najlepszym miejscem na miłość w ukryciu przed wzrokiem postronnych. Doszła do siebie. Wrócił wzrok, a szum w głowie powoli cichnął. Miała przed sobą plac zabaw dla dzieci. Sprzęty wyglądały na nowe, nieużywane. I trawnik. Wstała z ławki, przesunęła stopy po szorstkiej, ła-skoczącej trawie, niesamowicie beztroska, zważywszy, że ma na sobie wyłącznie ręcznik. Ale było jej wszystko jedno. Przecież i tak długo tu nie pomieszka. Na trawniku przed sobą zauważyła prostokątną tabliczkę przypominającą płytę nagrobkową; wyryto na niej jakiś napis. Przesuwała się dookoła tabliczki, aż wreszcie udało jej się przeczytać napis: Tu kończy się ucieczka. Rozejrzała się dokoła, po czym znowu spuściła wzrok. Tu kończy się ucieczka. Pochyliła się, poszukując autografu autora, lecz go nie znalazła. Zupełnie jak na masce w sypialni. Kiedy ponownie podniosła wzrok, stara stała w drzwiach; zanosząc się śmiechem i przyciskając ręcznik do piersi, spytała, czy wszystko u niej w porządku, po czym nakazała jej wracać do środka.

CZERWONE DRZWI PRZECIWPOŻAROWE

Wieczorem ugotowała tortillę, którą kupiła w Bonusie przy Laugavegur, wypiła kieliszek czerwonego wina do kolacji i na tym poprzestała. Była senna, jednak chociaż ćwiczenia na siłowni sporo ją kosztowały, czuła, że jej myśli są bardziej klarowne, a uczucia nie tak chaotyczne. Podejrzewała przynajmniej, co zrobi następnego dnia: po pierwsze zajmie się czymkolwiek, a po południu spotka się z Hrafnem w kawiarni. Przyśłał jej SMS-a, przyjął przeprosiny, nie wspominając o tym wprost, i zgodził się na spotkanie w terminie, jaki mu proponuje.

Po kolacji stanęła w drzwiach prowadzących z kuchni do pralni. Część pomieszczenia została przeznaczona na swego rodzaju magazyn, wypełniony kartonami win, piwa i żywności, makaronem, ryżem, czekoladkami, ciasteczkami, a człowiek, który oprowadzał ją po mieszkaniu, powiedział jej, że może korzystać z tego do woli.

Ale było tu coś jeszcze, czego do tej pory nie zauważyła. Rozejrzała się po pomieszczeniu. Pralka. Sznury zawieszane pod sufitem. Półki z kartonami. Plastikowy kosz na brudy. Pomyślała sobie o Marie. A może to była Grace? Czyżby mieszkały tu przed nią dwie kobiety? W tym samym czasie, czy jedna po drugiej?

70

W rogu, nieopodal kosza, zauważyła to, za czym się rozglądała, to co wcześniej przeoczyła: drzwi nierzucające się w oczy, niemal w kolorze ściany. Zauważyła je, kiedy pokazywano jej apartament po raz pierwszy, ale jakoś nie przyszło jej do głowy zapytać, co się za nimi znajduje. Drzwi otwierały się po przesunięciu zasuw w bok. Czy prowadziły do mieszkania obok, tego, które stało puste?

Po co tutaj te drzwi? Żeby mieszkańcy najwyższego piętra, jeśli najdzie ich na to ochota, mogli łatwiej się komunikować poprzez pralnię?

Przyszło jej do głowy, że zasuw może być podłączona do jakiegoś systemu alarmowego, więc nie miała odwagi jej ruszyć, nie sama, ale postanowiła o to zapytać. Natychmiast. Jeśli nie przejmie kontroli nad własnym życiem, to kto to za nią zrobi? W każdym razie na pewno nie Hrafn. Pomyślała, żeby zadzwonić do recepcjonisty i poprosić go do siebie, ale nie знаła numeru, a gdyby dyżur miał ten cały Snorri, czułaby się niekomfortowo; nie była pewna, czy chciałaby przebywać sama w jego towarzystwie tu na górze.

Poszła po klucz do mieszkania i gdy zjeżdżała windą, nagle poczuła przypływ zainteresowania wszystkim, co dotyczyło użytkowania mieszkania: co by się na przykład stało, gdyby ściągnęła windę, a ktoś by w niej już był. Czy winda przyjechałaby na górę i otworzyła drzwi do jej mieszkania razem z intruzem?

Weszła do holu i zauważyła, że to Snorri, ten młodszy i bardziej umięśniony, siedzi za biurkiem. Nie

była tym zachwycona, ale skoro już się tu znalazła, nie wiedziała, co innego może zrobić, niż przedstawić mu swoją prośbę. Powiedziała, że ma ochotę spytać o drzwi w swoim mieszkaniu i jakby bezwiednie wybuchła przymilnym śmiechem, mówiąc, że wie, jak to zabrzmieć, ale jest całkiem sama...

— Jasne — przerwał jej Snorri. — Rozumiem, że to może sprawiać ci pewien dyskomfort. — Głos miał opanowany, a nawet śmiertelnie poważny, co jej się spodobało. — Oczywiście, że to rozumiem. Kobieta zupełnie sama w mieszkaniu i tajemnicze drzwi w ścia-

nie? Wjadę z tobą na górę i rzucę okiem. A jakiego koloru są te drzwi?

Opisała mu wygląd i umiejscowienie drzwi i poszła za nim do windy. Odniosła wrażenie, że Snorri doskonale wie, o jakie drzwi chodzi, i tak naprawdę nie musi jechać z nią na górę, ale nie miała nic przeciwko temu, już nie. Emanował pierwotną, ujarzmioną siłą, której bliskość ją uspokajała. Czuła się jak dziecko w towarzystwie ojca. Jadąc do góry, wspomniała o swoich wątpliwościach co do windy, lecz Snorri kazał jej się nie martwić.

— W windzie zamontowane zostały czujniki, które „widzą”, czy jest pusta, czy nie. I jeśli nie jest pusta, to nie pojedzie na najwyższe piętro. Proste.

— A co jeśli jest duży ruch? Jak na przykład rano, kiedy ludzie idą do pracy? Nie trzeba wtedy długo czekać? Albo jak ktoś w drugim mieszkaniu, na tym samym piętrze, ściągnie windę w tym samym czasie? Czy wtedy otwierają się naraz drzwi do obu mieszkań?

72

— W drugim mieszkaniu nikogo nie ma, przynajmniej na razie. I myślę, że kursy na najwyższe piętro są uprzywilejowane zgodnie z ceną mieszkań. I tylko jedne drzwi otwierają się naraz. — Roześmiał się. — Tu nie jest tak, jakbyś mieszkała na blokowisku w Breidholt. W tej windzie nie ma ruchu, jeśli o to chodzi, a już na pewno nie rano. Myślę, że tutejsi lokatorzy nieczęsto wychodzą do pracy. W ogóle jakoś mało tu widać lokatorów.

Drzwi windy otworzyły się i weszli do mieszkania. Eva od razu skierowała się do pralni i podeszła ku drzwiom w ścianie. Snorri przyjrzał im się uważnie.

— Tak jak podejrzewałem — powiedział. — Drzwi na klatkę przeciwpożarową.

— Oczywiście — przytaknęła i rozzłościła się na siebie, że sama na to nie wpadła. Oczywiście, i niewykluczone, że ten, który oprowadzał ją po mieszkaniu, wspomniał o tym, gdy pokazywał jej pralnię.

— Ale zostały zamalowane, co jak się spodziewam, trzeba będzie poprawić. Mają być czerwone i porządnie oznakowane. — Potrząsnął głową z aktorskim zacięciem. Potem odsunął zasuwę, drzwi się otworzyły i jednocześnie zapaliło się światło na zewnątrz. Patrzyli na wąską klatkę. Naprzeciwko nich, w ścianie sąsiedniego mieszkania, znajdowały się takie same drzwi.

— Drzwi do mieszkania obok — powiedział, kiwając głową.

Wyszedł na klatkę i dał znak, by poszła za nim. Puściła drzwi, które zatrzasnęły się za ich plecami. Snorri

powiedział, że nikt nie musi się martwić o „nieproszonych gości”.

— Żadnej klamki, nic, widzisz? Gładkie — wskazał też na drugie drzwi, a Eva się na nie zagapiła, tak gładkie i czerwone na tle białych ścian. Żadnej klamki, żadnego zamka. — Drzwi otwierane wyłącznie od środka, a nie z zewnątrz — kontynuował Snorri. — A poza tym jest oczywiście alarm przeciwwłamaniowy, gdyby ktoś usiłował je sforsować. Ale to jest trudne. Są ze stali, ognioodporne. Jak zresztą wszystkie drzwi w tym budynku.

Dobrze, pomyślała Eva, dobrze, dobrze i kontynuowali zwiedzanie, zeszli po schodach na niższe piętro, dziesiąte, do trzecich identycznych drzwi.

— Aha — skomentowała, poczuwszy ogromną ulgę. Stali na końcu korytarza, po stronie południowej.

A więc tak to wygląda. Nic skomplikowanego. Takie normalne. Jakby spodziewała się czegoś innego.

Wpatrywała się w drzwi, które wyrosły przed nią, oznaczone numerem 102. Bergthora, pomyślała Eva i przypomniała sobie, że stara mówiła, iż mieszka pod nią.

— Tutaj mieszka twoja przyjaciółka — powiedział Snorri, jakby czytał w jej myślach. — Bergthora. — Ruszył korytarzem.

Postała przez chwilę przed drzwiami starej, nasłuchując, wyobrażała sobie, że ta, usłyszawszy, iż weszli na klatkę, przywarła uchem do drzwi i podsłuchuje.

Uśmiechnęła się do siebie — ach, te plotkary, wszystkie takie same — i poszła za Snorrim.

W korytarzu znajdowało się czworo drzwi prowadzących do tyłu mieszkań, lecz Snorri podeszedł do piątych, bliżej frontu budynku i oznaczonych napisem: Wyjście przeciwpożarowe. Otworzył je i pokazał Evie schody, które, jak powiedział, prowadzą aż na sam dół do garażu.

— Gdyby coś się wydarzyło, to tą drogą należałoby uciekać.

— Uciekać? — Wydało jej się, że słowo to brzmi nieco dziwnie w kontekście klatki przeciwpożarowej. Uciekać było zbyt mocnym słowem.

— Schodami w dół i do holu albo jeszcze niżej, aż do garażu. Tam są drzwi na ulicę. — Śmiał się, przesywając ją wzrokiem. — Tak to wygląda. Zadowolona? — Eva skinęła głową, jeszcze raz przeprosiła za kłopot i znów

poczuła się jak dziecko, wdzięczne dziecko.

Poszli do windy.

Po wizycie Snorriego poczuła się zdecydowanie lepiej, choć nie oparła się pokusie, by przesunąć pralkę pod drzwi przeciwpożarowe, żeby zapobiec wtargnięciu jakiegoś intruza, niezależnie od tego, jak gładkie były po drugiej stronie. Zaczęła przesuwac pralkę, lecz po chwili zrezygnowała, śmiejąc się z własnej głupoty, bo oto przypomniała sobie, że drzwi otwierają się na zewnątrz, a nie do środka, więc nie miało żadnego znaczenia, czy coś je zasłania, czy nie. Poza tym nie bardzo wiedziała, kto

75

miałby ją nachodzić, czy w ogóle komuś udałoby się pokonać wszystkie zabezpieczenia przeciw włamaniom.

Postanowiła spróbować się uspokoić, opanować myśli i śmiech; poszła do sali projekcyjnej i przeleciała tytuły, jednak źle się czuła sama w tej hali bez okien, więc sięgnęła do walizki po Listy Sylvii Plath; po dłuższych zmaganiach udało jej się rozpaść ogień w kominku w salonie, po czym rozebrała się do naga w toalecie. Myślała o Snorrim, o jego szerokich barach, przyziemnej miałości, której w jakiś dziwny sposób udało się rozprzestrzenić w świecie, przedzierzgnąć w arogancję i pozwolić poczuć kimś większym i lepszym od innych — na przykład od niej, i o tym, jak na nią patrzył, z góry. Z pogardą. Jakby coś z nią było... jakies... flippant... nie pamiętała islandzkiego słowa: lekkomyślne, bezcelowe, niepotrzebne. Co za porażka. Niezniszczalna, wieczna i głupia arogancja mężczyzn. Przed lustrem uszczypnęła się w tyłek, biodra i zewnętrzna stronę ud, przyjrzała się piersiom i rutynowo obmacała je, szukając guzków; włożyła szlafrok, wyłączyła światło w salonie i położyła się z butelką czerwonego wina i Listami na dywanie przed rozpalonym, strzelającym wesoło ogniem w kominku.

Nie chciało jej się czytać, naląła kieliszek wina i siedziała bez ruchu, wpatrując się w płomień, zamyślona dotykała swoich piersi, dopóki sutki nie stwardniały i wtedy zaczęła je szczypać przez materiał szlafroka i wykręcać między palcami. Potem zerwała szlafrok z piersi, włożyła dwa palce do ust,ssała je i lizała, roz-

76

wierając uda w stronę ognia, posmarowała śliną sutki i jedną ręką szczypała je, drugą zaś przeniosła na wilgoć między nogami. Płomień czerwono igrał, gorąco, a jego żar koncentrował się w jednym punkcie między

jej udami; pocierała łechtaczkę, myśląc o spływającej krwi, mięsie, przyziemnej miałkości recepcjonisty, zacisnęła zęby i coraz szybciej poruszała ręką, dopóki nagle nie odniosła wrażenia, że ktoś ją obserwuje. Natychmiast przerwała, usiadła gwałtownie, zasłoniła piersi i odwróciła się w stronę korytarza prowadzącego do sypialni. Dwoje rozżarzonych, zielonych kocich oczu wgapiało się w nią z mroku.

— Hugni!... Hugni, kiciuś... co ty tam robisz? — Serce jej waliło, chwyciła się za czoło i zachichotała, po czym zbliżyła się do kota na czworakach. — Kochany mały kiciuś, kochany porzucony Hógni — szeptała. Kot tkwił bez ruchu z nastroszonymi uszami, głową wyciągniętą do przodu i w dół, przednią łapą uniesioną w gotowości. Położyła się przed nim na brzuchu. On przeniósł wzrok na biały stół w salonie.

— Co jest, mój koteczku... — mruzczała, przerzucając spojrzenie z kota na stół. — Boisz się stołu?

Wstała, zapaliła górne światło i podeszła do stołu, uklękła i zajrzała pod niego, ale nie zauważyła niczego, co mogłoby wzbudzić kocią ciekawość. Pająk? Nie znała się na zwierzętach. Musi sprawić sobie obrus, by zakryć nim stół, brzydki na swój minimalistyczny sposób: biały, klockowaty, o ostrych kantach. Antyminimalistyczny kot.

77

Kiedy się odwróciła, kota już nie było. Nalała sobie szklankę wody, położyła się na sofie i ponownie spróbowała zacząć czytać, lecz nie potrafiła skoncentrować się na lekturze, zwieńczyła dzieło masturbacji, satysfakcja jednak była krótkotrwała i marna. Potem nie mogła zasnąć, wydawało jej się, że mieszkanie jest otwarte, a ona w nim bezbronna, a do tego jeszcze ciche i mroczne, choć zapaliła światło na korytarzu i w kuchni. A kiedy wydało jej się, że czuje dziwny powiew pozostający w niejasnym związku z maską w ścianie, miała dość — na trzeźwo, tak to jest zasypiać na trzeźwo, idiotko — porwała z sobą kołdrę, opuściła sypialnię, wrzuciła do komputera płytę Relaksacja. Sigurlina Einarsdottir i położyła się na sofie.

Zamknęła oczy:

„Mówi do ciebie Sigurlina Einarsdottir. Usiądź wygodnie i pocuj się komfortowo. Odpręż się maksymalnie, jak tylko możesz. Tę chwilę masz wyłącznie dla siebie, możesz zamknąć oczy, zamknąć oczy na swoje środowisko, otaczający cię świat, i pozwolić sobie zatopić się we własnym wnętrzu...”.

Po chwili już spała.

MARIE I GRACE

Przemiana postaci: Gestalt coś tam; słowo które przyszło jej na myśl podczas śniadania; niezrozumiałe z początku, ale potem przypomniała sobie, że jej przyjaciółka używała tego terminu, kiedy rzucił ją narzeczony, a ona robiła wszystko, by zrozumieć, zorientować się, co się stało. Zrozumieć: odejść, rozpaść się, zorientować się, połapać. Przemiana postaci jest końcowym punktem etapu, którego celem jest, by pacjent zorientował się, że stary punkt odniesienia — któryś z centralnych punktów wiążących codzienność, a nawet całe jego życie — już nie istnieje, zniknął, a pozostała pustka nadal się będzie opróżniać, chyba że pojawi się nowy punkt odniesienia albo te, które już funkcjonują, dorosną do tego, by ją wypełnić.

Poszła do lodówki po mleko i przeskanowała swój mózg w poszukiwaniu ewentualnych kandydatów, którzy mogliby wrosnąć w pohrafnową pustkę w jej życiu, gdyby wszystko miało skończyć się jak najgorzej, co wydawało jej się jednak mało prawdopodobne. — Bóg? Sport albo joga? Rodzina? Przyjaciele? Nie. Od zawsze była niewierząca; bóg nawet nie umarł — nigdy nie istniał. Sport może tak, żeby uśmierzać powierzchowny ból, dzień po dniu? Rodzina była martwa i bezużytecz-

79

na, gdzieś tam był tylko tata. Jej przyjaciółka, może, ale tylko do pewnego stopnia, przyjaciele są tylko przyjaciółmi. A jej brakowało bliskości.

Wypiła kawę, poczuła ból po wewnętrznej i tylnej stronie ud i łydek, pozostały po ćwiczeniach fitness. Przyszło jej na myśl, by zadzwonić do starej i zapytać, czy nie napiłaby się kawy, ale machnęła ręką. W jej obecności czuła się niczym mała dziewczynka, głupia siksa, częściowo również dlatego, iż odnosiła wrażenie, że robi się z niej idiotkę — nie potrafiła pozbyć się tego uczucia: jest nieświadomym uczestnikiem jakiegoś horroru, a niewidzialni dla niej widzowie siedzą w zaciemnionej sali i bezpieczni za swetrami lub torbami z popcornem, przeżywają grozę ekranowych wydarzeń, kwestii i spojrzeń, które dla niej samej są niezrozumiałe, ponieważ nie ma świadomości kontekstu, nie słyszy muzyki.

Przez jedno mgnienie oka, w sali wypełnionej sprzętem do fitness, była też przekonana, że stara jest leciwą burdelmama, była „vert” w jakimś burdelu w Paryżu czy Brukseli i wstydzi się tego. A cała reszta to kłamstwo. Eva generalnie miała gdzieś przeszłość innych, ale kiedy

ukrywali coś przed nią, robiła się podejrzliwa. A była pewna, że stara ukrywa przed nią jakieś fakty z przeszłości, coś co bezustannie chce zasłonić, lecz jej się nie udaje, fałsz regularnie wychodził na jaw — w chłodnym spojrzeniu jej leciwych, zmęczonych oczu.

Z drugiej strony było coś fajnego w kontaktach z nią, w tym zatapianiu się w jej beczelności, despo-

80

tyzmie, ciągłym naleganiu, by postępować według jej woli, czyli słusznie, w tym oddawaniu jej władzy.

Pomimo dostępu do sieci w mieszkaniu Eva postanowiła wyjść z domu, rozchodzić zakwasy i usiąść potem w kawiarni internetowej, sprawdzić konto bankowe i odpowiedzieć na e-maile, które czekają już na to kilka dni lub tygodni. A po południu spotkać się z Hrafnem.

Po bardziej lub mniej bezcelowej włóczędce po mieście wylądowała w końcu w Bibliotece Miejskiej koło portu.

W jasnej i przytulnej wnęce na parterze kupiła kawę w automacie, usiadła, otworzyła komputer i połączyła się z Internetem. Zaczęła od mbl.is` — „Pięćdziesiąt osób ginie w zamachu bombowym”, „Problem z molestowaniem upośledzonych umysłowo”, „Najniższy w historii kurs korony”. Poczytała o koronie. Dyskusja na temat najistotniejszych nawet składowych systemu gospodarczego zdawała się jałowa i oparta na teorii spiskowej. Autor artykułu sugerował, że niewykluczone, iż „banki” zaniżają kurs korony z powodu bilansu zamknięcia kwartału; wspomniano tylko o tym i nie rozwinięto tego wątku w dyskusji, a artykuł skończył

* Strona internetowa największego do niedawna islandzkiego dziennika, konserwatywnej „Morgunbladid”.

81

się cytatem z wypowiedzi anonimowego urzędnika, że waluta stała się „zakładnikiem” banków.

Otworzyła swoją skrzynkę pocztową: uniwerek, tata, coś na temat wspólnoty artystów przeciw cenzurze, jedna „friendsend” — wiadomość z mbl.is, którą ktoś chciał, by przeczytała. Kliknęła link:

Kobiety: „Wszystko, czym ludzkość mogłaby się stać, nie różniąc się od krowy”, mówi niemiecki artysta Joseph Novak

Niemiecki artysta Joseph Novak, bawiący obecnie

w Islandii w związku z planowaną wystawą jego prac w Muzeum Sztuki Nowoczesnej, stwierdził w wywiadzie dla brytyjskiej gazety „Guardian”, że otrzymał szereg listów, w których grozi mu się śmiercią, wysłanych przez wściekłe kobiety z Francji. Groźby te są efektem jego najnowszych wypowiedzi w programie francuskiej telewizji, w których stwierdził, że kobiety są „pasywne i pozbawione wyobraźni”, że sama koncepcja kobiecości zawiera w sobie „wszystko, czym ludzkość mogłaby się stać, niczym nie różniąc się od krowy”, i kiedy mężczyzna gwałci kobietę, nie jest to nic innego, jak tylko „urzeczywistnienie jej pozycji w społeczeństwie”. Novak już wcześniej bawił w Islandii, a kilka lat temu wzbudził zainteresowanie rzeźbą, którą postawił w Akureyri. Pomnik stał się przedmiotem kontrowersji po sprawie dotyczącej psa Lukasa i domniemanego ataku na zwierzaka w pobliżu rzeźby właśnie. Pies miał być zamknięty w torbie sportowej, którą kilku akureyrickich

82

młodzieńców kopało między sobą, po czym okazało się, że pies żyje, a śledztwo w sprawie zostało umorzone bez przedstawienia aktu oskarżenia. W wyżej wymienionym wywiadzie dla „Guardiana” Novak twierdzi też, że czasowo osiadł w Islandii, a zapytany, co tam robi, odparł, iż „różnie islandzkie kobiety”. Novak w Islandii! To jeden z jej ulubionych artystów, a w każdym razie był nim, kiedy jeszcze uznawała wzorce, zanim zaczęto powszechnie mówić o Zniszczeniu i wernisażu w londyńskiej galerii Tate. Tytuł wystawy brzmiał „Zniszczenie”, tak jak nazwa grupy, która wystawiała — pracownicy galerii mówili później, że nie mieli pojęcia, na co się zanoszą. Na temat ekspozycji nie ukazały się żadne recenzje, ale za to była wiadomością we wszystkich najważniejszych mediach Europy. Pośrodku sali wystawienniczej przygotowano stajnię, do której sprowadzono piętnaście koni, wernisaż zaczął się tym, że jeden z członków grupy otworzył do nich ogień ze specjalnie przygotowanej estrady, zabijając je z karabinu maszynowego; w tym samym czasie przy pomocy igieł wydłubywano oczy kotom, biegnącym w panice po pomieszczeniu, odpalano bomby dźwiękowe — swego rodzaju granaty, które wydawały tak przeraźliwe piski, że niszczyły bębny obecnych, a dwóch członków grupy podawało sobie nawzajem rewolwer, w którym była zaledwie jedna kula, obracali bębenek i pociągali na zmianę za spust, dopóki pocisk nie utkwiał w głowie jednego z nich; zmarł potem w szpitalu. Wystawę

zamknięto bardzo szybko po jej otwarciu, a członków grupy aresztowano na podstawie brytyjskiego prawa o ochronie praw zwierząt, które najwyraźniej okazało się ważniejsze od manifestów estetycznych.

Wiadomość o Novaku była najpopularniejsza na mb.is, Novak w czystej postaci, z pewnością zaszczerpiony w muzeum. Eva nie miała pojęcia, kto przysłał jej ten link, bo wiadomość przyszła bez jakiegokolwiek komentarza. Jakaś jej przyjaciółka, co uznała za mało prawdopodobne, czy może ktoś z Muzeum Sztuki Współczesnej? Ale w artystycznym świecie Islandii nie znała nikogo, chyba że kilku dawnych przyjaciół Hrafna. Otworzyła wiadomość z uniwersytetu Columbia. Dotyczyła kursu postprodukcji, jaki zaczęła pół roku temu. Lakoniczna informacja, że pojawiły się już oceny, a zajęcia kontynuowane będą na wiosnę. W ogóle na nie nie chodziła. Inna wiadomość pochodziła od ewentualnego sponsora filmu dokumentalnego, który przygotowywała — islandzkiej firmy, jak się okazało niezainteresowanej współpracą. I zaproszenie na dyskusję panelową w Oslo poświęconą skandynawskim dokumentalistkom; pokrywają koszty podróży i utrzymania. Postanowiła odpowiedzieć na to później, a tymczasem zajrzeć do niechcianych, gdzie znajdowało się dziesięć wiadomości. Temat jednej z nich wzbudził jej zainteresowanie: „Dla małej Ewy”.

W ostatnich miesiącach otrzymywała wiele tego typu e-maili, a w temacie zawsze znajdowała swoje imię: „Halo Eva”, „Mała Evo”, „Biedna Evo” czy jakoś po-

dobnie, ale natychmiast je usuwała, co może było idiotyzmem, ale nie potrafiła inaczej. E-maile te wysyłano ewidentnie z wymyślonych i przypadkowych adresów zagranicznych — lkjlkj@aol.com — USA, Wielka Brytania, Francja, Belgia, wszystkie w tej samej manierze porno, bez retuszu, bez photoshopa, surowe genitalia i ciała. Otworzyła wiadomość i zobaczyła górną część zdjęcia, które natychmiast zaczęło się ładować. Przedstawiało ono blondynkę na kolanach, półkolem wokół niej stali faceci, niektórzy w T-shirtach lub koszulkach, ale wszyscy nadzy od dołu, ze sterczącymi w górę członkami, twarze zblurowane; bohaterka jedną ręką trzymała członek jednego z mężczyzn, podczas gdy ustami zaspokajała innego. Wyglądało, jakby zrobiono to zdjęcie podczas jakiejś orgii swingersów, mężczyźni różnej budowy, niektórzy wieśniacy i zarośnięci, podłoga zasyfiona i lepka i te widoczne fragmenty otoczenia, przywodzące na myśl jakiś

chory klub nocny. Eva zeskrolowała następne zdjęcie, będące zbliżeniem wypiętej kobiety — twarz zblurowana, za to cipa krzycząco czerwona i sfatygowana wyglądała jak dziura po kuli wystrzelonej z fuzji, odbył rozdziawiony i luźny niczym czarna dziura, roniąca przezroczystą czerwoną spernę.

Zmrużyła oczy i szybko zeskrolowała na sam dół wiadomości, nie oglądając kolejnych zdjęć, ale nigdzie nie natrafiła na żaden tekst; temat: „Dla małej Evy” to było wszystko.

Przyszło jej do głowy, że wiadomości te przysyłają jej może jacyś członkowie grup swingersów — ludzi, któ-

85

rych podnieca udostępnianie swoich partnerów seksualnych innym, mają szczególne upodobania w dziedzinie seksu, ale teraz już nie była tego pewna; wszystkie wiadomości uwzględniały jej imię, co samo w sobie niczego nie wyjaśniało i zdarzało się wśród licznego spamu — pewno wyciągnięte z adresu e-mailowego, który zazwyczaj zawierał imię odbiorcy — ale ten kontekst ponizenia i protekcyjny ton, wielokrotnie powtórzony, czynił je o wiele bardziej osobistymi niż zwykła niechciana wiadomość. I nieprzeparłe wrażenie, że jest jedynym odbiorcą tych zdjęć.

Zamknęła wiadomość, lecz chwilowo postanowiła jej nie usuwać. Postanowiła natomiast przesłać ją dalej, do jakiegoś znajomego znajdującego się na komputerach. Poszukała rady. Potem otworzyła list od taty; pytał, dlaczego nie dała mu znać, że wyjeżdża do Islandii; próbował skontaktować się z nią w Nowym Jorku i w końcu rozmawiał z jej przyjaciółką Ellen, która wyjaśniła „to z Hrafnem”. Bardzo mu przykro z tego powodu, niemniej wciąż jest wściekły, że tak wobec niego postąpiła; prosił ją, by przysłała mu swój numer telefonu i dała znać, gdzie zatrzymała się w Islandii. I skontaktowała się z nim natychmiast. Na koniec powtórzył, że czuje się rozczarowany, iż w taki sposób został wypchnięty poza nawias „równania”.

Karci mnie, pomyślała, i bardzo ją to rozgniewało, niezależnie od tego, czy wynikało to z jego troski o nią, czy nie. Zupełnie nie brał pod uwagę stanu jej nerwów, choć doskonale wiedział, że to one teraz nią rządzą; paso-

86

wało to doskonale do ich wzajemnych relacji, potępienia, utyskiwań, podejrzliwości; wszystko miało być gładkie i poukładane, życie dorosłych nudne, przeładowane od-

powiedzialnością i terminami, a ona to niby kim była, by jej to miało nie dotyczyć — w składziku zwanym życiem. Weszła w wyszukiwarkę google i zanim zdążyła się zorientować, już wpisała imię „Marie”; natychmiast też dotarło do niej, że na samym imieniu daleko nie zajdzie, ale nic więcej nie wiedziała, zapomniała zapytać o nazwisko. Przez moment chciała zadzwonić do starej, ale dała sobie spokój, bo ta gotowa byłaby jeszcze pomyśleć, że Eva węszy wokół samobójstwa, co zresztą akurat było zgodne z prawdą.

Dodała hasła wiążące ją z Islandią i otrzymała 2500 trafień, większość na temat Islandii — sieci sklepów z mrożonkami lub narodu. Po odwiedzinach na stronach poświęconych kilku różnym Marie zauważyła w końcu jeden wpis, który przyciągnął jej uwagę, wiadomość z „Morgunbladid”, prawdziwej islandzkiej „Morgunbladid”, gdzie w tytule pojawiało się imię Marie: „Wspomnienie o francuskiej turystce”. Przeleciała artykuł wzrokiem. Ta cała Marie, nazwisko Ensemble, zniknęła bez śladu podczas wycieczki w górzystym interiorze — sama, w kwietniu niecałe pół roku temu. Była wytrawnym piechurem, wspinała się po lodowcach, jeździła na nartach. Artykuł opisywał, jak to jej rodzice, przyjaciele i rodzeństwo przybyli do Islandii, by powspominać ją niedaleko miejsca, gdzie widziano ją po raz ostatni, w schronisku Towarzystwa

87

Turystycznego na pustyni Thorsmórk, gdyż to tam wpisała swoje nazwisko do księgi gości. Marie. Francuzka. Zaginęła w Islandii, wiosną. Sama, pomyślała Eva, wróciła do wyszukiwarki, wpisała Marie Ensemble i trafiła na wspomnienie o niej w amerykańskim medycznym czasopiśmie internetowym. Trzy lata wcześniej Marie bawiła w Arizonie na wymianie studenckiej z akademii medycznej Aix-en-Provence, gdzie robiła specjalizację z ginekologii i wraz z Johnem Edwardsem, socjologiem z Uniwersytetu Minnesota udzielili wywiadu na temat swoich badań poświęconych rozprzestrzenianiu się chłamydii i użytkowaniu kondomów w środkowych stanach USA. I co? Ileż to Marie było na świecie? A ile zmarło w Islandii? Albo zniknęło? Eva nie wiedziała już sama, o co jej chodzi, dokąd prowadzą ją te myśli. Przejrzała szybko artykuł poświęcony chłamydii, zatrzymała się na chwilę przy zdjęciu Marie i jej współpracownika. Marie była niskiego wzrostu, nosiła długie, ciemne włosy, jej twarz była delikatna, niezbyt zapadająca w pamięć, może raczej nawet bez wyrazu, ale sympatyczna.

Zamknęła to okno, otworzyła kolejne i wpisała „Grace”, imię, które wypsnęło się Rannveig — a może wypowiedziała je z rozmysłem, by dać jej jakąś wskazówkę? Pomóc jej? — Dopisywała te same słowa pomocnicze, co w przypadku Marie i wyskakiwały jej tysiące stron. Nagle przyszło jej do głowy, by dodać słowo „blog” i wówczas pierwszy link zaprowadził ją na stronę embracegrace.blogspot.com.

Weszła na blog, przeleciała tekst, poszukując miejsca, gdzie pada słowo „Iceland”. Blog przedstawiał obraz codziennego życia nieco sentymentalnej, pogubionej i niewykluczone, że pogrążonej w depresji Grace Edwards, kobiety, która według My-Profile miała trzydzieści lat, mieszkała na środkowym zachodzie USA, pracowała jako doradca ds. portfeli inwestycyjnych w niewymienionym z nazwy amerykańskim banku i prowadziła kurs zakładania niewielkich przedsiębiorstw dla kobiet z inicjatywą, również z poruczenia banku.

Eva westchnęła. Biedna kobieta.

Jeden z pierwszych wpisów nie wprost odwoływał się do psychologa, którego Grace spotkała, i te początkowe wpisy zazwyczaj były bardzo krótkie i ponure, jakby walczyła o to, by znaleźć jakieś jaśniejsze strony życia, które z gruntu jest do niczego i beznadziejne — „ptaki pięknie rano śpiewały, radując mnie”, „czasem dobrze jest się przejść, nie myśląc o niczym” albo „Andie zaprosiła mnie na jutro. Usiłowałam odmówić, ale powiedziała, że więcej nie chce tego słuchać”. Wpisy najwyraźniej nie brały pod uwagę czytelnika, ich ton był zanadto szczery, a na stronie nie było linków do innych blogów czy stron internetowych, żadnych uwag na temat systemu. Blog powstawał dla niej samej, może jako część programu mającego na celu ją podbudować, „wypisać ją” z jakiegoś szoku.

W ostatnim wpisie Eva trafiła w końcu na słowo „Iceland”. Przeczytała cały wpis z sierpnia ubiegłego roku:

89

Przyjechałam do Islandii. Tak, zimno jest! Mieszkam w małym hoteliku koło pomnika Leave Ericssona, który według Islandczyków odkrył Amerykę przed Kolumbem, i najwyższego kościoła, jaki w życiu widziałam. Miasto jest nieduże i mało zaludnione, pełne dziwnych pomiętych domów, a po drugiej stronie zatoki wznosi się góra. Na jej szczycie leży śnieg. Dam znać ponownie, kiedy znajdę jakąś tańszą kafejkę internetową. I koniec. Ostatni wpis na blogu. Dlaczego nie napi-

sała więcej? Zaznaczyła, że jeszcze napisze, zresztą było przecież mało prawdopodobne, by kobieta przestała pisać już na samym początku podróży w nieznane rejony. Basta, pomyślała Eva, pocierając skroń, czuła się, jakby żyłki w oczach miały jej popękać od patrzenia w ekran. Spróbowała skopiować tekst z netu do pliku wordowego, ale jej się nie udało, a potem wszystko wydało jej się obojętne i wstała. Nie wiedziała, czego właściwie szuka w życiorysach tych kobiet, Marie i Grace — turystek przybyłych do Islandii, jakby to wystarczyło, by je połączyć. Jakby nie miała własnych problemów.

Po śmierci ludzie znikają z powierzchni ziemi, ale żyją dalej na swoich blogach w sieci, tak długo jak trwa Internet i cywilizacja; otwarta zakładka komentarzy, codzienne ich życie i poglądy nadal podlegają dyskusji. Nie myślała jasno. Zamknęła laptop, włożyła go do torby i wyszła.

„BAJKOWE ŻYCIE PARIS HILTON...”

Lokal, w którym postanowili się spotkać, znajdował się na środkowym odcinku ulicy Laugavegur, niedaleko skrzyżowania z Frakkastigur. Połowa lokalu świeciła pustką, ta restauracyjna; nakryte obrusami stoły wzdłuż okien wychodzących na ulicę stały opuszczone i samotne, a kelnerka, która podała menu kawiarni — ciemnej, przeładowanej fotelami wnęki z dała od wszelkich okien — była cicha i zamyślona, jakby zupełnie nie zauważyła, że ktoś wszedł.

Eva usiadła na jednej z sof i w oczekiwaniu na Hrafnę sączyła piwo beczkowe, rozwodnione i kwaśne. To Hrafn zaproponował ten lokal, Eva nigdy wcześniej o nim nie słyszała, może po to, by mieli spokój do rozmowy albo nie natknęli się na kogoś znajomego. Spóźnił się.

Przejrzała jakąś śmieciową gazetę — nie miała pojęcia, że coś takiego się w tym kraju wydaje. Jedna trzecia objętości, jakieś dziesięć pierwszych stron, celowało głównie w krótkich uproszczonych artykułkach, niewiele dłuższych od nagłówek, na tematy dotyczące polityki i ekonomii — żeby gazeta mogła udawać, że publikuje wiadomości, trzecia część to reklamy, a reszta — drobne plotki z życia gwiazd tłumaczone z zagranicz-

nych tabloidów lub oparte na wywiadach z krajowymi celebrytami i ich wynurzeniach na temat „domu” czy pytaniach typu „pokaż, co masz w tej chwili w kieszeni?”, albo marzeniach, jak fajnie byłoby coś wygrać/

wydać.

Eva zatopiła się w lekturze gazety, usiłując nie myśleć o zbliżającej się rozmowie, powściągnąć optymizm, który może okazać się kompletnie chybiony, i lęk mogący skończyć się atakiem hysterii i tak ją zdołować, że doszłaby do siebie dopiero za kilka dni.

Przeklinała, że wolno tu palić, i obserwowała, jak Hrafn wchodzi do lokalu. Rozejrzał się po stołach wzdłuż okien, dostrzegł ją w kącie i podszedł. Oboje stwarzali wrażenie bardzo zakłopotanych, nie bardzo wiedząc, jak się przywitać, ale w końcu to ona podjęła decyzję, wstała i pocałowała go w policzek.

— Cześć — powiedział cicho, błyskawicznie otaksował ją wzrokiem i usiadł. — Długo czekasz?

Miał na sobie czarny płaszcz kupiony w Kanadzie i zmęczone oczy. Przyszło jej do głowy, że balangował poprzedniej nocy, i przepełnił ją niesmak i uczucie odepchnięcia na myśl o tym, co mógł robić i z kim, i czy było fajnie, i dlaczego nie zadzwonił, a najbardziej dlatego, że nie przyszedł do niej do domu — do nich, nocą, nie wpełzł do jej łóżka, wtedy ona miałaby okazję pomagać leczyć jego kaca następnego dnia, tak jak on często jej pomagał. Pomiedzy nimi wyrosła ściana — zauważyła to dopiero wtedy, gdy usiadł naprzeciwko i dotarło do niej, jak koszmarnie zmieniło się jej życie

92

w ostatnich tygodniach; wiedziała, przez okamgnienie, że tak nie może się stać, nie może go stracić, bez niego przyszłość będzie pustką, szereg pustych dni wokół pustej wydmuszki, jaką się czuła.

— Tak — odparła z uśmiechem, pokazując do połowy wypite piwo na stoliku przed sobą.

— Przepraszam — powiedział, jakby uważał, że ma do niego pretensje o to, że kazał jej czekać.

— W porządku — skwitowała. — I tak nie miałam nic lepszego do roboty. Czytałam sobie tu w „z4 godzinach”, tym szmatławcu, o bajkowym życiu Paris Hilton i Lindy Lohan coś tam z domieszką doniesień politycznych. — Mówiła bardziej ironicznie i dziwacznie, niż sobie założyła, nie była zrelaksowana i zupełnie niedowcipna, lecz on zdawał się tego nie zauważać, rozglądając się za kelnerką. Potem zniknął gdzieś na zapleczu, żeby złożyć zamówienie, usiadł z powrotem przy stoliku, unikając jej wzroku. Spotkali się po raz pierwszy od czasu, gdy opuścili Nowy Jork, najpierw on, potem ona. Rozmawiali przez telefon, ale spotkanie w cztery oczy odkładali z jego winy.

— Co porabiałaś? — zapytał, bezskutecznie usiłując

nie patrzeć jej w twarz.

— Mościłam się — odparła. — Poznawałam moje nowe mieszkanie.

— Które dostałaś przez tego chłopaka? Bankowca?

— spytał i przez krótką chwilę zdawało się jej, że słyszy w jego głosie nutę zazdrości, ale to pewno tylko wyobraźnia płatała jej figle. Nigdy nie był zazdrosny

93

i nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. — Wiesz, że mógłbym ci w tym pomóc. Albo mama.

— Wiem. Ale nie chciałam, jak wiesz. Mieszkanie jest świetne, prawdę mówiąc najgenialniejsze, w jakim kiedykolwiek mieszkałam. Przy Saebraut, z widokiem na zatokę Faxafloi i Esję... Co u twojej mamy?

— Wszystko w porządku — uciał. Kelnerka przyniosła mu piwo i milczeli, dopóki się nie oddaliła. — Oglądałam mieszkanie przy Sólaskjól. Chcę coś wynająć.

— Wynająć?

— Wiedziałaś przecież, że się tu przeprowadziłem.

— Mówił tonem usprawiedliwienia, jakby chciał ją przed czymś uchronić. — Jeśli mam tu zostać, nie mogę mieszkać u mamy, tak się nie da. Jestem już dorosły.

— Wiedziałaś, że chcesz się przeprowadzić, tak...

Dowiedziałam się na tydzień przed twoim wyjazdem. Nie wiem natomiast, czy chcesz, żebym z tobą mieszkała, czy nie. I nie wiem, co się dzieje... Chcesz mieszkać w Islandii. W porządku, skoro uważasz, że musisz tu mieszkać, mimo że nasze rzeczy i nasze mieszkanie zostały w Nowym Jorku. Ale to nie jest... Nie wiem po prostu, co myślisz o nas. — Usiłowała zachować spokój, lecz nie radziła sobie. Nie rozumiała, dokąd on zmierza. — Postaram się nie wściekać...

— Czułem, że muszę tu wrócić — powiedział. — I że powinniśmy, nie wiem... być osobno przez jakiś czas. Nie mogę mieszkać u mamy, już to mówiłem. I wiem, że my razem mieszkać nie możemy.

94

— Tak, często to powtarzałeś... A dlaczego nie możemy... Co się stało? Obudziłeś się któregoś dnia i pomyślałeś: Nie możemy mieszkać razem, ja i ta dziewczyna. Muszę wracać do Islandii. Zapaść tam korzenie, znaleźć pracę, a potem może ona przyjedzie za mną albo nie przyjedzie! Po pięciu latach związku...

— Nie chcę się kłócić — powiedział stanowczo, patrząc jej prosto w twarz. — Rzygać mi się chce od tych

klótni. Nie możemy rozmawiać ze sobą jak normalni ludzie? Chociaż raz...

— Normalni ludzie — pojęła, czując, jak ogarnia ją przerażenie — nie wstają nagle od stołu w restauracji, twierdząc, że zaproponowano im pracę w Islandii i że ją przyjmują, nie, że muszą ją przyjąć, żeby wszystko się nie rozpirzyło; nie mówią tak ot, że już dłużej tak „nie wytrzymają”...

— Evo... — zaczął takim tonem, jakby chciał uspokoić niegrzeczne dziecko. — Kłócimy się niemal bez przerwy, od czasu kiedyśmy się poznali. Od pięciu lat! Codziennie... Jedyne, co wiem, to że musimy mieć od siebie spokój, jesteśmy zbyt uwikłani w siebie, żeby rozwiązać to poprzez rozmowę, to niemożliwe...

— Chcesz powiedzieć, że to ty potrzebujesz czasu do namysłu. Jeśli uważasz, że spokój polega na tym, że się jest samemu, że już nie jesteśmy razem, to ja nie potrzebuję żadnego spokoju, żeby...

— Już nie ma sensu rozmawiać o nas, o naszych problemach, od lat niemal bez przerwy nasze rozmowy krążyły wokół nas i nic z tego nie wyniknęło, z każ-

95

dym rokiem sprawy coraz bardziej się komplikowały i stawały mniej zrozumiałe. Ja już dłużej tak nie mogę. Chcę być sam i w spokoju pomyśleć...

— Nigdy nie byłeś sam. Od czasu... Byłeś w dwuletnim związku, potem poznałeś mnie... o to chodzi? Chcesz po prostu być sam? To z tymi kłótniami i „nami” i z tym, że musisz pomyśleć, to jakaś bzdura, nie? Kręcił głową, nie patrząc na nią.

— A potem każesz mi jechać tu za sobą... Wiesz, że nie mam czasu, żeby tu przebywać, nie teraz... powinienam zaczynać...

— Nie kazałem ci za sobą jechać. Nigdy tego nie powiedziałem. Chciałem tylko, żebyśmy przez jakiś czas byli z dala od siebie.

— A jak myślisz, co miałam zrobić!? — krzyczała pełnym głosem. — Kiedy miłość mojego życia pakuje walizkę, bąka coś niejasno o „myśleniu” i „spokoju” i ucieka do innego kraju! Myślisz, że mogłam za tobą nie jechać! Nie sądzisz, że...

— Ale ja tego nie chciałem! Mówiłem ci to. Nie chciałem, żebyś za mną przyjeżdżała. Chciałem być sam. Nie możemy na ten temat rozmawiać! Chcę, żebyśmy... przeszli piekło, czy coś, po to, by coś się zmieniło. To znaczy dalej iść przez piekło, ale może coś zmienić, teraz, choć raz...

Eva milczała, czuła, że zaraz w jej oczach pojawią

się łązy, lecz udało jej się opanować.

— Przepraszam — powiedziała, wstała i dodała, że musi do toalety. Jak odurzona zeszła po schodach do

96

piwnicy, zamknęła się w małej, wyłożonej kafelkami kabinie, odkręciła wodę i patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Głowa do góry — myślała — spokojnie. Wszystko będzie dobrze, wszystko się zmieni. Razem znajdziemy jakieś wyjście. Tylko że na razie trudno jest się spotkać, teraz, po raz pierwszy od tak długiego czasu. Nie da się nachylić ponad stołem, złapać go za rękę... Włożyła dłonie pod strumień wody, potarła je, chlusnęła zimną wodą w twarz i wytarła się; wróciła do stolika i usiadła. Sięgnęła po piwo, napiła się i postanowiła poczekać, aż on coś powie, ale w końcu skapitulowała.

— A co tam słychać u twojej mamy? — wróciła do przedtem zadanego pytania, aby naprowadzić rozmowę na bezpieczniejsze tory.

Jego mama pracowała jako dziennikarka radiowa.

Eva nigdy do końca nie rozumiała, jakie tematy porusza w swoich audycjach; „to i owo” najpewniej, ale też wiedziała, że pokrętna, zadufana w sobie i politycznie myśląca z niej kobieta z pokolenia sześćdziesiąt osiem, która uważa, że młodsze generacje wszystko otrzymały na tacy. Starają się być fajne, swobodnie myślące o polityce i sztuce, pozbawione celu, byle jakie. Nie potrafiły znaleźć wspólnego języka; uważała swoją synową za nieodpowiedzialną trzpiotkę, może też za osobę samolubną, której nigdy nie udało się dorosnąć do jej syna ani stanowić dla niego należytej podpory, takiej jaką wyobrażała sobie, że sama kiedyś była, wychowując go, co było bzdurą. Poruszała też temat zbyt dużej „swobody” artystów, co stanowiło zakodowane aluzje do pijaństwa Ewy, gdyż matka

97

uważała, że nie zna ona umiaru i odpowiedzialności za własne ciało, że kobiety są bardziej wrażliwe na alkohol i papierosy, a między wierszami dało się także słyszeć, że organizm kobiety to „drzwi”, przez które wchodzi świat dzieci, narzędzie ludzkości do przedłużenia gatunku; strasznie konserwatywne, fanatyczne poglądy, nawet jak na sfrustrowaną byłą hippiskę, z tym że wszystkie te rozmowy krążyły głównie wokół jednego konkretnego dziecka, to znaczy wnuczki, która miała wypełnić jakąś pustkę w życiu babci. Bezpieczniejsze tory. Właśnie.

— A może pogadamy o dziewczynce, nakręcimy się? — wysnęło jej się cynicznie i natychmiast tego

pożałowała.

Spojrzał na nią z nieszczęśliwą miną, po czym przeniósł wzrok na blat.

— Ja tak nie mogę — odparł po krótkiej pauzie. Starzał się opanowywać. Ręka mu drżała, kiedy zapinał płaszcz. Wstał.

— Jak nie możesz? — spytała, usiłując zapanować nad rozpaczą i rozgoryczeniem, że tak to wszystko straciła, i rzuciła mu w twarz: — O co ci chodzi? Jak nie możesz? Nie możesz ze mną rozmawiać? Czy po prostu nie możesz ogólnie... Czy to właśnie chcesz powiedzieć? Po co właściwie tutaj przyszedłeś? Żeby milczeć i kazać mi wrywać z siebie każde słowo? Wiesz, jakie to dla mnie trudne nie wiedzieć, co ty właściwie...

— Muszę już iść — oznajmił, wyciągnął tysiąka za piwo i rzucił na stół. Odwrócił się, nie patrząc na nią, podszedł do drzwi i zniknął w deszczu.

ROBIĆ SOBIE TWARZ

Siedziała, dopóki nie skończyła piwa. Nie chciało jej się myśleć o tym, co się wydarzyło lub nie. Następnie zapłacała, zatrzymała się w drzwiach i poprzez wodospad ulewy rozejrzała się na obie strony. Nie wiedziała, co robić. Po chwili usłyszała, że ktoś ją woła.

Dziewczyna z siłowni, Rannveig, i jakaś druga, której Eva nie знаła, nadchodziły ulicą Laugavegur.

— Eva! — krzyknęła Rannveig. — Cześć, cześć. — Od razu pomyślałam, że to ty. Jak tam? Na spacerku?

— Miały zarumienione policzki i były rozochoczone, każda pod swoim parasolem.

Eva udała, że idzie spotkać się z przyjaciółką na placu, a Rannveig zaproponowała, by szły razem, bo one też tam idą. Jej towarzyszka była śniada, uderzająco piękna, niska i szczupła. Przedstawiła się jako Sonia.

— Córka swej matki — powiedziała Rannveig i obie się roześmiały, najwyraźniej z czegoś, czego Eva nie rozumiała. Wyglądały, jakby piły.

— A kiedy właściwie masz spotkać tę swoją przyjaciółkę? Chyba możesz usiąść z nami na chwilę, nie? Drink na pewno dobrze ci zrobi.

— W każdym razie nie zaszkodzi — zgodziła się Eva. Rannveig zaprosiła ją pod swój parasol i gdy ruszyły

99

ulicą, powiedziała, że właśnie wracają z wernisazu jej przyjaciółki.

— A właściwie to jakiejś artystki... Moja przyjaciółka prowadzi galerię. Był tam Joseph Novak, kojarzysz?

— Novak? Oczywiście, że kojarzę! — Evie trudno

było opanować podniecenie. Novak w Reykjavíku, kilka przecznic od niej! — A co on tam robił? — Podejrzewam, że został zaproszony. Był z żoną i tym całym Hannesem z Muzeum Sztuki w Akureyri. — Czyli, że nie rznął islandzkich kobiet? — spytała Eva, po czym opowiedziała o wiadomości z mbl. is, o pasywnych kobietach, krowach, gwałtach jako urzeczywistnieniu.

Słowa te najwyraźniej nie zrobiły na nich wielkiego wrażenia, a Rannveig nawet zaczęła mówić na temat kompleksu niższości kobiet spowodowanej wszystkim, co na ich temat mówią mężczyźni, i w jaki sposób ten kompleks uprzykrza im życie w miejscach pracy. Evę zdenerwowała ta odpowiedź, lecz postanowiła się nie odzywać, wolała myśleć o Novaku i nagle złapała się na tym, że nie miałyby nic przeciwko temu, żeby tego diabła zastrzelić; jego słowa były chore, więc nie należało postrzegać tego bełkotu jako „dzieła”, jak sama z początku uczyniła. Ludzie czytają to, co on mówi, słowa zapadają w nich głęboko i kształtują obraz stosunków w obrębie tej samej płci, jak i między płciami: kobiety jako powolne, głupie zwierzęta, a gwałt jedynie jako urzeczywistnienie ich pozycji.

Sonia i Rannveig wciąż trajkotały o beznadziejnych stosunkach z przełożonymi płci żeńskiej, którym udało się „prześlizgnąć” przez „pozytywną różnicę”, tak pozbawionymi poczucia humoru i przewrażliwionymi na własnym punkcie, że stały się wszystkim tym, czym nie chciały się stać. Prawicowe feministki.

— A ta jego żona — powiedziała Eva, żeby powstrzymać ich słowotok. — Żona Novaka. Jaka jest?

— Piękna! — krzyknęła Sonia.

— Bez zarzutu — dodała Rannveig. — Rozmawialiśmy z nią dzisiaj. Chociaż Islandczycy potrafią się ubrać, a w każdym razie nie są totalnymi wieśniakami, to trzeba było ją zobaczyć...

— Zupełnie jakby była z innej planety — dorzuciła Sonia.

— Ani jednej zmarszczki na ubraniu, ani jednego zagięcia, twarz jakby wykuta w marmurze. Idealnie umalowana, nie za dużo i nie za mało, fryzura doskonała...

— Doskonałe ciało.

— A do tego jakoś tak, jakby to było takie proste.

A nie jest. — Sonia zdawała się nieco młodsza od Rannveig i była do niej niepodobna: mniej ogładzona, prostsza. Może to tylko wiek, ale Eva zastanawiała się, gdzie mogły się poznać. Sonia mówiła po islandzku z delikatnym akcentem, którego Eva nie potrafiła sko-

jarzyć; nie wyglądała też na Islandkę, choć niełatwo było określić, w czym tkwi różnica; może nieco inny sposób malowania się, brwi trochę bardziej wydepilowane, niż robią to islandzkie dziewczyny, podkład na

101

kościach policzkowych ciut bardziej fioletowy, a nad górną wargą pieprzyk, który wydał się Evie domalowany, sztuczny.

Przyszło jej na myśl powiedzenie „robić sobie twarz”, jakby nieumalowana kobieta nie miała wyrazu, i być może tak właśnie było w przypadku Soni — przyglądać się jej po przebudzeniu to jak patrzeć w prześcieradło, jedno i drugie nieco zmięte po nocy. Zachichotała w myślach.

— A co on zrobił z tym psem Lukaszem? — spytała Rannveig. — Tego nie skumałam. Mój znajomy coś o tym wspominał.

— Postawił pomnik torby sportowej — tłumaczyła Eva, wrywając się ze świata własnych myśli. — Rzeźba została wzniesiona w centrum Akureyri, ale nie w jakimś bardzo prominentnym miejscu, a mieszkańcy nazwali ją „klockiem” czy jakoś tak. Na samym dole dwumetrowego cokołu unoszącego ten cud sztuk plastycznych ku niebu widnieje metalowa tabliczka z tytułem dzieła: Żywy i martwy pies, i co zrozumiałe, był to raczej dość niezrozumiały tytuł dzieła, dopóki sprawa psa Lukasa nie przedostała się do islandzkich mediów.

Rannveig stwierdziła, że przypomina sobie tę sprawę, lecz zapomniała szczegółów:

— Albo może nigdy do końca nie skapowałam, o co chodzi!

Eva przypomniała im rzekomą napaść na psa; kilku głupawych nastolatków po pijaku miało niby zamknąć

102

psa w torbie sportowej i kopać ją między sobą, dopóki pies nie zdechł:

— A potem okazało się, że pies żyje, biega wściekły po górach wokół miasta. Zwabiono go z powrotem do właściciela przy pomocy goniącej się suki, a chłopaka, który niby miał go zabić, przeproszono. Zresztą on zawsze twierdził, że jest niewinny i że nie było go w Akureyri, kiedy miał miejsce ten akt przemocy.

— I co potem? — dociekała Sonia. — Wydarzyło się coś?

— Rzeźba Żywy i martwy pies przedstawiająca torbę sportową postawiona została dwa lata wcześniej, nim

„coś” się stało i to niedaleko miejsca, w którym nastąpił atak na psa, czy też raczej domniemany atak. Spytaj Novaka!

Kiedy temat został wyczerpany, znów zajęły się żoną artysty. Eva powiedziała, że rozumie, co mają na myśli, mówiąc o niej, że jest „bez zarzutu”, ona sama widziała w życiu kilka egzemplarzy „lepszyc kobiet” podczas koktajli na Manhattanie.

— Ona też mieszka na Manhattanie — wyjaśniła Sonia. — Nigdy nie pamiętam, jak się nazywa...

— Jest Rosjanką — rzuciła Rannveig. — Nadia... coś tam. Ropa i banki, jej brat jest kolejnym Abramowiczem. System bankowy w Rosji zabiera połowę z tych dziesięciu procent wzrostu gospodarczego, który mają tam rok w rok.

Eva odniosła wrażenie, że Rannveig podziwia tych ludzi, te pijawki, i nie zważając na to, jak prowincjonalnie i staromodnie może to zabrzmieć, zasugerowała,

103

że ta rodzina to muszą być mafiosi, przestępcy albo co najmniej pozbawieni moralności cynicy, podobnie jak cały rząd pozbawiony jest moralności.

— A jak ta twoja moralność wygląda? — szydziła Rannveig. — Gdzie można ją kupić? — Roześmiały się, a Eva sama się zdziwiła, że przyłączyła się do nich, najwyraźniej potrzebowała jakichś przyjaciół.

— To lewicowcy już nie istnieją? — wykrzyczała ze śmiechem.

— A jak wygląda ta lewicowość? Gdzie człowiek może ją kupić?

Kiedy znalazły się na ulicy Bankastraeti, Rannveig dostrzegła kogoś znajomego w oknie lokalu Solon, więc weszły do środka i przysiadły się do stolika, przy którym siedziała dziewczyna o imieniu Hulda. Evie zdawało się, że skądś ją kojarzy, ale to samo w zasadzie dotyczyło wszystkich Islandczyków, których spotykała na Laugavegur — wszyscy sklonowani z tą samą promienną, lecz nieco tępową miną.

Eva skorzystała z okazji i zapytała, skąd Sonia i Rannveig się znają, i okazało się, że Sonia studiuje ekonomię na Uniwersytecie Islandzkim, „na drugim roku”, jak przyznała nieco wstydliwie. Rannveig powiedziała, że Sonia miała praktyki w banku i tak się świetnie rozumiały w przerwie na lunch, że postanowiła zapoznać ją z życiem „prawdziwych kobiet”. Ta druga dziewczyna zaś, Hulda, opowiadała o porucie spowodowanej przez weterynarza, specjalistę od chorób koni, zajmującego stanowisko ministra finansów;

jak strasznie jest to dezawuuujące dla Islandii; a potem przeszła do własnych studiów na ekonomii, co najwyraźniej dało Rannveig pretekst, by się wycofać z konwersacji i zająć Evą. Obiecała postawić szampana, przywołała kelnera i zamówiła, po czym nachyliwszy się do Evy i odciążwszy ją od pozostałych, oznajmiła nieco sztucznie, dramatycznie:

— Byłaś na spotkaniu z narzeczonym!

Eva spytała, skąd to wie albo skąd jej to przyszło do głowy.

— Czyżbym miała to wypisane na twarzy?

Miała ochotę przejrzeć się w lustrze, zobaczyć, jak beznadziejnie wygląda tuż po rozmowie z mężczyzną, który nie chce się więcej z nią spotykać.

— Wiem, że to nie moja sprawa, bo jak na razie spotkałyśmy się tylko raz, ale Bergthora gadała coś na ten temat na wczorajszej kolacji. Ja nie pytałam...

— W porządku. — Eva potrząsnęła głową.

Rozmawiały o zerwanych związkach i Rannveig wyliczyła całą listę swoich koszmarnych rozstań, nie dając oczywiście do zrozumienia, że Eva właśnie przez coś takiego przechodzi, ale na stole pojawił się szampan w kubelku z lodem i kelner nalał im do kieliszków. Zaczęła się luźniejsza rozmowa i jak to bywa, kiedy dwie osoby nieznające się mają wspólną znajomą, w tym wypadku Bergthorę, zaczęły sobie z niej dworować. Zrazu grzecznie, testując, jak daleko mogą się posunąć. Skończyło się tym, że zaśmiewały się ze szczegółów, które zapamiętała Eva, a Rannveig mogła potwierdzić

i pociągnąć dalej w żart. Eva pytała o przeszłość starej, zasugerowała, że podejrzewa, iż musiała kiedyś robić coś „tajemniczego”, i tu wspomniała o swoim przypuszczeniu, że była szefową burdelu, a w każdym razie, że odnosi wrażenie, iż stara ma w sobie coś z oblatanej w świecie burdelmamy. Rannveig parsknęła śmiechem i stwierdziła, że nie wie nic więcej ponad to, co mówiła jej stara.

— Ale rozumiem, o co ci chodzi — powiedziała. — Jest coś... tajemniczego, prawda, coś zimnego i przerażającego nawet... sama nie wiem.

Umilkły. Eva myślała o Marie i Grace, o wizycie Grace w Islandii, potwierdzonej na blogu, i zastanawiała się, jak najrzęczniejszy będzie wprowadzić ten temat do rozmowy.

— Myślisz teraz o Marie, prawda? — spytała Rannveig, która bacznie ją obserwowała. Eva uśmiechnęła się. — Nie przejmuj się. Doskonale to rozumiem. I nie zgadzam się z Bergthorą, uważam, że masz pełne prawo wiedzieć, jak to się stało, skoro mieszkasz w jej mieszkaniu.

Przerwała i zastanawiała się przez chwilę, po czym rzekła:

— Wzięła tabletki. W salonie, w każdym razie tam ją znaleziono.

— W którym miejscu w salonie?

— Nie wiem. Ale kiedy ją znaleziono, już nie żyła.

— Co jest dość niezwykle, prawda? — dziwiła się Eva.

— Zazwyczaj nie udaje się nam... kobietom... popełnić

106

samobójstwa. A już nigdy za pomocą tabletek. Nigdzie nie dzwoniła?

— Nie. W każdym razie nic na temat rozmów nie wiem. Pewno nie, skoro umarła! Tabletki połknęła wieczorem, a znaleziono ją dobę później. Samobójstwa wśród kobiet czasem się udają. Ale oczywiście masz rację, zazwyczaj uważa się, że nie potrafimy nawet się porządnie zabić. — Uśmiechnęła się. — Połykamy pigułki, dzwoniemy zapłakane do narzeczonych, którzy dzwonią do lekarza, a ci robią nam płukanie żołądka. Jesteśmy płcią, która potrzebuje ratunku, nie śmierci. Potem beczymy kilka miesięcy na oddziale w psychiatryku, zbieramy się w sobie, pozwalamy się zapłodnić, mając nadzieję, że wszystko będzie lepiej, a tymczasem umieramy wolno, zagryzając się w centrum handlowym Smaralind razem z tłustymi, bezczelnymi bachorami i marudzącym mężem, który sam jest jak wielkie dziecko albo ma w sobie tyle niezależności, że rzuci nas dla młodszej. Mówię, że...

— A jeśli ona się nie zabiła... — przerwała jej Eva, obserwując uważnie twarz Rannveig. — Jeśli została zabita? Rannveig gapiała się na nią przez chwilę, a potem wybuchła nagłym śmiechem.

— Dziewczyno, z tobą chyba nie wszystko w porządku! Skąd ci coś takiego przyszło do głowy? Nie potrafię sobie wyobrazić nikogo, kto miałby mniejsze szanse na zostanie zabitym. Chodząca niewinność, jak Marie... Po to, żeby zdobyć nieprzyjaciół, trzeba mieć charakter. Gdybyś ją знаła, wiedziałabyś, jakie to absurdalne,

107

była jak mała ptaszyna, maleńka i słodka, żadnych

nieprzyjaciół, żadnych... to nie ten typ.

— Ale ten typ, żeby to zrobić, żeby się zabić? Nie rozumiem, dlaczego... Czy coś się wydarzyło w jej życiu? Dlaczego?

Rannveig pokręciła głową.

— Nie wiem i nie mam zamiaru udawać, że coś mi na ten temat wiadomo. Ludzie nie noszą swojej duszy na sobie, jak ubrania. Żli nie są czarnymi typami, którzy zabijają wzrokiem, a dobrzy nie są biali i promieniejący...

— Ale źli istnieją — odparła Eva i znów wróciło do niej poczucie uczestniczenia w filmie.

— Tak, tak, wiem. Chcę ci tylko powiedzieć, że wygląd bywa mylący. Kiedy aresztuje się seryjnych morderców, to dlaczego wszyscy są zawsze tak samo zdziwieni? Sąsiedzi zdumieni są tym, że zbrodniarz, który mieszkał obok nich od dwudziestu czy trzydziestu lat, był takim „normalnym człowiekiem”. Zupełnie jakby zło miało twarz, jakby było wyjątkiem, czymś nienaturalnym, a nie samą naturą w różnym stopniu przez nas tłumioną.

Rannveig umilkła, dopiła kieliszek i dołała szampana. Piła równie szybko jak Eva, co było dziwne.

— Nie wiem — kontynuowała. — Oczywiście nie wolno pomijać tego, co w człowieku dobre, ale chodzi mi o to, że po prostu nie możesz odróżnić tych, którzy są dobrzy, od tych, którzy są źli, wyłącznie na nich patrząc, ani wśród twoich sąsiadów, ani wśród twoich

108

przyjaciół. Sama nie wiem, jak to jest ze mną. Ludzie są nieobliczalni i niezrozumiali.

— W każdym razie Marie — skwitowała Eva i zastanawiała się, ile jeszcze może ciągnąć ten temat, nie narażając się na żadne podejrzenia. Podejrzenia? Spytała, co oznacza Ensemble.

— Ensemble? A bo ja wiem? Co znaczy Ensemble?

— Nie nazywała się Marie Ensemble?

Rannveig stanowczo pokręciła głową.

— Nie. Ona była Villeneuve czy coś podobnego. Ale jak chcesz wiedzieć, to zapytaj raczej Beggę, ona знаła ją lepiej. — Rozejrzała się dookoła, jakby znudziła ją już ta rozmowa, dopiła szampana, po czym oparła się zalotnie o Evę i rzekła: — A poza tym zbyt dużo wiem o ludziach. Jestem kopalnią informacji. Ty na przykład, że wspomnę jedną rzecz, jesteś człowiekiem prawej półkuli. Chodzi o prawą półkulę mózgu. Pokażę ci.

— Kazała Evie wyciągnąć rękę, unieść kciuk i zasłonić nim jeden z kandelabrow. - Teraz lampy nie widzisz.

Oczy masz otwarte. Spróbuj najpierw zamknąć prawe oko, a potem lewe. Kiedy zamykasz jedno oko, masz wrażenie, jakby kciuk odskakiwał w bok. — Eva zamknęła prawe oko, ale kciuk ani drgnął, a potem lewe, i wtedy jakby odsłonił światło.

— Odsunął się. Kiedy zamknęłam lewe.

— Co oznacza, że to lewe oko rządzi, a więc prawa półkula. Głębia spojrzenia, twórczość i uczucia.

— Czyli że posiadam uczucia. — Eva zaczęła się śmiać, jakby to była najśmieszniejsza rzecz, jaką od

109

dawna usłyszała. A potem nagle znów przyszedł jej na myśl Novak i wiadomość, którą dostała e-mailem. Spytała Rannveig, czy to może ona przysłała jej ten link.

— Coś z tobą nie tak? Dlaczego miałabym to zrobić? — zawołała, a pytanie najwyraźniej wydało jej się nadzwyczaj zabawne. — I skąd niby miałabym wziąć twój adres?

— Tak tylko pomyślałam — powiedziała Eva i jęła kręcić głową; poczuła szum alkoholu.

Uniosły kieliszki i stuknęły się, najpierw ze sobą, a potem z pozostałymi dwiema kobietami i rozmowa zdryfowała w kierunku kolejnych samobójstw, seryjnych morderstw, Austriaka Fritzla, mężczyzn i związków. Tak zaczął się wieczór.

CIENÍ

Deszcz lał się jej na głowę z przytłumionym, odległym dudnieniem. Eva podniosła wzrok, spojrzała w ciemnoszare chmury i srebrnawe krople spadające prosto w dół na podobieństwo rys w powietrzu. Na horyzoncie zauważyła ciemnoczerwony blask, pomyślała sobie, że oto płonie lodowiec Snaefellsjókull, coś się w jego wnętrzu otworzyło i teraz paruje, płonąc czerwonymi jezorami. Lodowiec jest w ekstazie, pomyślała. Po drugiej stronie ulicy ujrzała kogoś wolno machającego rękami na boki ponad głową, kto najwyraźniej usiłował przyciągnąć jej uwagę poprzez szum samochodów na trasie Saebraut. Mama!

Przecież ona nie żyje? — pomyślała, wytrzeszczając oczy na rodzicielkę stojącą obok Słonecznego Wojażera i wykrzykującą coś przez jezdnię, czego z powodu ruchu ulicznego, huczącego niczym wartka rzeka lodowcowa, nie słyszała. Zaczęła czatować na jakąś przerwę między jadącymi samochodami i widziała, że mama robi to samo, biegnie wzdłuż jezdni, usiłując wepchnąć się między auta, lecz nikt się nie zatrzymał ani nie zwolnił; samochody jak ostre pociski, a w nich zblurowani ludzie. Ten hałas nie był powodowany przez auta, lecz przez ludzi wydzierają-

cych się, jakby zostali uwięzieni w pojazdach.

111

Mama przestała biec, zwinęła dłonie w tubkę wokół ust i krzyczała na drugą stronę szosy, dopóki jej twarz nie spąsowiała i nie odkształciła się. Eva zaś zwinęła dłonie w tubkę wokół ucha, które skierowała ku mamie, i słuchała:

— Wyjdź... Wyprowadź się stamtąd! — krzyknęła mama, wyciągnęła rękę do przodu, skierowała palec w górę, a następnie za jej plecy. Eva obejrzała się i zauważyła, że stoi przed wieżowcem przy Saebraut, wieżowcem, w którym mieszka. Wszystkie światła w domu były wygaszone, poza najwyższym piętrem, w jej mieszkaniu. W oknach rysowały się ciemne kontury ludzi, dziesiątki, może sto postaci zdawało się imprezować w jej apartamencie, a ponad budynkiem zebrały się ciemne chmury, zataczające wolne koła.

Pobiegła ulicą Klapparstigur, przez Hverfisgata, a potem wyludnioną Laugavegur, tak cichą, że słyszeć było jedynie dudnienie deszczu o dachy domów. Nie wiedziała, gdzie podzieli się wszyscy ludzie, ale kiedy odwróciła głowę, na horyzoncie zauważyła chowające się sylwetki, zaniedbane dzieci. Kobiety zataczały się pijane między zaułkami, sadyły po turecku, wymiotowały żółtymi kupkami jaj, w weekendy zjawiali się pijani mężczyźni, wyjmowali instrumenty i szwagrowali się, a tydzień później Wypęzły na ulicę dzieci, wdeptywane podszwami butów w asfalt, wkopywane w studzienki ściekowe albo ciskane o ściany.

112

Odniosła wrażenie, że ktoś ją goni, ale się nie odwróciła, pobiegła Laugavegur i do końca Bankastraeti, skręciła w Laekjargata, aż dotarła do zamarzniętego stawu Tjórmin. Przejaśniło się nieco, chmury zniknęły, a nad stawem unosiła się lodowata para. Wszędzie panowała cisza. Tafla lodu lśniła pod ciemnym nocnym niebem.

Po drugiej stronie stawu, na jednej z ławek, siedział cień i czekał na nią. Weszła na lód i ruszyła w kierunku cienia, który się podniósł i natychmiast zniknął w jednym z domów krytych blachą falistą przy Tjarnargata, zamknąwszy za sobą drzwi. Dom Sigurliny, skojarzyła, podeszła i nacisnęła dzwonek.

Z wnętrza domu dobiegł pradawny dźwięk kate-

dralny: dzwony dźwięczące poprzez mgłę, bijące na pogrzeb. Drzwi się uchyliły, a w szparze pojawił się zakapturzony człowiek; kaptur zakrywał mu twarz. Powiedziała, że przyszła spotkać się z Sigurliną. Mężczyzna trzymał lichtarz z płonącymi świecami. Poszła za nim do ciemnej poczekalni, gdzie siedziały dwie kobiety ukryte za płachtami czasopism. Mężczyzna odstawił świecznik na stół, na którym spoczywał stos magazynów, i opuścił pomieszczenie. Dwie kobiety, oparte o siebie za czasopismami, cicho zapiszczały. Na stronie tytułowej jednego z nich widniało wielkie zdjęcie Ewy i Hrafna, siedzących w parku w Nowym Jorku, wtulonych w siebie, na zdjęciu postawiono jednak czerwone X, a tytuł brzmiał: „Mówi, że kocha inną”.

113

Drzwi do gabinetu Sigurliny otworzyły się i Eva weszła. W pokoju było zimno. Usiadła na fotelu, cień ujął rączkę odchylającą fotel do tyłu, po czym zniknął. — Gdzie jest mama? — spytała, tłumacząc, że mama stara się jej pomóc, ale to dość trudne, tyle błędów popełniła i była zbyt głupia, i teraz tego żałuje, tylu rzeczy teraz żałuje.

Cień odparł, że jej mama nie może tu wejść, bo jest za późno, że teraz jest całkiem sama, po czym objął ją za czoło. Gabinet falował i zanikał, ale na ścianie przed nią kontury zaczęły się wyostriać, stając się białą twarzą, odwróconą od niej, a cień — ten, który rządzi, powiedział, że przeprowadzi ją przez ścianę.

MAŁA DZIEWCZYŃKA NA PLACU ZABAW

Kiedy otworzyła oczy, znajdowała się w nieznanym pokoju. Ktoś leżał z nią w łóżku — dziewczyna: wpół zaschnięta ślina w kąciku ust, tusz do rzęs i szminka rozmazane po policzkach. Kojarzyła ją. Usiadła na łóżku i rozejrzała się. Jej ciuchy walały się po podłodze, a ona była naga. Trzymała się za głowę, by opanować ćmienie, pozbierała ubranie. Równocześnie starała się przypomnieć sobie, co działo się w nocy, dotknęła się ręką między nogami, ale tam wszystko zdawało się w porządku. Nie pamiętała nic, wciąż jeszcze była pijana, a życie duchowe kojarzyło jej się z płonącym korowodem możliwych imprez, koszmarnymi dołkami psychicznymi i wzlotami, ucieczkami — przez sekundę widziała, jak zbiera cały alkohol i tytoń w domu, budzi dziewczynę na łóżku, która może jest, a może nie jest właścicielką mieszkania, włącza muzykę, dzwoni po żarcie, ludzi,

marychę czy coś, żeby się ożywić i zamienić dzień w nowe lub może to samo pijaństwo, które zaczęło się wczoraj wieczorem, przedłużyć jeszcze ten stan czuwania.

Pokój był pozbawioną charakteru norą do spania, białe ściany, biała szafa, białe szafki nocne po obu

115

stronach łóżka. Zaczęła się ubierać, lecz nigdzie nie znalazła rajstop ani żakietu.

Przyjrzała się dziewczynie na łóżku, która była całkiem ubrana. To przyjaciółka Rannveig, ta z akcentem. Eva pamiętała niejasno, że rozmawiała z nią w lokalu w centrum — może nawet „powyzwierała” się jej, zagrała w tę żenującą islandzką grę w rzyganie uczuciowe.

Podeszła do szaf i szafek i otwierała je jedną po drugiej w nadziei, że znajdzie jakieś spodnie, które sobie pożyczycy, by w nich wrócić do domu. Szafy, a tym samym mieszkanie, najwyraźniej należały jednak do mężczyzny, zadeklarowanego samca alfa; na drążkach i wieszakach wisiały dziesiątki garniturów, a wszystkie prawie jednakowe: ciemne. Od ubrań bił ciężki, lecz pozbawiony szczegółów zapach, zapach wysiłku. Tak pachnie ambicja, pomyślała Eva i przyjrzała się krawatom, niebieskim, żółtym, czerwonym albo będącym mieszanką dwóch z tych kolorów. Na samym dnie szafy stały rzędem błyszczące, wyglansowane buty ze skóry, a jedna część szafy przeznaczona została na spodnie koloru ziemistego i koszulki polo, z których większość nosiła logo zielonego krokodyla, tyle że Eva nie pamiętała, co symbolizuje owo logo, poza pieniędzmi.

Poszukała swojego żakietu pod łóżkiem, za szafką nocną, pod kołdrą, ale nigdzie go nie znalazła. Potem podeszła do okna, rozsunęła jasne story i obserwowała szary, wieczny deszcz dopełniający krajobraz przydomowych ogródków, najpewniej w Dzielnicy Zachod-

116

niej. Okno znajdowało się na piętrze i tuż obok niego rosło drzewo, ciemne gałęzie wyciągały swe macki, lśniące i nieruchome. Na poziomie gleby rozpościerał się niepielegnowany ogród, trawa zniszczona i żółta, piaskownica pełna kałuż.

Opuściła pokój, przemknęła obok trojga zamkniętych drzwi i zesłała przepastnymi, wyłożonymi miękką wykładziną schodami do holu prowadzącego do kuchni i salonu, gdzie najwyraźniej nocą imprezowano: puste flaszki, puszki po piwie, resztki żarcia, kartoniki

po pizzy i przepelnione popielniczki porozsiewane po całym pokoju.

Na jednej z sof leżał ktoś skulony, zawinięty w koc, zdało jej się, że facet, spod koca widać było kręcone czarne włosy.

Alkohol szybko z niej parował i zapragnęła wrócić do siebie do domu, natychmiast, wziąć kąpiel, oprządzić się, zanim znów zacznie pić; nie może się upić, nie od razu, gdyby zaczęła zbyt blisko południa, przed północą urwałby się jej film, a nie miała na to ochoty. Żakiet wisiał na wieszaku w przedpokoju i pierwsze, co zrobiła, to wyjęła komórkę z kieszeni, żeby sprawdzić, czy ktoś nie dzwonił. Był wyłączony. Zaklęła, myśląc, że wyczerpała się bateria, ale kiedy ją włączyła, zauważyła, że nie. Musiała zatem sama ją wyłączyć, co z drugiej strony było nie do pomyślenia; ona nigdy nie wyłącza telefonu.

Cztery rozmowy nieodebrane, wszystkie między 4.26 a 4.30 w nocy, czyli jeszcze zanim wyłączyła te-

117

lefon. — Hrafn. Wszystkie nieodebrane od Hrafna.

Najwyraźniej coś pilnego, pomyślała, przewyciężyła zdziwienie, które chciało się zamienić w coś gorszego, i postanowiła zadzwonić do niego natychmiast, jak tylko myśli jej się rozjaśnią, jak przypomni sobie, za co musi go przeprosić.

Rozejrzała się po przedpokoju za butami, nie znalazła ich jednak. Szafy pełne były płaszczy, ale jeden ciuch odróżniał się od pozostałych i zwrócił jej uwagę: niebieska wiatrówka, taka jak ta, którą nosił tamten facet — ten który, jak jej się wydawało, śledził ją koło przystani kutrów i szedł za nią nad staw.

Poczuła gwałtowną potrzebę opuszczenia tego domu, zasznurowała niebieskie zniszczone buty sportowe, zbyt na nią duże, otworzyła drzwi wejściowe i wystukała numer firmy taksówkarskiej. Wciągnęła w płuca rześkie wilgotne powietrze, chyba znajdowała się przy ulicy Vidimelur, nieopodal domu, w którym się wychowała. Głos w telefonie oznajmił jej, że karta jest pusta. Postąpiła chwilę w wejściu, usiłując obciągnąć spódnice, po czym wróciła do środka i zaczęła szukać telefonu. Nagle zauważyła, że mężczyzna, który leżał na sofie, zniknął.

Na szwedzkiej ławie przed sofą oparta o wazę stała biała koperta; na kopercie widniało jej imię, wypisane wielkimi drukowanymi literami: EVA.

Stała bez ruchu, przez czas jakiś gapiąc się na kopertę, usiłując to pojąć, po czym wzięła ją do ręki

i otworzyła.

118

Wewnątrz znalazła nieduży karteluszek — zapisany drobnymi, kształtnymi drukowanymi literami:

DROGA EVO. WSZYSTKO WYJAŚNIĘ. SPOTKAJMY SIĘ
NA PLACU ZABAW ZA KOŚCIOŁEM CHRYSZTUSOWYM
O 2.00

Żadnego podpisu. Nic nie rozumiała, zwątpiła nawet, że się obudziła, bo skąd mógł wiedzieć, że wrócić do salonu, pomyślała, lecz zbyt długo się nad tym nie rozwodziła. Ohydnie czuła się w tym domu, więc śpiesznie go opuściła, przebiegła przez przedpokój, przez drzwi i zbiegła ze schodów.

Deszcz łomotał głośno o dachy aut zaparkowanych wzdłuż ulicy, a jej buty szybko napełniły się wodą i chlupot towarzyszył jej przez całą Vidimelur; potem skręciła na północ. Na skrzyżowaniu z Hringbraut zauważyła kątem oka, że patrzą na nią ludzie z aut, obserwują ją, gdy przechodzi przez ulicę, widzą, jak płaczą jej się nogi, niczym zgłuszonych dziwce, i jej mokre włosy oblepiające twarz.

Nie miała pojęcia, co się dzieje, co wydarzyło się w nocy albo co się stanie w konsekwencji, ale wiedziała, że obrała kierunek na wzgórze Landakot, na Kościół Chrystusowy, nie podjąwszy jednak tej decyzji świadomie, ale zdaje się, że większość rzeczy tak właśnie dzieje się w jej życiu — zatacza się przy zmianie światła, dopóki nie ogarnie jej dzień lub noc, a potem okazuje się, że wydarzyło się to lub

119

tamto, minął kolejny rok i wszystko się zmieniło, i nic, i jakoś tak.

To, co zapamiętała z poprzedniego wieczoru, gdy już opuściły Solon, to że pętała się w deszczu między kałużami razem z Rannveig, dziewczyną i parą, która w jakiś sposób związana była z Rannveig; pamiętała srebrnawe kałuże, szum ciekącej wody, a potem nie wiedziała już, gdzie się znaleźli, na pewno gdzieś blisko portu. Weszli do baru, w którym nigdy wcześniej nie była ani o nim nie słyszała; prawdę mówiąc, nie wiedziała, że takie miejsce w Islandii istnieje: lokal dla szefów, „executives lounge”, na modłę Londynu czy Nowego Jorku — jak w dużych społecznościach o wyraźnych podziałach klasowych; minęli bramkarza, wjechali kilka pięter wielką, ciemną windą pełną ludzi, a stamtąd udali się do zadymionego, gwarne- go po-

mieszczenia i nagle ujrzała szereg krzyczących twarzy, które ciasno przylegały do jej własnej, między innymi twarz dziewczyny, którą powinna znać z imienia, ale zapomniała; siedziały razem przy barze i piły, ale już po chwili znalazły się w dziwnym, niedużym pokoiku, gdzie dźwięki lokalu były przytłumione, a światło bladoniebieskie i czerwone; wzdłuż jednej ze ścian rozciągało się okno, które było lustrem za barem, a na biurku stał szereg czarno-białych monitorów odbierających obraz z kamer monitorujących; mężczyzna, który siedział tam z nimi, był piękny, ciemnowłosy, ale twarzy nie pamiętała; wyciągnął lusterko i zaproponował im kokę, obie wzięły i wszystko zaczęło dziać

120

się o wiele szybciej — Eva zaczęła namiętnie się z nim całować, on ją obmacywał, a potem cała trójka zaczęła się lizać, potem Eva odsunęła się od nich i piła whisky, podczas gdy facet i dziewczyna znaleźli się razem na sofie, piła szybko, dopóki ktoś jej nie objął i nie położył na sofie, a jej się wydawało, że straciła czucie, patrzyła przez ciemne, coraz głębsze korytarze na kontury ludzi, którzy gromadzili się przy lustrze i patrzyli na pomieszczenie. Ostatnie, co zapamiętała, to że siedziała w aucie i czuła, jakby miało stoczyć się w dół na niebiosa i jedynie lepkość topiących się opon utrzymywała je na powierzchni drogi, nic więcej.

Natychmiast zauważyła plac zabaw na trawniku po wschodniej stronie Kościoła Chrystusowego. Na placu były dwie osoby: dziecko z łopatką i wiaderkiem grzebiące w żwirze i mamuśka, która siedziała na huśtawce i rozmawiała przez telefon. Niedaleko mamusi stał wózek. Eva zapragnęła nagle mieć taki dla siebie, żeby się w nim położyć, i kogoś, kto by ją w nim woził, dopóki nie wytrzeźwieje, i ukołysał ją do snu w rytm deszczu. Usiadła na ławce na skraju placu, nie wiedziała, co mogłaby tu robić innego, niż czekać, ale nie wiedziała także, która godzina — zegar w komórce przez noc się wyzerował. Sięgnęła do kieszeni po karteluszek i ponownie go przeczytała: o drugiej, na placu zabaw za Kościołem Chrystusowym.

Zrobiło jej się zimno od tego siedzenia na ławce, pomasaowała sobie nogi, a potem wstała. Mamuśka zauważyła jej obecność i rozmawiając przez telefon,

121

obserwowała ją spod oka, po czym spuściła wzrok, uśmiechnęła się i powiedziała coś, o czym Eva wie-

działa, że dotyczy jej, jej formy.

Małą osobką na zwiirze okazała się dziewczynka, cztero- lub pięcioletnia, spod kaptura wystawały ciemnawe oczy i czarne przepiękne włosy. Eva zauważyła, że dziewczynka ją obserwuje, ciekawa tej dziwnej, źle ubranej kobiety w deszczu, więc podeszła do niej i zatrzymała się w pobliżu ławki.

— Nie jest ci zimno? — spytała. Oczy okrągłe, pytające.

— Nie, nie — odparła Eva. — Nigdy nie jest mi zimno... Pewno bardzo lubisz się bawić na deszczu? Kiedy ja byłam taka mała jak ty, to zawsze się taplałam.

— Taplałam? — zdumiała się dziewczynka. — A co to taplałam?

— Bawiłam się w piaskownicy podczas deszczu — Eva zaczęła sobą gardzić: dorosła, stara, sztywna i nudna.

— Lubiłam bawić się w deszczu — dodała.

— Nie masz ubrań? — spytała dziewczynka, pomijając temat taplania i przyglądała się jej gołym nogom. Białka jej oczu były przejrzyste i błyszczące, dopiero co przysła od Boga, jak mówił tata Ewy, gdy była mała.

— Mam dużo ubrań — odparła Eva. — I kombinezon przeciwdeszczowy, taki jak twój, żeby bawić się w deszczu.

— Tata jest chory — skrzywiła się mała.

— Chory? To smutne.

— Tak. Wymiotował do muszli.

122

Skacowany cholerny fagas, pomyślała Eva.

— Ja byłam kiedyś taka chora, że... — zaczęła, lecz przeszkodziła jej mamuska, która zawołała dziewczynkę po imieniu, którego Eva nie dosłyszała, a potem szybko przerzuciła na nią wzrok.

Boi się mnie, jakbym była jakimś wyrzutkiem, kurwą, pomyślała Eva, tłumiąc wściekłość.

Dziewczynka bez słowa odwróciła się i pobiegła do mamy, a ta wzięła ją za rączkę, starła brud z twarzy i zaprowadziła do wózka.

— Przepraszam — rzuciła Eva głośno, by kobieta ją usłyszała, i wstała z ławki. — Miałam się tu spotkać z pewnym człowiekiem o drugiej, może możesz mi powiedzieć, która godzina?

Kobieta odparła, że nie ma zegarka, i oddaliła się, pchając przed sobą wózek wraz z zawartością, cokolwiek to było; obok niej drobna dziewczynka, patrząc ciemnymi, pełnymi przerażenia oczami przez ramię na Ewę.

— Nie miałam zamiaru was stąd przeganiać!

— krzyknęła Eva za nimi, lecz kobieta się nie obejrzała.
— Przecież nie będę się tu kłula czy SPRZEDAWA-
ŁA SWEGO CIAŁA! Właśnie wracam z IMPREZY,
gdzie po prostu zasnąłam — krzyczała dalej, po czym
zaczęła przeklinać „wystraszonych jak cholera dupków
o mentalności drobnomieszczańskiej”, podczas gdy
matka z córką zniknęły w deszczu. Eva rozejrzała się po
placu zabaw, ale nie dostrzegła nikogo i nie zauważyła
niczego, co mogłoby w jakiś sposób być skierowane

123

do niej lub „wszystko” jej powiedzieć; pomyślała sobie
o logo z krokodylem na koszulkach polo, o intensyw-
nie zielonych, ostrozębnych krokodylach porywających
swoje ofiary głęboko do nor pod brzegami rzek, gdzie
gniją w chłodnych ciemnościach, skąd nic nie ujdzie
z życiem, nawet dusze zwierząt.

Wmasowała ciepło w uda, potupała nogami, po
czym ruszyła do domu; nawiedziły ją niewyraźne
skrawki snu, który śniła w nocy, lecz odepchnęła je od
siebie, myślała o Hrafnie i rozmowach telefonicznych,
starła się przypomnieć sobie, co robiła, ale nie mogła.

OCZY KONIA

— Jak ty wyglądasz, dziecinko! Gdzie się podziewałaś?

— Starej nie zamykały się usta, podczas gdy taksowała
Evę spojrzeniem. — Ta dzisiejsza młodzież! Teraz dopiero
wracasz do domu? A cuchniesz jak beczka piwa.

— Czujesz ode mnie zapach? — Sądziła, że udało
jej się splukać pozostałości wieczoru. Stara zamknęła
drzwi i wepchnęła ją przed sobą do salonu. — Chciałam
tylko zajrzeć na chwilę... Śmierdzą alkoholem...?

— Żartuję sobie. Świetnie wyglądasz, nic ci nie jest.
Widziałam cię wcześniej, jak wchodziłaś, w telewizji,
i postanowiłam skontaktować się z tobą. Miałaś na
sobie wczorajszą spódnicę, porwaną, prawda?

— Widziałaś mnie w telewizji? — zdziwiła się, lecz
natychmiast przypomniał jej się kanał 14.

— Tylko nie myśl sobie, że siedzę tu cały dzień i obser-
wuję hol. Mam swoje życie. Ale spodziewałam się prze-
syłki. A oni nie zawsze od razu się kontaktują, ci w holu.
Stara spytała ją, czy nie miałyby ochoty na kawę,
lecz Eva podziękowała, powiedziała, że nie pija kawy
na kacu.

— Znerwicowana się od tego robię... Kac! — krzyk-
nęła za starą do kuchni. — Ale twoje pokolenie zdaje się
nie mówi o kacu... — dodała zamyślona.

125

Nic jeszcze nie piła. Po powrocie do domu, po kąpieli, usiłowała zasnąć, lecz nie była w stanie. Kiedy zamykała oczy, pod powiekami pojawiały się szarawe, odkształcone twarze bez wyrazu, grzyby atomowe, blade dzieci. I zdawało jej się, że nie jest sama w salonie, lecz że ktoś siedzi przy białym, nienakrytym obrusem stole. Dwie kobiety.

Usiłowała zadzwonić do Hrafna, lecz ten najpierw nie odebrał, a potem wyłączył telefon. Świat się rozpadał, a ona już nie rozumiała, gdzie jest jego początek, a gdzie koniec. Coś z nią było nie tak.

Mieszkanie starej było pustawę, nieliczne meble proste i stylowe, co bardzo ją zdziwiło; spodziewała się raczej jakiejś gęstej papki sporządzonej z wielkoświatowej przeszłości właścicielki: pamiątek z Paryża, Węgier, Chin, obrazów, egzotycznych bibelotów, grubych dywanów na podłogach — przeładowanych pokoi raczej niż ducha nowobogactwa oczyszczonego śmiercią, który tu panował i przypominał jej własne mieszkanie. Ale jedna rzecz przyciągnęła jej uwagę — wielki obraz, który właśnie został zdjęty lub jeszcze niepowieszony i stał oparty o jedną ze ścian. Przedstawiał kobietę leżącą w poprzek łóżka, ubraną w cienką, białą koszulę nocną, nogi nieco rozwarte, a ręce wyciągnięte w akcie rezygnacji ponad głowę zwisającą z posłania. Oczy miała zamknięte i twarz bez wyrazu, zupełnie jakby zemdląca — z bólu, niewykluczone, lub w jakiejś ekstazie. Na jej ciele, między piersiami, kurczył się rozradowany kusy czy mara zlewająca się z ciemnym tłem,

126

gdzie śnieżnobiały łeb koński zaglądał przez zasłony. I to ów koń, a raczej oczy konia, przerażały na obrazie najbardziej — białe w kolorze łba, pozbawione życia, nieruchome i ślepe — i przywodziły Evie na myśl maskę nad jej łóżkiem.

Stara wróciła do salonu z tacą pełną czekoladek i kawy, którą określiła jako „małpia kawa”, dopiero co sprowadzona z dżungli.

— Żują roślinę, a potem przez odbyty oddają ziarna.

Koniecznie musisz spróbować.

Usiadły przy stoliku. Eva wzięła od starej filiżankę i zastanawiała się, ile musi jej powiedzieć, czy też ile może jej powiedzieć, nie zdradzając wszystkich niedomyślanych podejrzeń, tajemniczych obszarów, które tamta zwaliłaby na karb poalkoholowej traumy lub lęku przed odrzuceniem, których to uwag teraz nie chciała wysłuchiwać. Brakowało jej wiedzy o tym, co się wydarzyło za lustrem w barze, dlaczego obudziła się w łóżku

w Dzielnicy Zachodniej, kto paraduje w niebieskiej wiatrówce i co mogła powiedzieć Hrafnowi. Postanowiła bardziej sobie wszystkiego nie komplikować.

— Spotkałam wczoraj Rannveig, twoją przyjaciółkę. W kawiarni...

Stara odstawiła filiżankę i uśmiechnęła się, jakby wiedziała, że Eva ma zamiar przed nią coś zataić, co zdało jej się beznadziejne, lecz śmieszne.

— I co? Działo się coś ciekawego?

— Oczywiście, że nie. A dlaczego pytasz? Na przykład co? — Eva sączyła kawę, mocną i gorzką.

127

— Wyglądasz, jakbyś... od razu widać, że jesteś jakaś podminowana, jakby coś się stało.

— Poszłyśmy się zabawić. I chciałam się z nią spotkać, wypytać o wczorajszy wieczór.

— O co ją wypytać?

— O nazwę lokalu, w którym byliśmy, na przykład. Jakiś taki, w którym nigdy wcześniej nie byłam, koło portu. I o jej przyjaciółkę, która była z nami.

— Dziewczyno, aleś ty durna — westchnęła stara, kręcąc głową. — Coś stało się w nocy. Coś złego! Nie musisz mi o tym opowiadać, skoro nie chcesz, ale ja to widzę. Kiedy człowiek przechodzi trudny okres, tak jak ty, to czasem zachowuje się nierozsądnie. Ale musisz uważać, kiedy zostaniesz sama. A w obecnej sytuacji, kiedy chłopcy ukradkiem wrzucają coś do drinków dziewczyn, pigułki gwałtu, albo czekają, kiedy te będą zygziem wracać do siebie do domu, pokolenie porno, kompletny brak szacunku dla istoty ludzkiej...

— Weź przestań — przerwała jej Eva zdenerwowana. Po raz kolejny odniosła wrażenie, że stara odgrywa rolę: starsza pani rozmawia z młodszą na temat niezrozumiałych zmian obyczajowości, formułując idiotyczne ostrzeżenia, wymachując zdziwieniem, strachem, ale niespecjalnie to do niej pasuje, to znaczy jest mało przekonująca.

Serce Evy zaczęło bić szybciej, gdy odkryła, że oto Podczas tej pogawędki wydudliła pół filiżanki kawy, którą miała zamiar ledwo sączyć. Czowała, jak ogar-

128

nia ją uczucie klaustrofobii, krótki oddech, napięcie w żołądku, pragnienie, by otworzyć najbliższe drzwi i wybiec stąd.

— Nie, nie — powiedziała stara i roześmiała się głośno, po czym wlała w siebie całą zawartość filiżanki. — Ja troszeczkę przesadzam. Tak nie będziemy rozmawiały.

Nie jest miło rozmawiać wyłącznie o pigułce gwałtu... mężczyznach, którzy gwałcą pozbawione przytomności kobiety. — Spojrzała badawczo na Evę. — Źle się czujesz? Bledniesz.

— Wszystko w porządku — odparła Eva. — To kawa. Nie miałam zamiaru pić tak dużo. Jestem dość wrażliwa na kofeinę... Mama zawsze dostawała zaburzeń pracy serca i pociła się już po jednej filiżance.

— Biedaczka — powiedziała stara. — Musisz bardziej na siebie uważać. Może chcesz coś innego?

Eva przystała na koniak i podczas gdy stara buszowała w barku w salonie, opowiedziała jej swój sen. Powiedziała, że przyśniła jej się mama i psycholożka, do której chodziła kiedyś, dawno temu, i ma zamiar znów zacząć ją widywać. Stara powiedziała, że to dobrze, bo Rannveig kiedyś raz w tygodniu chodziła do psychologa i to przez wiele lat i teraz każdy widzi, jaka jest szczęśliwa.

— Zadzwoń tylko do niej raz-dwa — rzuciła i wróciła do stolika — i zaproszę tu do nas na kawę i koniak. Wtedy będziesz mogła wypytać ją, o co tylko chcesz.

— Postawiła przed Evą pełną do połowy koniakówkę, wyciągnęła cienki jak kabel elektryczny telefon,

129

kształtem podobny nieco do wibratora, i w tym samym czasie zadzwoniła komórka Ewy.

Hrafn.

Zerwała się od stolika, porwała z sobą koniak i odebrała:

— Cześć.

— Widzę, że już nie śpisz — zaczął i kontynuował, nie czekając na jej reakcję: — Nie wiem, ile pamiętasz z wczorajszej nocy czy co robiłaś, i jest mi wszystko jedno...

— Hrafn... — usiłowała mu przerwać, powstrzymać go.

— Wiem, co chcesz powiedzieć. Już to nieraz mówiłaś, ostatnio przedwczoraj. Ja nie mogę tak żyć. Ja tak nie mogę. Nigdy więcej. Dlaczego nie pójdziesz na odwyk, na co czekasz? To, co zrobiłaś, jest po prostu wredne, ze wszystkich wrednych rzeczy... i jeszcze wyłączasz telefon!

— A co ja takiego zrobiłam!? Nie mów tak do mnie, proszę, tak mnie to boli, bo nic nie wiem...

— Najpierw zadzwoniłaś do mnie z jakiejś knajpy i powiedziałaś, że dałaś się wydymać jakiemuś... jakiejś hermafrodytce. A pół godziny później dostaję SMS-a, że jesteś przy Aegisida i masz zamiar się zabić. A kiedy próbuję oddzwonić, to twój telefon jest wyłączony, ty

głupia idiotko! Wiesz, jak się o ciebie martwiłem...
— Ale ja tego nie pamiętam... nie potrafię — zaczęła
Eva, lecz zauważyła, że stara przestała rozmawiać przez
telefon i ją obserwuje. Odwróciła się od niej, podeszła
do okna i patrzyła na zatokę i Esję. — Nie masz na-

130

wet pojęcia, jak mi to... Wiem, że nic nie mogę po-
wiedzieć, tak mi przykro... Muszę się z tobą spotkać,
musimy o tym porozmawiać. — Na zewnątrz zaczęło
się ściemniać, kontury otoczenia się rozmywały, świat
blaknął i kurczył się do jednego głosu w jej uchu.
— Nie mogę się z tobą spotkać — odparł głos pełen po-
gardy i gniewu. — Nie mam ochoty się z tobą spotykać,
nie spałem całą noc i nie mam ochoty na pogaduchy. I to
jest sedno sprawy. Nie mogę z tobą być. Nie możemy być
razem. Często bywało absurdalnie, ale teraz nie wiem,
jak to nazwać. Nie powinniśmy być razem.
Eva rozplakała się, ale było jej wszystko jedno, czy
on to słyszy, płakała, cichutko popiskując do słuchaw-
ki, i nie potrafiła się powstrzymać.
— Nie mów tak... wybac... strasznie przepra-
szam... wybac mi... ja nie chciałam, tak bardzo cię
kocham...
— Ja już nie mogę — odparł.
Usiłowała coś powiedzieć, ale nie mogła przez
ściśnięte gardło. Powtórzył, że już dalej nie może, nie
chce z nią rozmawiać i już nie mogą być razem. Potem
usłyszała sygnał.
Zacisnęła oczy, przyłożyła telefon do czoła i łkając
spazmatycznie, czuła tylko wielką słabość i ciężki, du-
szący rytm; pragnęła, żeby ktoś dał jej w twarz, skacząc
po niej, wbił ją w ziemię, żeby przepełnił ją biały szum
i by przestała istnieć.
Wzięła głęboki wdech, podniosła głowę, wstuka-
ła numer i czekała. Wyłączony telefon. Ponownie

131

wstukała numer. Nadal wyłączony. Wciąż dzwoniła
od nowa i powtarzała tę czynność uparcie, dopóki nie
poczuła rwania w barku. Stara podeszła do niej i po-
wiedziała, że musi zachować spokój. Rannveig stała za
jej plecami.
— Zachowajmy tylko spokój — wyszeptła jej stara na
ucho. Eva pomyślała o liczbie mnogiej, jakby wszystkie
razem w tym siedziały, ale tak nie było, była sama, nie
znała tych kobiet, nie należały do grona jej przyjaciół,
nie były z nią w żaden sposób spokrewnione i ona ich

nie obchodziła, to wszystko kłamstwo, udawanie. — To tylko jeden facet — kontynuowała stara, zapewniając ją, że Eva dojdzie jeszcze do siebie, jeszcze sobie pożyje, że nie wolno jej tracić wiary w życie, życie trwa nadal, rzeczywistość trwa nadal...

— Tylko mi nie mów o rzeczywistości! — krzyknęła starej w twarz, nie potrafiąc się opanować, miała ochotę zdrapać jej twarz, zagłębić paznokcie w tej płaskiej, nieosobistej masce, jaką była jej gęba. — Ty nic nie wiesz! Wszystko skończone... rzeczywistość to ŚMIERĆ, bezdenna, cholerna ŚMIERĆ!

Stara nic nie powiedziała, spojrzała na nią beznamiętnie, jakby nie robiło jej różnicy, że krzyczy na nią niegrzeczna dziewczynka!

Pojawiła się Rannveig z butelką i dołała Evie do kieliszka, a ta znów się rozbeczała. Złość ją opuściła i ponownie pograżyła się w samotności i smutku, czuła, jak rozmowa telefoniczna powraca do niej zimnymi falami, a alkohol nie jest w stanie tego zagłu-

132

zyć, usłyszała siebie, jak prosi o coś na uspokojenie, i stara przyniosła jej tabletki. Połknęła dwie, słyszała, jak Rannveig ze starą szepcą między sobą, i wiedziała, że coś jest nie tak, coś o wiele istotniejszego niż jej rozmowa telefoniczna i to, co się stało w nocy. Musi się stąd wynieść. Nie znała tych ludzi, nie pojmowała, co tutaj robi i dlaczego przez cały czas tu przebywa, w tym domu, w tym mieszkaniu.

Spytała o toaletę, poszła tam i zamknęła za sobą drzwi, ochlapała twarz zimną wodą i odszukała numer Sigurliny, zadzwoniła, ale odebrała automatyczna sekretarka. Udało jej się uspokoić na tyle, żeby zostawić swoje imię i numer telefonu, dodała, że wszystko się pomieszało i że nie ma pewności, co robi. Potem znów opłukała sobie twarz, popatrzyła na odbicie swych podpuchniętych oczu, postąpiła tak przez kilka minut w nadziei, że Sigurlina oddzwoni, po czym wyszła z łazienki.

— No to idę — powiedziała. — Nie czuję się tu dobrze.

— Dokąd? — spytała stara, zerkając na Rannveig, która się nie odezwała.

— Stąd. Wychodzę... Na początek. Dam sobie radę, nie przejmuj się mną.

— Nie jestem pewna, czy powinnaś... — zaczęła stara, lecz umilkła, gdy Eva opuściła salon, otworzyła drzwi wejściowe, wyszła na korytarz i zamknęła za sobą; potem podeszła do windy i ściągnęła ją.

Na korytarzu panowała dziwna cisza, zupełnie jakby cały dom wstrzymał oddech. Weszła do windy

i poczuła, że tabletki, które dała jej stara, zaczynają

133

działać — szum w głowie, brak czucia w palcu, którym nacisnęła przycisk w windzie.

Winda zjeżdżała w dół, a Evie coraz bardziej miękkły kolana, ramiona i straciła czucie w czubku nosa. U góry w jednym z rogów kabiny mrugała kamera monitorująca.

Drzwi się otworzyły. Eva opuściła windę i zauważyła, że wysiadła na niewłaściwym piętrze, znalazła się na parkingu pod domem. W cieniu pod ścianą stała zaparkowana furgonetka z lustrzanymi szybami. Wydało jej się, że ktoś w niej siedzi i ją obserwuje.

Cofnęła się do windy, nachyliła do przodu i zmrużyła oczy, żeby łatwiej jej było wycelować palcem w guzik oznaczający hol; winda ruszyła w górę, znów otworzyły się drzwi i Eva wysiadła.

Hol był przestronny i jasny, jak sala balowa. Powoli przemierzyła parkiet taneczny i podeszła do stołu przypominającego długi bar z wypolerowanej, lśniącej dębiny. Poprosiła recepcjonistę, żeby zadzwonił dla niej po taksówkę, nie pamiętała żadnych numerów telefonów, ale to nie przeszkadzało, pamiętała nazwę ulicy, przy której mieszka mama Hrafna, i choć zapomniała numeru domu, nie powinna mieć z tym problemu.

Sama ulica wystarczy.

Dyżur miał akurat Snorri. Spytał, czy nie zechciałaby usiąść i poczekać raczej, niż wychodzić na zewnątrz, bo wygląda, jakby była trochę skołowana.

— Poczekam na zewnątrz — odparła Eva — ...na świeżym deszczu. — Ruszyła w kierunku ulewy wydającej

134

przyjemny stłumiony dźwięk. Z każdym stawianym krokiem czuła, jakby deszcz się oddalał. Recepcjonista Snorri chwycił ją pod łokieć i podprowadził do sofy.

Usiłowała się wyrwać z jego rąk, czuła strach niczym mały błysk głęboko w piersi, ale nie mogła nic zrobić. A potem pomyślała sobie, że to już nie ma znaczenia, wszystko i tak się skończyło i to już dawno.

Na sofie oparła się o Snorriego i powiedziała, że tamtej nocy widziała go w telewizji, widziała, jak się onanizuje. Potem pojawiła się stara i facet z czarną teczką, zaglądający zbyt jasnym światłem w jej oczy. Lekarz.

A potem znów znalazła się w mieszkaniu.

Część II

MIŁOŚĆ I SZTUKA

Obudziła się w sypialni. Światło miękkie i pełne. Z balkonu dobiegał cichy szum deszczu. Otuliła się szczerzej kołdrą, zamknęła oczy i przez jakiś czas drzemała, potem szybko się ocknęła, przypomniawszy sobie rozmowę z Hrafnem.

Poszła do łazienki i spryskała twarz wodą. Podkrążone oczy wyglądały jak podbite. Miała na sobie biały T-shirt i figi, ale nie pamiętała, jak się znalazła w łóżku ani kto ją rozebrał. Wczorajsze wydarzenia były odległe i nieco nasączone snem, ale postanowiła się w nich nie babrać. To koniec, a jej życie pozostało takie, jakim znała je do tej pory. Ona się zmieni, całkowicie, a zacznie od picia. Miłość i sztuka, pomyślała sobie, gapiąc się w swoje odbicie w lustrze, ale po pierwsze miłość. Hrafn. Odnalazła ubranie z poprzedniego dnia na krześle w sypialni, wyjęła komórkę z kieszeni i przekonała się, że nikt nie dzwonił.

Czekając w kuchni, aż zaparzy się kawa, sporządziła listę rzeczy, od których zacznie zmiany, takich, których ewentualnie dokona bez pomocy; najpierw wyprowadzi się z tego mieszkania, co akurat będzie dość proste — źle się tu czuła; następnie przygotowała listę znajomych, którzy mogliby pomóc jej znaleźć mieszkanie

138

albo załatwić gościnnie; w Stanach, ale i w Islandii znała wiele osób, które mogły uchodzić za jej przyjaciół, gotowych jej pomóc, a przypisywane im nudziarstwo albo mieszczańskie, piczko-zasadniczkowe poglądy, które ją od nich z początku odstręczały, nie były nigdy niczym innym, jak reakcją na jej własną sytuację życiową, wynikającą z ciągłych wzlotów i upadków kojarzonych z pijaństwem i kacem. To wyznanie okazało się zadziwiająco proste, choć w istocie zawierało w sobie zmianę wszystkich jej dotychczasowych życiowych wartości. Nie miała pojęcia, dlaczego do tej pory pozwalała sobie na to, jak wybrakowane było jej życie ani jak przepełnione było litością dla samej siebie i złością, a jej uczucia stały się jednym wielkim bełkotem: albo niewysłowione szczęście — z możliwości oferowanych przez pozytywną stronę istnienia — albo rwące się, nieznośne wątpliwości co do samej siebie, kolejny „atak” w przygotowaniu; i zobaczyła się jakby z zewnątrz, w szlafroku, po raz kolejny wyciągającą się za włosy ku kompletnie zmienionej filozofii życia, rozkoszującą się nowym „okresem”, który właśnie się rozpoczynał.

Weszła do salonu. Była jedenasta rano. Za okna-

mi padał deszcz, a szara mgła zakrywała zatokę, tak że cypel Kjalarnes pozostawał niewidoczny. We mgle majaczyła pogłębiarka zasysająca muł z dna morskiego i kilka mew opodal Słonecznego Wojażera.

Postanowiła pójść na spacer, odbyć kilka trudnych rozmów telefonicznych, które mogą okazać się łatwiejsze na świeżym powietrzu; potem wrócić, spakować

139

walizki i się wyprowadzić. Zabrała krótką listę, którą napisała, włożyła kurtkę, poszła do przedpokoju i zawołała windę.

Czekając na nią, wyciągnęła komórkę i przejrzała historię rozmów, które przeprowadziła w ciągu ostatnich dni. Nocą, podczas pijaństwa, raz zadzwoniła do Hrafna, o czwartej, i pewno to była ta rozmowa, o której mówił — kiedy to powiedziała, że rżnie się z jakimś facetem. Nie pamiętała tego. Godzinę później, tej samej nocy, najwyraźniej wysłała do Hrafna następującą wiadomość: „Jestem przy Aegisida, mam zamiar się zabić”. To wszystko popsuło, pomyślała, zrozumiałwszy, dlaczego się na nią wściekł. Ale to nie ona wysłała tę wiadomość. Tego była pewna. Była zdolna do wszelkich diabelskich czynów, ale nie do tego, a poza tym nie zgadzała się pisownia, ona nigdy nie stosowała znaków diakrytycznych w SMS-ach, nie potrafiła, a co dopiero wtedy, kiedy była pijana.

Winda nie nadjeżdżała. Ponownie nacisnęła guzik — myślała, że gdy go naciśnie, pojawi się światełko, starała się przypomnieć sobie, jak to jest, lecz nie miała pewności. Światło czy nie. Po upływie minuty albo i dwóch drzwi wciąż pozostawały zamknięte. Wyciągnęła klucz do mieszkania, gdyż podejrzewała, że mogła coś przeoczyć, zbliżyła małego, mrugającego pendrivika do tablicy kontrolnej, jakby tym sposobem mogła uruchomić jakiś tajemny mechanizm windy, ale przecież doskonale wiedziała, że to nie pomoże, przecież nigdy wcześniej czegoś takiego nie musiała robić.

140

Uderzała w guzik i klęła. Zimny pot wystąpił jej na czoło, odsunęła się od drzwi. Przyjrzała im się uważnie, rozglądała się za guzikami, ekranami dotykowymi czy czujnikami, na które wcześniej nie zwróciła uwagi, za czymś, co musiało się zaciąć, jakimś awaryjnym zamkiem w podłodze, światełkiem sygnalizującym brak prądu czy uszkodzenie windy. A zatem to tak wygląda, takie proste, pomyślała, zdjęła płaszcz i cisnęła nim

o podłogę, wbiła palce w szczelinę między drzwiami windy i usiłowała je rozsunąć, walczyła z sobą, chciała się opanować, nie ulec wewnętrznemu głosowi, który mówił jej, że wiedziała to od pierwszego dnia.

Zacisnęła pięści i raz krzyknęła coś w kierunku windy. W tym samym momencie zadzwonił telefon.

Zamarła w bezruchu, słuchając dzwonka, po czym wróciła do kuchni i podniosła słuchawkę.

— Włącz telewizor — rozkazał męski głos.

— Kto mówi? — wykrzyczała, ale natychmiast pojawił się sygnał.

Rzuciła słuchawkę, wróciła do salonu, i pomyślała o powodziach, trzęsieniach ziemi, atakach terrorystycznych i reakcji obrony cywilnej: Reykjavik — w nocy — stał się obiektem ataku terrorystycznego i wiele osób straciło życie, pozostałym zakazano wychodzenia na ulicę, a pracownicy obrony cywilnej wydzwaniają do ludzi, instruując ich, by dalszych informacji poszukali w telewizji.

Włączyła odbiornik; urządzenie emitowało cichy szum, szare odcienie pojawiły się na czarnym ekr-

141

nie, a potem pojawił się obraz: na lśniącem lodowisku, jakim był jasny parkiet, pojawiły się rozsiane meble, krzesło, półki, koniec lady barowej, a u samej góry, pośrodku ekranu, stała nieruchoma postać zwrócona plecami do telewizora — kobieta ubrana w czerwony płaszcz i dzinsy, ciemne włosy opadające na plecy; za jej ramieniem mrugał telewizor.

Nie odrywając wzroku od ekranu, Eva podniosła rękę i trzymała poziomo wyprostowaną, a kobieta w telewizorze zrobiła to samo. Odwróciła się powoli i patrzyła na ścianę naprzeciwko odbiornika. Ściana była pusta. Przeskanowała ją od sufitu po podłogę, ponownie odwróciła się do telewizora, po czym zaczęła się cofać, wciąż obserwując ekran — obraz kobiety, jej samej, pokazywany w telewizorze i zwielokrotniony na ekranie poprzez obrazy w obrazach. Cofała się, dopóki nie zniknęła z ekranu, aż poczuła za sobą ścianę i wtuliła w nią plecy.

Ekran zamrugał i zmienił się w obraz kobiety widzianej od przodu; za nią biała ściana. Stała przy niej wyprostowana, w swoim czerwonym płaszczu i patrzyła prosto w kamerę, w telewizor i we własne oczy.

Oderwała wzrok od ekranu, sięgnęła po pilota i wyłączyła odbiornik, udała się do kuchni i zapaliła papierosa. Telefon zadzwonił ponownie. Patrzyła nań, zaciągając się dymem, podniosła słuchawkę, usłyszała

cichy szum, wolny, głęboki oddech wnikający w nią głęboko. Potem głos — ten sam co wcześniej, ciemny, zepsuty głos męski, mówiący jej, że wszystko będzie

142

w porządku, jeśli zrobi to, co jej każe; ma iść do sypialni, zbliżyć się do ściany nad łóżkiem i włożyć swoją twarz w maskę — natychmiast. Jeśli tego nie uczyni, zostanie ukarana. I sygnał.

JEJ NOWE ŻYCIE

Usiadła przy barze i nalała sobie kieliszek białego wina, przeniosła wzrok na telewizor, a potem porwała butelkę whisky i wlała w siebie. Tak zaczęło się jej nowe życie.

Miała rację, podejrzenia zostały potwierdzone — coś jednak było! I w samym środku rozpaczyny doznała pewnej ulgi, która mogła stanowić jakiś punkt wyjścia — sytuacja była kiepska, ale przynajmniej się ustabilizowała i Eva wiedziała już, co jest co. Teraz to już nie od niej zależy. Utkwiła tu i już się stąd nie wydostanie. Stała się więźniem.

Mogłaby zadzwonić na recepcję i powiedzieć, że zepsuła się winda i że tutaj utknęła, ale nie знаła numeru. Zapomniała. Tak jak wszystko inne. Wściekła się na siebie, pomyślała, że jest głupia i beztroska, i w kółko to sobie powtarzała.

Wzięła do ręki komórkę i zadzwoniła do Hrafna, lecz on nie odebrał, pewno wciąż jest jeszcze na nią zły — zły! Potem zadzwoniła na zegarynkę, ale też się nie zgłosiła, i pod ,gdzie również nikt nie odebrał. Podbiegła do drzwi balkonowych. Zamknięte na klucz. Nigdy nie były zamknięte, nie wiedziała nawet, jak się je zamyka. Poszła po książkę telefoniczną, miała zamiar

144

odszukać numer na recepcję, lecz dotarło do niej, że nie pamięta numeru domu, więc zaczęła wydzwaniać to tu, to tam, ale nikt nie odebrał; albo została sama w mieście, albo telefon był zepsuty. Całe szczęście, że się znieczuliła, dzielił ją od świata zbyt duży dystans, żeby miała traktować go poważnie, nie obchodził jej... Maska, pomyślała sobie i przypomniało jej się wszystko, co facet mówił przez telefon. Rozmawiał z nią ktoś przez telefon? Kto rozmawiał z nią przez telefon? Kiedy? Poprzedniego dnia? Dlaczego miałyby włożyć głowę w maskę?

Poszła do sypialni i spojrzała na ścianę, na maskę,

którą trudno było rozpoznać przy świetle dziennym, białą na białym tle; w myślach przymierzyła swoją twarz do ściany, napełniło ją to obrzydzeniem, klaustrofobia i coś, co nie było ani jednym, ani drugim. I miało swoistą siłę przyciągania.

To nie było takie złe.

Spojrzała na łóżko; pamiętała, jak wygodnie drzemało się w nim z rana, a może to było wcześniej? Co się wydarzyło od czasu, gdy się obudziła? A jeżeli to wszystko to jakieś nieporozumienie? Kiedyś słyszała opowieść o dziewczynce, która pod wpływem samouczka do jogi zaczęła zmieniać swój oddech i zatrzaśnęła się w jakimś fałszywym oddechu, tak że zmieniła się chemia w mózgu i zapadła na rozszczepienie osobowości. I jeszcze facet, najwyraźniej chory psychicznie, który twierdził, że może stać się niewidzialny; jeśli nie będzie szedł zgodnie z żadnym rytmem — całe życie

145

ludzkie to rytmy, wszyscy chodzą do taktu — może zniknąć dla innych, nie to, że byłby naprawdę niewidzialny, ale po prostu nikt by go nie widział.

Ona właśnie zgubiła rytm. Kiedy otworzyła oczy, wyszła z łóżka w złym rytmie, w złym świecie i musi tam wrócić. Zdjęła buty i płaszcz, zdziwiwszy się uprzednio, że ma go jeszcze na sobie, zdarła z siebie ubranie, położyła się do łóżka, zamknęła oczy i poczuła się niekomfortowo, pomyślała o masce, usiadła, wyciągnęła ramiona do góry i zaczęła od nowa: ujęcie drugie.

Wyszła z łóżka. Przed chwilą się zbudziła, nic się nie wydarzyło.

Zaczynał się dzień.

Ubrała się, wyrzuciła buty i płaszcz do przedpokoju. Potem nastawiła kawę, wypła w pośpiechu, sporządziła listę, wyszła do przedpokoju, włożyła płaszcz i buty, pomyślała sobie o tych, do których zadzwoni, wcisnęła guzik przy windzie i czekała.

Telefon w kuchni zadzwonił po raz trzeci. Nie ruszyła się, uszczypnęła się w ramię i czuła, jak piecze ją skóra, jak to pieczenie rozlewa się po ramieniu, pulsuje w rytm telefonu i robi się coraz bardziej gorące. W końcu wybiegła do kuchni, wyrwała kabel z gniazdka, a skoro już zaczęła, to odłączyła także telewizor, podbiegła z powrotem do windy, nacisnęła guzik, waliła w drzwi, wiedząc, że to beznadziejne, i szyderczo się z siebie śmiała, błąkała się po mieszkaniu, piła z butelki i zaczęła się rozglądać za kamerami.

146

Podeszła do ściany *visa vis* telewizora, tam skąd zaczęło się pierwsze ujęcie, od tyłu, na którym stała wpatrzona w odbiornik. Ściana okazała się pusta i biała. Przeciągnęła po niej dłońmi w poszukiwaniu nierówności, powtórzyła to ze ścianą nad telewizorem, skąd zrobione zostało następne ujęcie, lecz nic nie znalazła. Nagle przypomniały się jej schody przeciwpożarowe, wyjście awaryjne. Wbiegła do pralni, chwyciła za zasuwę i usiłowała ciągnąć, lecz ta ani drgnęła. Przez jakiś czas z nią walczyła, po czym kopnęła drzwi i rzuciła się na nie, lecz nic się nie wydarzyło, kopała i waliła w ściany i półki w pralni i w pewnym momencie zauważyła nieduży młotek, który spadł na podłogę. Zabrała go do salonu. Serce waliło jej niemiłosiernie szybko. Bicie serca odbierało jej siły, więc zaczęła wybijając je z siebie, uderzając młotkiem dookoła, w meble i podłogę, w ściany, szukając kamer, małych szklanych oczu w ścianach, następnie podeszła do okien, zrazu stuknęła lekko, a potem w środek z całych sił, lecz szkło wcale się nie stłukło, nie pojawiły się nawet rysy. Cisnęła młotkiem w jedno z okiem, krzycząc na otaczające ją ściany, i zaczęła wywracać meble, rozrzucała je dookoła, łamiąc jeden po drugim, rzuciła się na biały stół w salonie i przewróciła go, z pazurami i pięściami rzucała się na wszystko, co tylko stanęło na jej drodze, cisnęła krzesłem w ekran telewizora, który wybuchnął na środku salonu.

Później tego dnia, połamawszy już wszystko, na co starczyło jej sił, i wypiwszy więcej, niż mogła, poło-

147

żyła się na kuchennym stole, wśród ruin mieszkania. Na szybie kuchennej widniał ogromny napis „SOS”, nabazgrany szminką — nic innego nie przyszło jej do głowy, a dalej już nic nie pamięta.

MAŁA KOBIETA W SZLAFROKU

Obudziła się w sypialni, wzięła szybki wdech. Pokój jaśniał blaskiem dnia.

Od okien zwróconych w stronę balkonu docierał uporczywy dźwięk mamrocącego deszczu. Obróciła się i ułożyła w poprzek łóżka, ubrana w swój czerwony szlafrok, a pod nim naga. O ile pamiętała, film jej się urwał w salonie. Opuchniętymi oczami przyglądała się ścianie nad łóżkiem, masce, i zdawało jej się, że wewnątrz jej organizmu zapadło się jakoś i powyginało. Gdy zamknęła oczy, pod powiekami widziała maskę. A poza dudnieniem padającego deszczu było coś jeszcze, tak ciche, że nie była pewna, czy naprawdę to słyszy.

Wstała, ciasniej opasała się szlafrokiem i wyszła z sypialni.

Salon wyglądał tak jak zazwyczaj: meble, ściany, obrazy. Telewizor. Chodziła po pokoju, gapiała się na sprzęty dziecinny wzrokiem okrągłych oczu, na stół, sofę, krzesła, które połamała, nie mogła oprzeć się przemożnej chęci dotknięcia ich, popchnięcia, poczucia ciężaru, realności, i dziwiła się, ciągle się dziwiła.

Więc nic się nie wydarzyło?

Drzwi balkonowe były zamknięte i nie mogła ściągnąć windy. Weszła do kuchni, skąd dobiegała muzy-

149

ka. Na środku stołu stała pozytywka, którą podarowała jej mama. To z niej dochodziła melodyjka, którą ostatnio Eva słyszała, będąc dzieckiem, a na wieczku obracała się w kółko mała syrenka. Jak daleko Eva sięgała pamięcią, pozytywka zawsze była zepsuta. Na oknie kuchennym nie było napisu SOS.

— Czy to jest kara? — wymamrotała pod nosem, ale potem to wykrzyknęła; patrzyła po ścianach, obracając się dokoła i śmiejąc się szyderczo. — Czy to jest kara? Naprawić zepsutą pozytywkę?

Po dokładniejszych oględzinach mieszkania okazało się, że nie wszystko jest takie jak przedtem. Na ścianie salonu, gdzie uderzała młotkiem, widniały szarawe odpryski, rysy wypełniono kitem i zamalowano, lecz farba okazała się nieco jaśniejsza od reszty ściany, lśniące odpryski miały kształt oczu. Na oknach także odkryła rysy po młotku — dwie niewielkie, których nie udało im się ukryć, a telewizor zupełnie nowy: zagięcia na kablach, jakby dopiero wyjęto je z folii. Oni, myślała sobie — ci oni, nie wiedząc dokładnie, kogo ma na myśli, lecz słabe strzępy wspomnień dobijały się do jej myśli, to i tamto, co wydarzyło się, zanim przyjechała do kraju, ale nie miała jeszcze siły, by się z tym zmierzyć, spojrzeć w oczy własnej ślepoty.

Wróciwszy do sypialni, by się ubrać, zauważyła, że zniknęła jej walizka i wszystkie ubrania poza czerwo-

150

nym szlafrokiem, w którym się obudziła, i to spowodowało, że dostrzegła, ile rzeczy tak naprawdę się zmieniło: usiłowała zapalić światło, ale nie działało, ekspres do kawy też nie, podobnie jak kuchenka i mikrofalówka; mieszkanie pozbawione było prądu. Odkręciła kran w kuchni, lecz woda nie popłynęła, ani zimna, ani ciepła, a lodówka była całkiem pusta. Z myślenia życzeniowego lub ślepoty, graniczących z Nadprzyrodzonym

udało jej się przejść do porządku nad faktem, że barek w salonie także jest pusty, ani jednej flaszki na półkach i kartonach w pralni, a zapas jej papierosów znajdował się w walizce, która zniknęła. To oznaczało, że nie ma nic do jedzenia, alkoholu, papierosów, prądu ani wody. Kara, pomyślała, i zaschło jej w ustach, a cały organizm zaczął odczuwać braki, rozpadać się i domagać zaspokojenia. Podeszła do telefonu w kuchni, podniosła słuchawkę do ucha i usłyszała sygnał. Telefon działał. Odłożyła słuchawkę na widełki i zaczęła chodzić po mieszkaniu w oczekiwaniu, aż zadzwoni, lecz nic się nie wydarzyło.

Potem usiadła przy stole kuchennym, nakręciła pozytywkę i słuchała melodyjki, i tak wciąż od nowa. Od czasu, gdy przyszła na świat, nie pamiętała, aby cierpiała jakiegokolwiek braki — żeby nie mogła zaspokoić pragnienia i głodu w ciągu kilku minut; gdyby tylko chciało jej się aż tyle czasu poświęcić, wstałaby i poszła do najbliższego sklepu. Nie była odporna na niedostatki, wiedziała, że skapituluje; wszystko byłaby w stanie znieść poza brakiem, a pragnienie i głód będą

151

jedynie początkiem tego, czego nie cierpi; papierosy, alkohol, kawa, komputer, różnorodność — zawsze miała wybór, jeśli chciała, mogła zrezygnować. Zlustrowała całe mieszkanie w poszukiwaniu flaszki albo tabletek, albo papierosa — choćby zapomnianego niedopałka zagubionego za sofą, lecz nic nie znalazła.

Dzień mijał i po południu, gdy światło się zmieniło, skapitulowała. Była „małą kobietą w szlafroku” i dopóki nie zjawi się ktoś i jej nie uratuje lub sama nie znajdzie jakiegoś wyjścia z sytuacji, będzie musiała ugiać się pod ich żądaniem, robić to, co jej każą, i czy będzie stawiała opór przez kilka dni, tygodni czy miesięcy, nie ma żadnego znaczenia; gra czy co to tam było, właśnie się zaczyna, a co wydarzy się dalej, to już nie od niej zależy; przyszłość już nie jest w jej rękach, nie bierze odpowiedzialności za swoje życie.

Wróciła do sypialni, wpełzła na łóżko i położyła płasko dłonie na ścianie po obu stronach maski. Serce waliło jej w piersiach, lecz nie czuła lęku, nie tak jak się tego spodziewała; jej uczucia były bezimienne, pragnienia niezrozumiałe, ściana zimna i szorstka pod dłońmi, gęsia skórka rozchodziła się po całym jej ciele, po udach, brzuchu i piersiach, zaciskała się wokół niej niczym muszla. I co dalej? — myślała, poluźniła szlafrok, przywarła do ściany i zamknęła oczy; czuła, jak jej ciało drętwieje z zimna, a twarz znika w masce.

TELEWIZOR

Następnego dnia zbudziła się w łóżku, przespawszy noc bez snów i jak się zdaje pozbawioną wydarzeń, spojrzała na maskę ponad sobą. Pamiętała, że wspięła się na łóżko i przylgnęła do ściany. Potem zemdląła, co nie wydało jej się prawdopodobne, padła od wypitego alkoholu albo rozpylono jej coś w twarz z maski. Zajęła się parzeniem kawy, piciem kawy, paleniem, bazgraniem po papierze. Wyrzała przez okno w kierunku lodowca Snaefellsjökull, ale widziała jedynie chmury. Wciąż padało, ciężkie, gnuśne krople deszczu leciały z chmur, które zdawały się wisieć zaledwie kilka metrów nad domem.

Wypiła więcej kawy, zastanawiając się nad kamerami. Przesuwała telewizor po całym mieszkaniu, szukając miejsca, w którym widziałaby go z każdego pokoju w apartamencie: wszędzie czaiły się kamery, licznie rozmieszczone w każdym pomieszczeniu. Towarzyszyły jej, gdziekolwiek by poszła. W łazience; pod prysznicem i na sedesie; kiedy usiadła, wyobrażała sobie kamerę filmującą jej rozwierające się otwory. Obmacywała ściany, kafelki, muszlę, lecz nigdzie nie natknęła się na żadne ślady kamer, zupełnie jakby były niewidoczne.

153

Po południu zadzwonił telefon. Znowu ten facet. Powiedział, żeby włożyła twarz w maskę o północy, bo jeśli nie, zostanie ukarana, a kara będzie dotkliwsza niż ostatnio.

O północy, znieczulona alkoholem, posłuchała. Nie było to trudne. Ale kiedy wstała rano, nie miała poczucia, jakby coś się wydarzyło, znowu tylko tyle, że zdaje się, iż zasnęła. Nie rozumiała, dlaczego każą jej to robić.

Przy kawie i papierosach cały czas coś bazgrała na papierze, wyobrażając sobie siebie na dziesiątkach czy setkach ekranów nierobiącą niczego specjalnego; żadnych min, żadnych uczuć, nic. Z wszystkich kartek zdecydowała się ugnieść małe kulki, które rozproszdziła po stole, poza jedną, na której zostawiła coś więcej niż tylko bazgroły i którą schowała przy sobie.

W salonie wyłączyła telewizor z prądu i przeniosła go do kuchni, jak robiła już wcześniej, ustawiła go na stole i włączyła. Cicho zaszumiał, po czym ukazał się jej obraz na ekranie, od tyłu i z góry — stała przed telewizorem i weń patrzyła. Odwróciła się i spojrzała na spojenie ściany z sufitem, gdzie powinna znajdować się kamera, jakby w dalszym ciągu uprawiała jakies

śledztwo dotyczące rozlokowania kamer, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Wyłączyła odbiornik, wyjęła wtyczkę z gniazdka i wniosła go do salonu, postawiła na sofie, tak blisko drzwi balkonowych, jak to tylko było możliwe, by nie wzbudzać żadnych podejrzeń, i na ile starczyło jej odwagi, po czym weszła do łazienki, odkręciła wodę nad

154

umywalką, i myjąc twarz, zastanawiała się. Jej myśli przecież nie widzą. Nie mają kamery w jej głowie.

Zdjęła ręcznik ze ściany, z walizki wyjęła bikini, schowała do kieszeni klucz od balkonu i wyszła na taras. Było zimno, padał deszcz ze śniegiem; przykrą szarą słotą nawiewało nad miasto od zachodu.

Ponad ścianą oddzielającą apartament od mieszkania obok szumiały przewody elektryczne, które zauważyła natychmiast, jak tylko się tam zjawiała, a które już nie zdawały jej się dziwne; nic bardziej właściwego i oczywistego nie widziała w mieszkaniu od chwili, gdy przestąpiła jego próg.

Odkręciła wodę i kazała jej się łąć do jacuzzi, mieszała ją palcami, zestrajając gorącą z zimną, jakby naprawdę zamierzała skorzystać z kąpieli; w jacuzzi też znajdowały się kamery. Rozłożyła bikini, zdjęła skarpetki i spodnie, wychyliła się przez barierkę, by się rozejrzeć po parkingu. Koło jednego z samochodów stał jakiś mężczyzna i palił papierosa. Odwróciła się, podrapała się w głowę, robiąc minę, jakby czegoś zapomniała, a co nagle jej się przypomniało, wciągnęła spodnie i wróciła do salonu.

Telewizor wciąż stał na podłodze. Spokojnie, tylko spokojnie, wyszeptwała do siebie, wszystko będzie w porządku, podeszła do telewizora, podniosła go, wyniosła na taras i natychmiast usłyszała, że telefon w kuchni zaczął dzwonić. Nogi jej się trzęsły. Wiedziała, że to musi się udać, teraz albo nigdy, zbliżyła się z odbiornikiem do balustrady i oparła go na niej, spojrzała na

155

parking i trotuar jedenaście pięter pod sobą, i na trasę Saebraut, na samochody, które mknęły wciąż bez wytchnienia przez całą dobę obok niej, grzmiąc niczym rzeka lodowcowa i dusząc wszelkie dźwięki.

Mężczyzna palący papierosa wciąż tam stał, a niedaleko niego, po zachodniej stronie placu, z samochodu wysiadł drugi, z plecakiem. Chodnik bezpośrednio pod nią był pusty. Głęboko wciągnęła powietrze i ze-

pchnęła telewizor z barierki. Obserwowała, jak spada wzdłuż ściany domu i ląduje na dachu jednego z zaparkowanych aut. Jego dach się zapadł, przednia szyba rozpadła się na kawałki, a alarm zaczął wyć i mrugać przednimi światłami.

Obaj mężczyźni spojrzeli w górę, na dom. Eva machała im i krzyczała, dopóki się nie upewniła, że ją zauważą, potem wyciągnęła klucz od mieszkania i kartkę, na której nagryzmoła numer mieszkania, swoje imię i że została w rzeczonym mieszkaniu uwięziona, zawinęła klucz w kartkę, zmięła w kulkę i rzuciła przez barierkę. Spadła pod nogi jednego z mężczyzn, który nachylił się, podniósł ją i rozłożył, podczas gdy drugi mężczyzna pomachał jej i zniknął do połowy w aucie, na którym wylądował telewizor. Za chwilę alarm umilkł. Ten, który podniósł papier, razem z tym drugim zaczęli zbierać odłamki telewizora i wrzucać je do bagażnika zaparkowanego w pobliżu samochodu. Nie takiej reakcji się spodziewała. Mężczyźni nie okazywali jej już specjalnego zainteresowania, nie spoglądali zdezorientowani na ostatnie piętro wieżowca, nie wołali

156

i nie machali, nie wyjęli telefonów, by zadzwonić pod numer alarmowy czy na policję.

Oni.

Zaczęła na nich krzyczeć i pluć, poniżać ich i drzeć się, dopóki jej głos nie zmienił się w skrzeczący szept; rozejrzała się wokół za czymś, co jeszcze mogłaby rzucić, lecz nic takiego nie zauważyła. Musiałaby wejść do mieszkania, a to mogłoby się okazać niebezpieczne.

Przechyliła się przez barierkę i po raz pierwszy poczuła, że potrafiłaby znaleźć w sobie tyle odwagi, by skoczyć z budynku.

Dalej na ulicy, w stronę piekarni, zauważyła kobietę, która pchając przed sobą wózek dziecięcy, zbliżała się do wieżowca. Ona nie gra w drużynie przeciwnej. Eva odwróciła się, podskoczyła prawie i wbiegła do salonu, porwała dwa krzesła od stołu, dwa ciężkie i nadające się do zrzutu krzesła, by cisnąć nimi o trotuar, lecz wówczas się ściemniło — za oknami pociemniało, jakby ktoś wyłączył słońce, szkło poczerniało, stając się nieprzezroczyste i jednocześnie drzwi balkonowe zostały zatrzaśnięte. Przez krótką chwilę zdawało się jej, że widzi cień przemykający przez balkon w stronę drzwi.

Podbiegła do wejścia balkonowego, ciągnęła, wykręcała i waliła w klamkę, lecz drzwi się nie otworzyły. Za oknami niejasno rysowały się kontury pobliskich domów, a poza tym było ciemno jak w nocy.

Położyła się na podłodze. W kuchni wciąż dzwonił telefon.

O północy włożyła twarz w maskę.

SŁABY, SZUMIĄCY POJEMNIK

Płomienie świec sterczały pionowo w górę. Nie miała pojęcia, jak długo są tu te świece. Ani jak dawno temu otworzyła oczy, albo się zbudziła? Leżała w swoim łóżku. Rozpoznała zasłony, niebieskie z białymi, lśniącymi kropkami.

Głowa jej ciążyła, jakby w środku znajdował się jakiś ciężar opakowany w coś jeszcze; trudno ruszało się jej głową. Na boki. Najłatwiej patrzeć na świece, emanowały spokojem, bezruchem. Stały przy końcu łóżka. Zdawało jej się, że boi się tych świec, jakby nie powinno ich tu być.

Miała kłopoty z koncentracją. Gdzieś głęboko w jej wnętrzu, w ciepłej mazi, czaiły się małe wrzaski, bulgocące tuż pod powierzchnią, lecz jej organizm był słaby, miękki jak z waty i delikatny niczym obłok. Usta bez czucia, kształtem przypominające literę 0, język miała ściśnięty — nie mogła nim ruszyć, i coś było nad głową, całą głową. Czyżby jeszcze tkwiła w ścianie, w masce? A co ze świeczkami?

Próbowała poruszyć rękami lub nogami, lecz nie była w stanie; rozprostowała nieco plecy i poczuła słabe strzyknięcia. Jej wzrok padł na lustro ponad łóżkiem, na suficie. Nie pamiętała go. Na łóżku spoczywała oso-

158

ba, naga, nogi i ramiona rozrzucone na boki, do czegoś przywiązane; między nogami widniała czarna kreska, jej włosy łonowe, i dwa punkciki będące piersiami; czarny biustonosz i czarna maska na twarzy z otworami na oczy i nos, a usta zasunięte na zamek błyskawiczny. Zdało jej się, że świece mrugnęły, z salonu dochodził cichy rytm bębna i basu, ktoś grał muzykę. Drzwi do sypialni otworzyły się. Usiłowała odwrócić ku nim głowę, lecz nie miała siły. Białe światło wślizgnęło się z przedpokoju, a muzyka stała się nieco głośniejsza, po czym znów się wyciszyła, kiedy drzwi zostały zamknięte. Cienie u stóp łóżka jęły się ruszać i ktoś wszedł w krąg światła bijący od świec. Dwaj mężczyźni. Twarzy nie rozróżniała. Jeden z nich był bardzo chudy, z zapadniętą klatką piersiową, ubrany w obwisłe gacie, drugi zaś całkiem nagi, pozbawiony włosów i umięśniony. Poszeptali między sobą i usłyszała, że ten z mięśniami na kłacie powiedział: „moja kobieta”, potem zniknął gdzieś w cieniu, a chudzielec stał w nogach łóżka i zabrał się za

dotykaniu swojego półsztywnego ptaka; przez ramiona przerzucił czarne szelki albo coś w rodzaju pejcza z małeńkimi węzełkami na końcach. Przeciągnął batem przez piersi, jego twarz znalazła się w blasku świec i Eva go skojarzyła — morsa, pamiętała go z telewizji, tyle że to nie był on, lecz maska sięgająca połowy szyi, a przedstawiała premiera, który — nie wiedziała nawet, jak się nazywa — przypominał morsa, maska zamrożona w bezruchu poza otworami, w których poruszały się oczy i błyszczaly, gapiąc się na nią i do niej zbliżając.

159

Mężczyzna ukląkł przy łóżku u jej nóg, uszczypnął ją w stopę, lecz ta była bez czucia i nawet się nie poruszyła; potem machnął pejczem w jej stronę i powiedział coś, czego nie dosłyszała, parsknął śmiechem brzmiącym niczym grzmot. Jego tyłek żadnym tyłkiem nie był, lecz kośćmi pokrytymi żółtawą, upstrzoną bliznami skórą przypominającą łuskę. Przesuwał się w górę wzdłuż jej ciała, przywarł twarzą do jej krocza, powąchał i skrzywił się, po czym uniósł jedną ze świec i czerwonymi punkcikami wosku pokrył jej uda, ramiona, dołek między piersiami i w dół po łono. Zamknęła oczy. Odrętwienie zmalowało, poczuła ból — czerwone punkty pojawiające się i znikające w mroku pod powiekami; potem obmacano ją między nogami, coś zimnego i twardego wepchnięto w odbył, coś wilgotnego wstrzykiwano w jej łono, dopóki nie zaczęła się pocić i nie poczuła przyływu klaustrofobii. Czowała, jakby zaraz miała zostać rozerwana; obrócono ją na łóżku, ręce w nadgarstkach związane na plecach, nogi złączone i związane i ciągnięto ją w górę, dopóki nie zawisła u sufitu. Chudzielec przycupnął przy jej twarzy, otworzył zamek błyskawiczny, uszczypnął ją w żuchwę i napluł jej do ust, złapał za kark i brutalnie przysunął jej głowę do swego krocza, dopóki czerwone punkciki nie zaczęły pulsować jej przed oczami; głowę miała całkiem odrętwiała, obudziła się z bólu pod wpływem uderzeń pejcza w plecy i pośladki. Punkciki rozkwitały, zlewały się i falowały niczym ocean. Eva wpatrzyła się w ocean, ciało było tylko słabym, szumiącym pojemnikiem na ból.

TRĄBY POWIETRZNE I PTAKI

Z kuchni uczyniła miejsce, w którym najczęściej przebywała, może dlatego, że stamtąd roztaczał się najlepszy widok: na zachód półwysep Snaefellsnes, na południe centrum miasta i dzielnica Thingholt.

Uśpili ją w masce — gazem, czymś, co się z niej ulatniało, po czym zbudzili ją w nocy. Tak to było. Oni?

Nie miała pojęcia jacy oni.

W dzień piła kawę i rozpuszczała wyobraźnię. Chwytała długopis, gryzmoła trąby powietrzne i ptaki. Postanowiła zacząć pościć. Kiedyś ktoś jej powiedział, że mając na uwadze jej zodiakalną mapę, radykalne warunki dobrze jej służą; jest osobą, która świetnie się odnajduje w strzelaninie w stylu „w samo południe”, pojedynkach, albo gdyby ją rzucono do obozu zagłady — wszystko to oddziaływało na nią lepiej niż dziesięciolecie za dziesięcioleciem w codziennych, bezbarwnych warunkach. — Zdecydowała, że tak jest słusznie.

Po wyrzuceniu telewizora drzwi balkonowe pozostawały zamknięte, choć nie miała pojęcia, jak to zrobiono. W mieszkaniach pod jej apartamentem nie było balkonów, które mogłaby obserwować lub zrzucić jakąś wiadomość. Jej okna wyposażone zostały w lustrza-

161

ne szyby, o czym zapomniała, mażąc napis SOS po wewnętrznej stronie. Szyby wytrzymały uderzenia młotkiem. Z pobliskich domów nikt nie mógł zajrzeć do jej mieszkania. Winda nie przyjeżdżała, kiedy usiłowała ściągnąć ją do siebie. Miała dość żywności, mrożonej i świeżej, która zjawiała się w lodówce i czasem na półkach w pralni. Od samego początku wydawało jej się jasne, że ktoś zapełnia lodówkę i półki, według potrzeb, przygotowując swoiste menu złożone z najistotniejszych potraw porządnych przedstawicieli zachodniej klasy średniej: mięso, hamburgery, parówki, kurczaki, ryby, krewetki, nawet homary i jeśli z czegoś nie korzystała przez kilka dni — na przykład z mrożonych krewetek — produkty znikają, a w ich miejsce pojawiały się inne. W pojemniku na dnio lodówki były teraz warzywa i owoce, a na półkach w pralni pyszniły się długie rzędy puszek, paczek z ciastkami, kartoników z makaronem i ryżem, ale najważniejsze przyprawy, sól i cukier umieszczono na jednym z regalików w kuchni. Co rano otrzymywała „Frettebladid” — gazeta leżała złożona na kuchennym stole obok pokrojonego, świeżego chleba, a papierosy znajdowała w jednej z szuflad w kuchni: pięć paczek — jakby musiała się zmieścić w limicie pięciu paczek wypalanych w ciągu dnia. Ci faceci ją przeceniają. Jednego dnia wypaliła trzy paczki, ale pewno zapomniała o niektórych papierosach pozostawionych w różnych zakamarkach i te wypaliły

* Bezpłatna gazeta wydawana w Islandii.

162

się same. W barku po prostu pojawiał się alkohol w nowych, banderolowanych flaszkach, z akcyzą islandzkiego urzędu celnego. Wszystkie najistotniejsze gatunki. Zbadała maskę w sypialni. W nosie maski dostrzegła mikroskopijne dziurki wielkości kropek w książce. Pomyślała, że kiedy wkłada w nią twarz, to przez te kropki wsącza się jakiś środek nasenny. Kropki były białe i kiedy w nie patrzyła, oczy zachodziły jej mgłą, wszystko stawało się białe i rozedrgane. Rano głowa jej ciążyła, jakby podawano jej narkotyki. W miejsce starego telewizora pojawił się nowy. Była tutaj zamknięta, na jedenastym piętrze. Takie są fakty. Pomyślała o sąsiednim mieszkaniu, kablach elektrycznych oddzielających jej balkon od balkonu po drugiej stronie. Mieszkanie stało puste, ale nawet jeśli nie stałoby puste, była pewna, że nikt jej przyjazny tam nie mieszka. A może tamto mieszkanie było jakimś centrum dowodzenia? Ile osób potrzeba, by się tym zajmować? Codziennie? Dwóch? A może tylko jednej? Tego nie mogła wiedzieć. Postanowiła ostrożnie postępować z alkoholem, może nawet zupełnie z niego zrezygnować. Poza tym postanowiła już więcej nie tracić sił na słabo przygotowane działania jak to z telewizorem, choć dzięki temu sporo się nauczyła — dwaj mężczyźni, którzy wysiedli z auta, na przykład zwiastowali ogólne założenia operacji, i to, czym jej grożono, zostało spełnione: jeśli nie będzie słuchać, zostanie ukarana. Nocą przez dwóch mężczyzn, o ile się nie myliła.

163

Roześmiała się cicho do siebie. Wcześniej bywała rżnięta, wykorzystywana seksualnie, w charakterze pochwy, i wcześniej także cierpiała. Kiedy miała piętnaście lat, została zgwałcona w stanie upojenia alkoholowego w namiocie, a potem znów za rok przez swojego narzeczonego, z którym właśnie się rozstała, i jego przyjaciół podczas imprezy — „jedna czwarta kobiet na świecie jest w życiu gwałcona”. To nie jest ważne. Pogodzi się z tym. Jak one wszystkie. Albo nie. Pomyślała o mężczyznach na parkingu po rozbiciu telewizora, o mężczyznach w maskach w sypialni. Czy byli to ci sami mężczyźni? Rozpamiętując to, coraz bardziej dochodziła do wniosku, że jeden z tych na parkingu był tym, który oprowadzał ją po apartamencie pierwszego dnia, ten który przedstawił się jako prawnik Emila Thorssona. Ale pewności mieć nie mogła. Jak też co do tego, co się wydarzyło w nocy lub się

nie wydarzyło. Zastanawiała się nad słowami jednego z zamaskowanych, „moja kobieta”, i wyobrażała sobie, że ten, który to powiedział, był świadom tego, co się dzieje, drugi zaś nie; jeden z mężczyzn był gościem w mieszkaniu, sprowadzonym może przez Party Line, i sądził, że przyszedł tu spotkać się z kobietą, która pozwala się związywać i kneblować — i nie miał pojęcia o szerszym kontekście swoich czynów.

Pomyślała także o e-mailach, które otrzymała — tych „Do małej Ewy” czy jakichś innych poniżających wersjach tego samego — i dołączonych do nich zdjęć pornograficznych. E-maile, podobnie jak jej nocna kara,

164

skierowały jej myśli ku grupom zainteresowanym seksem, jakimś stowarzyszeniom swingersów.

Nie była jednak przekonana co do słuszności swoich podejrzeń. Może posty zostały wysłane po to, by ją zmylić? A może tylko, by się z nią droczyć? Przestraszyć ją? Czy były częścią szerszej ofensywy, „zaprojektowanego biegu wydarzeń”, jak to się mówi w polityce i biznesie? Biznesie?

Umykało jej coś dotyczącego biegu wypadków, kiedy zrzuciła telewizor, oraz dotyczącego mieszkania i poprawek wprowadzonych po jego zniszczeniu. Co musiało zająć trochę czasu. I gdzieś w tym wszystkim kryła się nadzieja, choć jej nie dostrzegała, jeszcze nie. Ale kiedyś to pojmie. Ma czas.

Zaczęła od nowa — bazując na swej wiedzy; dalej gryzmoliła trąby powietrzne, wynotowywała pojedyncze słowa i pozwalała szaleć wyobraźni.

TAJEMNICZE SPOTKANIA Z BANKIEM KAUPTHING

Pierwsze spotkanie odbyło się w centrali banku Kaupthing przy Lexington, w czarno-szarym siedemdziesięcioletnim budynku ze szkła, w którym jedno z pięter należało do Kaupthing. Po kilku rozmowach telefonicznych i wymianie kilku e-maili zaproszono ją na spotkanie, aby przedyskutować ewentualną partycypację w kosztach filmu dokumentalnego o surogatkach, przedstawicielkach trzeciego świata z Meksyku, noszących zapłodnione jajeczka dam z Manhattanu, rodzących im dzieci, oddających je i otrzymujących za to zapłatę, filmu, który miała zamiar nakręcić. Lokacje wymyśliła dwie — slumsy Mexico City i świat drobnomieszczański w Starbucks na Manhattanie. Uważała, że rozmowa jest trochę przedwczesna, bo zdawała sobie sprawę, iż nie udało

jej się jeszcze znaleźć odpowiedniej perspektywy i scenariusz jest kiepski, a przyświecała jej zapewne jedynie próba spojrzenia w oczy śmierci dziewczynki. Ale wiedziała też, że ten pomysł da się sprzedać i dopóki coś się w tej sprawie nie ruszy, może przynajmniej poszukać sposobu na sfinansowanie projektu swojego pijaństwa. Tak sobie myślała.

166

Termin spotkania nie mógł być gorszy, lecz się na niego zgodziła, wzięła prysznic, schowała twarz za mocnym makijażem i okularami słonecznymi i wzięła taksówkę. Poprzedniego wieczora w restauracji Hrafn oznajmił jej, że ma zamiar wrócić do Islandii, że ma już „dosyć”; zaproponowano mu pracę w ojczyźnie, a jak ona sama doskonale wie, freelancerstwo kiego mu wychodzi, w związku z czym zgodził się na etat. W trakcie kłótni, jaka się po chwili wywiązała, powiedział jej, że jeśli chodzi o ich wspólne życie, to jeszcze niczego nie postanowił, ale powtarzał z uporem, że ma dość tego, jak wygląda ich związek, mówił o pijaństwie, kłótniach, seksie, że ich życie to dryf, a ona stłukła coś w kuchni, powiedziała, że zawsze była pewna, iż on potrzebuje kobiety poddanej, która nie chce być niezależna, kobiety maleńkiej i słodziutkiej i pozbawionej charakteru i patrzącej na niego z podziwem i tak dalej, co skończyło się tym, że on wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, a ona poszła do baru. A następnego dnia miała się spotkać w banku z mężczyznami w garniturach i prosić ich, by powierzyli jej swoje pieniądze.

Przyjął ją młody sekretarz płci żeńskiej, zaserwował kawę i kilka minut później wprowadził do gabinetu Emila Thorssona. Emil był inny, niż się spodziewała. Sądziła, że spotka prostaka, finansistę, lecz Emil był w jakiś sposób „uderzający”, pełen subtelności i z jakichś powodów przypominał jej postaci z niemych czarno-białych filmów, włosy krótko przystrzyżone,

167

czarne, delikatne, proste brwi, wyraz twarzy opanowany, wyczulony, świadczący może nawet o pewnej wrażliwości, lecz tym, co wyróżniało go na tle przeciętności, był czarny, drobny wąsik, prosty, przystrzyżony wysoko ponad górną wargą. Oczyma duszy widziała go czarno-białym, niemym: wargi stanowiły jedynie dolny przypis do uderzającej prostoty wąsa — bardzo wystylizowany, jednak bez widocznego wysiłku. Pnący się w górę człowiek. Przypomniało jej się określenie,

które przeczytała w jakimś czasopiśmie: „wyższa rasa ludzka”, dotyczące bogatych ludzi Zachodu czy co to tam było. Polityką nigdy specjalnie się nie interesowała. Podali sobie ręce na powitanie. I natychmiast uznała za coś nieznośnie idiotycznego siedzenie tam w okularach słonecznych, więc je zdjęła; on spojrzął jej w oczy i zauważył wszystko to, czego nie powinien; to jednak nie wyzwoliło w nim wrogości, wręcz przeciwnie, jakby zainteresowanie projektem wzrosło — odkryła to, przypominając sobie spotkanie. Przez chwilę dyskutowali o tym, z jakiego powodu się tam znalazła, a potem skierował rozmowę na nowojorskich Islandczyków, kogo ona tu zna, gdzie mieszka i od jak dawna. Na koniec oświadczył, że zawoła dyrektora finansowego, Amerykanina, którego nazwisko już zapomniała, i który decydował w sprawie dotacji na kulturę, a kiedy ten się zjawił, wypyтали ją bardziej szczegółowo o treść filmu, budżet, możliwości dystrybucyjne, skąd weźmie pozostałą część funduszy, a ona w środku rozmowy na temat pieniędzy zaczęła płakać,

168

zrazu nawet tego nie wiedząc; poczuła wilgoć na policzku i zauważyła, że faceci są bardzo zakłopotani; skryła głowę w dłoniach, a ktoś zaczął poklepywać ją po ramionach, powtarzając, że wszystko będzie dobrze, i przy jej twarzy pojawiła się serwetka.

Kiedy po chwili podniosła wzrok, siedziała sama w gabinecie z Emilem, przysunął swój fotel do niej i po paru minutach paplaniny wyjęczała wreszcie słowa przeprosin za swój stan, ale narzeczony zostawia ją i jedzie do Islandii, ona zaś nie chce go puścić, chciałyby pojechać za nim, ale nie będzie mogła, bo właśnie się tutaj związała, powiedział jej o tym wczoraj, a ona niczego nie podejrzewała, a jej mama nie żyje, a tata w Kalifornii. Cała jej przeszłość uderzyła w nią nieznośnym ciężarem, wszystko w upojnym korowodzie uczuć, z którymi sobie nie radziła.

Kiedy podniosła się, by wyjść — skreśliwszy w ferworze chwili dotację, podobnie jak całe swoje życie — Emil powiedział, że nie ma sumienia pozwolić jej odejść w takim stanie, zazwyczaj o tej porze chodzi do baru i czy ona nie zechciałaby mu towarzyszyć, bo wygląda na to, że przyda jej się coś na uspokojenie. Pomarudziwszy nieszczerze przez chwilę, że jest dużą dziewczynką i nie potrzebuje opieki, poszła z nim do baru na parterze z oknami wychodzącymi na V Aleję. Urznęli się do cna, obserwując przez szklaną ścianę ludzi przewalających się chodnikami w drodze z pracy do domu, a on słuchał, jak przeprowadza wiwisekcję

swojego związku i jego rozwoju oraz całego swojego

169

życia, twierdząc, że bez Hrafna nie będzie mogła żyć, bez niego wszystko straci znaczenie, więc musi pojechać za nim, na koniec świata czy na Islandię czy do piekła, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Przez moment przyszło jej nawet do głowy, że facet siedzi z nią pełen dobrych intencji i rad, pozwalając jej zalewać robaka w nadziei na seks — albo nawet, że to ona siedzi tam w nadziei na seks — ale on taki nie był, w jego oczach tlił się jakiś blask, nie całkiem brak zainteresowania czy chłód, ale ambicja — opanowanie i siła, których na razie nie był gotów dla niej porzucić, a już nie po to, żeby zrobić coś równie podłego, jak zaciągnąć ją do łóżka, on taki nie był; panował nad sobą, kontrolował swoje życie i mimo ograniczeń na podmiejską modłę islandzką — żadnej architektury, niewiele historii, mówił po angielsku, ale już po niemiecku czy francusku nie — jego cel stanowiło najwyraźniej sprawianie wrażenia dobrze ociosanego światowca, jeśli nie węgierskiego hrabiego, przyzwoitego sponsora sztuki, który potrafi podtrzymać konwersację na temat kubizmu, Matthew Barneya czy Josepha Novaka, nie przynosząc wstydu samemu sobie. I im dłużej z nim siedziała, tym bardziej rósł jej podziw dla niego; jak człowiek taki jak on, pnący się po drabinie kariery kapitału, może być w stanie konwersować na temat filozofii czy estetyki, skoro rozmowa już zesłała na ten temat; jak cały jest naelektryzowany i bystry, choć można dostrzec w nim przeciwności tej bystrości — pobłażliwość, paternalizm, umiejętność kierowania

170

wszystkich rozmów na wygodne dla niej tory, zupełnie jakby była dzieckiem lub nastolatką, którą postanowił rozpieszczać — i robił to dobrze, podczas gdy ona i większość jej znajomych miałaby spore kłopoty z wypowiedzeniem jednego choćby istotnego zdania na temat giełd, prawa, ekonomii, NASDAQ czy kursu jena. Wieczór skończył się tym, że zapłacił rachunek, opłacił jej taksówkę, a ona była zbyt nietrzeźwa, by protestować. Następne, co zapamiętała, to jak płakała koło Hrafna, który wrócił do domu od swego przyjaciela, u którego spędził poprzednią noc; przeniósł się do salonu i spał na sofie.

Tydzień później zadzwoniono do niej z Kaupthing i zaproszono ponownie na spotkanie. Zdziwiło ją to, bo spodziewała się raczej, że ich udział w kosztach fil-

mu jest już skreślony, zdążyła nawet skreślić sam film, choć wiele miesięcy szukania, czekania i zebrania zbliżyły ją bardzo do kwoty, której potrzebowała, by rozpocząć zdjęcia.

Na spotkanie przyszedł Emil z innym mężczyzną, Amerykaninem, i oznajmili jej, że najprawdopodobniej bank przyzna jej wsparcie, a nawet więcej, bo „E-mailowi” spodobał się pomysł. Amerykanin był twardym, starszym mężczyzną, łysym, o silnej szczęcie, ale nie przypominała sobie, by kiedykolwiek podczas rozmowy padło, jaką funkcję pełni w banku. Zrazu zadawał podobne pytania, co wcześniej dyrektor finansowy, lecz z czasem stawały się coraz bardziej dociekliwe i osobiste — o „miłosne kłopoty”, o których słyszał,

171

jak obecnie kształtuje się sytuacja, a ona odparła, że na jakiś czas jedzie do Islandii, zmuszona przyznać, że nie wie, co tam będzie robić, po części jedzie za narzeczonym, bo oboje zgodzili się zawiesić na chwilę związek i „coś wymyślić”; następnie o rodziców, tatę w Kalifornii, a nawet raka jej matki, i wtedy przypomniało jej się, po co tam jest: żeby dostać pieniądze na produkcję filmu — nie na przesłuchaniu, a kiedy o tym wspomniała, Emil przeprosił, a Amerykanin się wycofał i wytworzyła się między nimi dynamika, która wydała jej się nieprzyjemnie znana — dobry i zły glina. Potem ich pożegnała, a oni obiecali się skontaktować, gdy sprawa się wyjaśni.

Kilka dni później zadzwonił Emil z informacją, że dotację zaakceptowano; wydała z siebie głośne yes! A on spytał, czy jej wyjazd do Islandii jest aktualny. Potwierdziła, a on na to, że ponieważ podczas drugiego spotkania mówiła, że w Islandii nie zna prawie nikogo, przyszło mu do głowy, czy może nie będzie potrzebowała jakiegoś mieszkania. Tu nastąpiła opowieść o apartamencie i francuskiej kobiecie, Marie, która wyruszyła w podróż, była przekonana, że tak właśnie powiedział: „w podróż”; pogadał o islandzkim rynku nieruchomości, który „się dynamizuje”, apartamencie w pełni umeblowanym i o braku osoby, która od czasu do czasu „otwierałaby drzwi balkonowe” — sprzątała, zajmowała się kotem i roślinkami — żadnego czynszu, żadnych zobowiązań i na koniec bezcenne: „oboje jesteśmy Islandczykami, chętnie pomogę”.

172

Podczas ostatniej wymiany uprzejmości, ostatniej sceny sztuki specjalnie dla niej napisanej, zdecydowana

była odmówić — zupełnie się nie znali, mieszkanie to jednak za wiele, lecz on się upierał, dopóki nie obiecała się zastanowić. Dostała od niego numer do prawnika, który przekaże jej klucze i pokaże mieszkanie. I po pierwszej nocy spędzonej w Islandii nie musiała się już zastanawiać; „prawnik Emila Thorssona” sam do niej zadzwonił, umówili się, pokazał jej apartament i się wprowadziła.

W MASCE

Wyciągnęła twarz z maski; potem odwróciła głowę albo raczej to głowa się odwróciła.

Znajdowała się w jasnej, białej sypialni. Białe zasłony lśniły świecącym za oknem słońcem. Na przepastnym podwójnym łożu leżała biała narzuta, a wzdłuż ścian stały białe szafki, które niejasno kojarzyła. Stała i patrzyła na to wszystko, lecz to nie ona; nie czuła ciała, jakby śniła, lecz zupełnie inaczej — zachowując świadomość.

Potem ruszyła się z miejsca, wszystko zaczęło pływać, i opuściła sypialnię, zauważyła zamykające się drzwi. Spojrzała w umywalkę, ręce niebędące jej rękami grzebały w kosmetyczce i wyciągnęły białą chusteczkę, potem wszystko zaczęło się trząść, lecz po chwili się uspokoiło i wtedy zauważyła stojącą bez ruchu dziewczynę przed okrągłym otworem w ścianie, patrzącą przezeń na nią. Kojarzyła tę dziewczynę, już otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale nie mogła, coś zamykało jej usta i odnosiła dziwne wrażenie ciasnoty, jakby jej ciało owinięte zostało w coś miękkiego i ciepłego. Dziewczyna była ciemnowłosa, ubrana w czerwoną bluzkę.

Przysunęła się bliżej otworu, powiększyła go i wówczas zniknął, całkiem wypełniła go twarz dziewczyny

174

i wtedy odkryła, że ten otwór to lustro. Nachyliła się do niego, naniósł tusz na rzęsy, a świat drżał, jakby znajdowała się za oczami dziewczyny, patrzyła przez nie i z nimi się poruszała. Wyprostowała się, upudrowała twarz, wytrzeszczyła oczy w lustro, zupełnie jakby na siebie patrzyły. Nie była w stanie zamknąć oczu, nie wiedziała nawet, czy nimi mruga, dziewczyna uśmiechała się w lustrze, potem znowu ruch i wszystko zaczęło pływać.

Stała przy szafach w sypialni i oglądała wiszące w rzędach ubrania: damskie ubrania — nie męskie, jak ostatnio, pomyślała i zobaczyła ręce sięgające do szafy po żakiet i szalik; potem ruszyły przez korytarz, w dół schodami i weszły do słonecznego, wyłożonego parkietem salonu.

Wiedziała, gdzie jest. — W domu w Dzielnicy Zachodniej, gdzie raz kiedyś się obudziła. I wiedziała też, kim jest dziewczyna w lustrze — przyjaciółka Rannveig, ta, obok której w łóżku się obudziła. Rozpoznała brwi, cienkie, wydepilowane, ten brak wyrazu twarzy podkreślany makijażem, pieprzyk nad wargą.

Wyszła na dwór i stanęła na chodniku, podjechała do niej taksówka. Wsiadła do auta, znów wszystko drżało, jakby znalazła się za jej oczami. Taksówka jechała ulicą Hringbraut, a następnie

1.111c11La1La. zplacu Inglofstorg. Zapłaciła, wygramoliła się z niego i weszła do trafiki. Kupiła papierosy i włożyła je do torebki. Wargi ekspedientki poruszały się, lecz nie

175

wydawała z siebie żadnych dźwięków. Potem ruszyła ulicą Austurstraeti, zatrzymała się przed sklepem i spojrzała w górę wzdłuż okien budynku, weszła przez

drzwi obok sklepu, do windy, jadąc na górę, ogarnęła się w lustrze i potwierdziła przed sobą, że dziewczyna jest przyjaciółką Rannveig. Nie rozumiała tego.

Wysiadła z windy, weszła do jasnego pomieszczenia, gdzie kobieta patrzyła im w twarz, ruszając bezgłośnie ustami. Stanęły w drzwiach do gabinetu. Na fotelu za biurkiem, pochylony nad klawiaturą komputera, siedział mężczyzna ubrany w białą koszulę, z rozczochranymi włosami, sterczącymi na wszystkie strony. Od razu go rozpoznała i serce zaczęło walić jej w piersiach. — Hrafn. Obrócił się w fotelu, wstał z uśmiechem, wyciągnął rękę i przywitał się. Dziewczyna usiadła po drugiej stronie biurka, a jego twarz zajęła sam środek sceny. Walczyła z sobą, by nie otworzyć ust i nie krzyknąć, niejasno czuła, że chce się wyrwać z tej lepkiej wilgoci otaczającej ją ze wszystkich stron i krępującej jej ruchy, czuła coś twardszego wbijającego się w jej twarz, lecz się poddała. Oczy opadły na papiery, które ktoś — dziewczyna — wyjął z torebki, podała je ponad biurkiem i Hrafn zaczął je studiować. Teraz oczy błędziły między Hrafnem a leżącymi pomiędzy nimi papierami, które chłopak wskazywał. Hrafn był zmęczony i wychudzony, pod oczami podwójne ciemne sińce. Usiłowała nachylić się i dotknąć jego ręki trzymającej dokumenty, lecz nie mogła. Miała ochotę go ostrzec, powiedzieć mu, żeby uważał. Dużo mówił,

176

wargi się poruszały, ale nie słyszała, co mówi on ani dziewczyna. Uczestniczyli w spotkaniu.

A potem przestali uczestniczyć w spotkaniu. Trzymała paczkę papierosów, poruszali się po błyszczącym parkiecie, wśród białych szklanych ścian, białych rolet i przez drzwi balkonowe na zewnątrz. Centrum miasta rozciągało się w dół pod błękitnym, bezchmurnym niebem; po lewej ręce ulica Bankastraeti, ludzie i auta spływający z góry z Laugavegur; na wprost dachy domów i srebrzący się Tjórnin i Hrafn: uśmiechnięta twarz Hrafna wkładającego sobie do ust papierosa i zapalającego, najpierw jej, potem sobie. Jego usta się poruszyły, a dziewczyna zatrzęsała się, pewnie ze śmiechu, skierowała wzrok na papier, który zdarła z paczki papierosów, nabazgrała na nim cyfry — swój numer telefonu — podniosła do oczu, żeby móc zobaczyć i podała Hrafnowi.

A potem wyszła; windą na dół, przeszła Austurstraeti do Laekjargata, gdzie obserwowała mijające ją samochody, aż w końcu wsiadła do jednego z nich, taksówki jadącej w kierunku morza, trasą Saebraut, minęła Słonecznego Wojażera, przy wieżowcach skręciła w prawo i zatrzymała się przed jednym z nich. Dziewczyna zapłaciła kierowcy, wysiadła i podeszła do mężczyzny ubranego w niebieską wiatrówkę. Mężczyzna był skulony i nie widać było jego twarzy, ale miała pewność, że to ten sam, który śledził ją do stawu Tjórnin.

Weszli do budynku, przez hol, gdzie wszystko pływało, ale rozpoznała uśmiechniętą twarz siwego recep-

177

cjonisty i zauważyła, że radośnie im pomachał. Potem znaleźli się w windzie. Dziewczyna włożyła klucz do szpary, zwróciła się w stronę lustra na ścianie, w którym uśmiechała się do niej cały czas w drodze na górę, a mężczyzna odwrócił głowę.

Winda się otworzyła i weszli do mieszkania.

Wszystko było na swoim miejscu — jej sweter na sofie, pozytywka pośrodku kuchennego stołu: dziewczyna ją nakręciła, patrzyła na obracającą się bezdźwięcznie syrenkę na wieczku. Weszli do sypialni, mężczyzna przodem. Podeszedł do okna, odsłonił zasłony i pokój wypełniła jasność. Potem wyprostował rękę, pokazał jej coś, a ona się odwróciła. Na łóżku, ściśle przywarłe do ściany, stało jej własne ciało z głową wtopioną w ścianę. Do jej uszu dobiegł cichy szum, obraz zaczął pływać i potem wszystko stało się czarne.

LUSTRO

Powoli dni zaczęły przybierać charakter niemal codzienności. Wszystko w jej życiu uległo zmianie,

w każdym razie tak wydawało jej się na początku; potem rozwinęło się w niej podejrzenie, iż w rzeczywistości niewiele się zmieniło, chyba że ewentualnie „ekspozycja” jej życia; owo uczucie bezradności, rezygnacji i zamknięcia w samej sobie, które od tak dawna jej towarzyszyło, nareszcie przybrało jakąś postać: wewnętrzne ściany przedzierzgnęły się w zewnętrzne, i w ten sposób lepiej mogła wyrazić swój problem. Sprzątać nie musiała — mieszkanie cały czas było czyste; a jedzenie, alkohol oraz papierosy nadal pojawiały się w lodówce, barku, szufladzie kuchennej, a ona nawet palcem ruszać nie musiała.

Prawdę mówiąc mogła robić wszystko, co chciała, poza opuszczeniem apartamentu i odmową wkładania głowy w maskę, gdy wybijała północ. A mogło być gorzej. Jeśli chodzi o codzienne obowiązki, ciężące obowiązki, które aby wypełnić, człowiek budzi się co rano, większość mieszkańców ziemi jest w gorszej sytuacji, a w każdym razie niewiele lepszej. Każdy człowiek otrzymywał nieduży skrawek czy kromkę życia — „plac zabaw”, który zainteresowany musiał w jakiś sposób

179

uczynić „swoim”, zaakceptować reguły, skierować swoje pragnienia i sny na właściwe tory wewnątrz tego poletka i zbierać plony lub siał, w zależności od tego, jak akurat wyszło. Jeśli chodzi o nią, to ten plac zabaw w pewnym sensie został zmniejszony, ale to wymagało jedynie niewielkiej zmiany sposobu myślenia i znów osiągała właściwe proporcje, wagę, które ludziom na zewnątrz — każdemu ograniczonemu do swego mieszkania, pracy, związku uczuciowego, miasta, w którym mieszkał — udało się uczynić forum własnych idei dotyczących życia, celu, wolności. Żaden człowiek w rzeczywistości nigdy nie zajmował więcej niż jakieś dwa metry kwadratowe, czyli kubaturę równą ludzkiemu ciału. Jedyne, co się liczy, to myśli, panowanie nad myślami, nad samym sobą.

Kot nigdzie nie był widoczny.

Czasem czytała „Frettabladid”, a najchętniej felietony na temat mediów — dziennikarze chwalecy lub mieszający z błotem program telewizyjny — albo cytaty z blogów. Przez wiele lat pozostawała w pogmatwanym związku z blogami, którymi jednocześnie gardziła i dziwnie lubiła. W gazecie pojawiały się blogi ludzi, których zupełnie nie знаła, a którzy w różnym stopniu zdawali się wojować ze społeczeństwem lub własnymi koncepcjami na jego temat. Ale największą radość w jej nowym życiu, choć sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać, sprawiało jej to, że ludzie ci byli

uwężeni w podobny do niej sposób; prawie całe tak zwane prywatne życie toczyło się pod okiem bezimien-

180

nego, pozbawionego twarzy tłumu, śledzącego każdy ich ruch i myśl; i nie miało tu żadnego znaczenia, jak szczegółowe czy „demaskujące” są wpisy na blogu czy liczba jego czytelników, lecz chodziło o owo spojrzenie na jednostkę, które stało u podstaw wpisu, i co taka likwidacja granic między przestrzenią publiczną a prywatną mówi o współczesności: pewnego razu muszla klozetowa postawiona w galerii stała się fontanną, a tym samym — dziełem sztuki, i to samo usiłowano osiągnąć na blogach, niezależnie od tego, jak nieestetycznie wyglądały — przemienić gówno w złoto, rozmydlić granicę między prywatnym a publicznym i w ten sposób odzyskać możliwość zdefiniowania własnego życia. Na blogach ludzie wyrażali wyłącznie swoją potrzebę wyrwania się z wiecznej, wszechotaczającej i pasywnej konsumpcji; zaprzestania ograniczania się do obserwacji i uczestnictwa polegającego wyłącznie na przyglądaniu się wiadomościom, programom kulinarnym i podróżniczym, wydarzeniom sportowym na żywo, rozrywce, filmom fabularnym, serialom i uczynienia własnego życia przedmiotem takiej obserwacji, zatopienia się w samo sedno swojego pragnienia i pokuszenia się w ten sposób o jego rozcieńczenie: stać się gapiem, który pozwala innym gapić się na siebie, zastępy gapiów gapiących się wzajemnie sobie w twarz — oko, które otwiera się i widzi, jeśli nie samo siebie, to przynajmniej inne oko, tak samo się gapiące. Kiedy była w wyjątkowo dobrym humorze, przygotowywała sobie trzy- lub czterodaniowe posiłki. Wiele

181

produktów w lodówce nosiło logo Joi Fel, o którym wcześniej nigdy nie słyszała, ale nauczyła się delektować humusem, chlebem i oliwkami przypisanymi Joi Fel. Czasem upijała się, ale rzadko zaczynała pić wcześniej niż po południu i nigdy nie była na tyle pijana, by nie wiedzieć, kiedy zbliża się północ. Pewnego wieczoru siedziała w salonie przy kolacji przed telewizorem i oglądała wiadomości; pod koniec ukazało się na ekranie jej własne zdjęcie, zrobione w ich mieszkaniu w Nowym Jorku. Głos lektora brzmiał obojętnie, choć nieco sztucznie: — Stołeczna policja poszukuje Evy Dógg Einarsdottir. Nie ma od niej żadnych wiadomości od niedzieli

15 października. Komukolwiek znany jest los Evy, proszony jest zadzwonić pod numer...

Krótkie. Potem news o suce, której miot liczył osiem szczeniąt na chwałę rasy islandzkiej; karmiła szczenięta własnymi piersiami, a gospodarz fakt ten przypisywał działaniu islandzkiego tranu, podczas gdy operator pokazywał sukę zlizującą olej wielorybi z łyżki.

Oglądała się w lustrze w łazience. Oto ona. Zagubiona. Stołeczna policja jej szukała, szukała Evy Einarsdottir. Poszukuje się Evy Einarsdottir, Eva Einarsdottir, żadnych wieści o Evie Einarsdottir od czasu, gdy Eva Einarsdottir... Zacisnęła dłoń w pięść i ścisnęła ją, dopóki nie straciła czucia, potem uderzyła nią, niczym

182

młotkiem, w lustro, wciąż uderzała w lustro, dopóki nie rozpadło się w błyszczącą mgłę, kawałki nie pokryły umywalki i podłogi, a jej oczom nie ujawniła się kolejna ściana, tak samo biała jak pozostałe.

ODNOWIONE MYŚLI O UCIECZCE

A potem lustro wróciło na swoje miejsce. Jakby nic się nie wydarzyło. Lecz nie to samo lustro. Coś w niej głęboko dostało kopa i znów powróciła myśl — o tym, co przeoczyła. Dalej myślała, nie myśląc, pozwalając, by czas mijał.

Kiedy nie czytała na balkonie albo nie piła kawy, dziwiąc się, jak mała jest różnica między nią a tamtymi, albo wewnątrz i zewnątrz i w zasadzie większością ludzkich myśli, oglądała filmy, wykorzystując projektor. W zbiorach znajdowały się japońskie Hentai, a nie pamiętała, by tam były, kiedy po raz pierwszy weszła do pokoju; rysunkowe pornofilmy, w których wielkookie dziewczynki w mundurkach szkolnych dymają i są dymane, zazwyczaj to drugie — gwałcono je, lecz przy ich „akceptującym oporze”.

Jeśli chodzi o filmy nieukazujące seksu, znalazła jeden, przedstawiający ludzi torturowanych w obozie — strażnik podszedł do więźnia, który miał ręce związane nad głową i oczy przewiązane chustą, wyciągnął coś błyszczącego, a potem gmerał tym między nogami więźnia, i wyciągnął łyżkę pełną kału, chwycił więźnia za zuchwę i wepchnął mu gówno głęboko w usta, po czym siłą zacisnął mu szczękę. Wątku nie rozumiała.

184

Inne dzieło za temat wzięło sobie ptaszka, któremu chłopiec obciął nóżki; potem ptaszyna nigdy nie mogła

wylądować, spała na wietrze i wylądowała raz tylko — żeby umrzeć. Chyba potrafiła to zrozumieć. Tego typu alegorie lub najmniej istotne nawet przemyślenia, na które nie pozwalała sobie kiedyś, zanim została tutaj zamknięta, mogły teraz całkiem wypełniać jej życie i zdarzało się, że odnosiła wrażenie, jakby czas nie istniał, zdawało jej się, że już nie ma potrzeby go „zabijać” albo się demaskować, siedziała albo leżała na sofie czy łóżku i czas po prostu odchodził, tak szybko, że niemal słyszała jego szum.

Czekała, aż spotka ją kara za lustro i jeszcze kilka mebli, które połamała. Ale nic się nie wydarzyło. Uważała, że to niedobrze. Wtedy zaczęła wyobrażać sobie, co ją czeka.

Potem wzięła się w garść. Znowu zaczęła przemyślać ucieczkę. Nie wydarzyło się nic specjalnego, co by ją wytrąciło z odrętwienia; pewnego ranka po prostu stała w łazience przed lustrem i przyglądała się sobie. Lustrem nowym, nie tym, które stłukła. Zastanawiała się, jak by się stąd oddalić, wyjść na zewnątrz; czuła, jak to pragnienie obraca się i kotłuje w jej brzuchu. Rzeczy zastępujące przedmioty, które niszczyła, nigdy nie były tymi samymi, rzeczywistość do nich nie należała — nie w obiektywnym rozumieniu. Potrafili

185

natomiast przygotować wierne kopie, by je wokół niej piętrzyć i by ją nimi zarzucać w jakimś nieodgadnionym celu, ale ona potrafiłaby przejrzeć ich na wylot. Gdyby jej się chciało. Odmówiłaby udziału lub przez jakiś czas udawałaby tylko — tak długo, jak by to było dla niej wygodne.

Kiedy przykładała twarz do maski, znajdowała się za oczami innej kobiety, jakkolwiek to osiągnęli — znieczulali, związywali czy chowali jej twarz w hełmie lub okularach projekcyjnych, karmili ruchami dziewczyny, a ona oglądała akcję uprzednio sfilmowaną. Następnego dnia spostrzegła, że wokół jej oczu zarysowywały się linie, może okulary były na nią zbyt ciasne, bolały ją oczy, jakby siłą przytrzymywano je otwarte. To, co się działo, nie było snem, nie było przeculeniem, odnosiła wrażenie, jakby została przywiązana do łóżka, owinięta jak kokon w coś miękkiego, co jednak pętało wszystkie jej ruchy, a poza tym, miała wrażenie, że dostała coś na zwiotczenie mięśni.

I cisza. Usta poruszały się, lecz nic nie mówiły.

W pewnym momencie dziewczyna popatrzyła w lustro, lecz żadnej kamery nie było widać. Czy miało to jakieś znaczenie? Czy była jedną z nich? Ilu ich było?

Eva przypominała sobie wszystkie osoby, które spotkała od czasu przyjazdu do kraju, i doszła do wniosku, że każda z nich może należeć do spisku, ale również dobrze żadna. A może istniała możliwość „zaflancowania” na człowieku kamery, jak rośliny, bez jego wiedzy albo zapłacenia mu za to, że nosi na sobie kamerę? A może

186

dziewczyna była sprzedajną dziwką, najętą po to, by pieprzyć się, co jakiś czas z facetem i nagrywać to na wideo, niezadając żadnych pytań? Jedną z tych trzy- czy czterogwiazdkowych uzdolnionych biznesowo call girls dla nowego rynku, który powstał i rozrósł się po tym, jak zaczęła się „ekspansja wikingów finansjery”, zatrudnioną po to, by na kilka miesięcy owinać sobie wokół palca Hrafna, zagubionego przestępcę?

Stała w kuchni, patrzyła na południe w kierunku centrum, domy wzdłuż Laugavegur, domy w Thingholt, domy wokół Laekjatorg i placu Austurvóllur. Wiedziała już, co jej umknęło po tym, jak wyrzuciła telewizor przez balkon: mężczyzna, który przebiegł przez balkon i zamknął drzwi; musiał zejść z dachu albo przez ścianę oddzielającą mieszkania, co oznaczało, że ich centrum dowodzenia mieści się niedaleko apartamentu — na przykład w mieszkaniu obok, które rzekomo było puste.

Myślała także o tym, co wydarzyło się po zniszczeniu mieszkania, w jaki sposób zostało podrasowane, jak zakamuflowano bałagan, który wprowadziła do ich małego świata. Wszystko, co zniszczyła, zostało naprawione — nie miała pojęcia dłaczego, ale to nieistotne, dopóki mieszkanie było znów w stanie, jakiego oni sobie życzyli — czy to przy wykorzystaniu płatnej siły roboczej, czy nie — rozumiała doskonale, że jest stąd przenoszona, a to już było istotne. Gdzie była, kiedy trzymała twarz w masce, kiedy zamiatali odłamki szkła, zamiatali wczorajszy dzień i wprowadzali nowe

187

rzeczy, scenę, sytuację, projektowali i przepuszczali przez nią rzeczywistość? Czy to jej również umknęło? Trud tych ludzi, nieustanny wysiłek, by piętrzyć ściany wokół niej, dobrze ukryty i cichy trud, i możliwość wykorzystania sytuacji?

Przeciągnęła palcami po ścianie i nie było już wątpliwości, już nie: poniżej maski na ścianie sypialni znajdowało się wgłębienie w kształcie ludzkiego ciała. Skojarzyła, że przecież już od dawna zarysowywały się

kontury barków, ramion i bioder, ale ona nie chciała tego widzieć. Nie tylko twarz, ale i cały jej przód znikał w ścianie.

Z TŁOCZKAMI W USZACH

Obudziła się.

Przez jakiś czas leżała bez ruchu zamyślona i rozglądała się wokół. Następnie zsunęła z siebie kołdrę, postawiła stopy na podłodze i wypchnęła korpus do pionu, lecz zamiast przenieść ciężar na nogi, sturlała się z łóżka na ziemię. Nie zrobiła sobie krzywdy, lecz nagły zawrót głowy, gdy chciała się podnieść, okazał się dotkliwy i niespodziewany. Kiedy ponownie spróbowała się wyprostować, poczuła, że gdy tylko porusza głową, światu puszcza hamulce, wiruje gwałtownie wokół niej, a ona nie potrafi niczego opanować.

Zamknęła oczy, chwyciła się za głowę i obmacała ją, przyszło jej na myśl, że poprzedniego dnia otrzymała cios w czaszkę, lecz o tym zapomniała. Na uszach namacała coś twardego, co zostało do nich przyczepione i przypominało słuchawki; uszy były zdrętwiałe, pozbawione czucia i wydało jej się, że wprowadzono do nich jakieś tłoczki. Znowu usiłowała się podnieść, ale nie była w stanie. Wszystko wirowało jej przed oczami. Musieli jej coś zrobić, pozbawić ją zmysłu równowagi, bo nie potrafiła już stać prosto. Zaczęła pełznąć po podłodze, jakby płynęła pod prąd bystrej rzeki, usiłując jak najmniej ruszać głową.

189

Kiedy zbliżyła się do wejścia do salonu, usłyszała jakieś dźwięki z kuchni, szum radia i brzęk talerza kładzionego na stół. Dalej wlekła się po podłodze, lecz zamarła i podniosła wzrok, gdy ktoś zjawił się w kuchennych drzwiach. Stara.

— Ty...? — zdumiała się Eva.

— To tak mnie witasz? — spytała stara. — Robię kawę. Chodź i siadaj. — Zniknęła na powrót w kuchni.

Eva dalej posuwała się po podłodze do kuchni, w której stara pochylała się do lodówki i układała jedzenie na talerzach. Nie była zdziwiona tym, że Eva nie podnosi się z podłogi.

— Chodź do stołu — powtórzyła stara, nie patrząc na nią. — Postarajmy się chociaż raz zrobić to jak ludzie cywilizowani.

— Co zrobić? — spytała Eva, nie bardzo wiedząc, co stara ma na myśli, i próbując zrozumieć, dlaczego nie jest już sama w mieszkaniu.

Kiedy zbliżyła się do stołu, stara stanęła nad nią okra-

kiem, postawiwszy nogi po obu stronach jej ciała, złapała ją za ręce i brutalnie podniosła, sadzając na jednym z krzeseł. Eva jęknęła, świat zniknął za zawrotem głowy i zafalował, na chwilę ją zemdliło, straciła czucie w ramionach, jakby zapadła na chorobę morską. Potem siedziała już przy stole uchwycona rantu, by nie runąć na bok, ale głowy nie mogła utrzymać prosto, spuściła ją na blat.
— Nie potrafisz usiedzieć jak człowiek? — Stara szturchnęła ją widelcem, po czym usadziła do pionu i usiadła naprzeciw niej, po drugiej stronie stołu. Mię-

190

dzy nimi stały talerze z jedzeniem, którego nie widziała, i unosił się aromat kawy. Jedyne, co widziała, to twarz starej, sprawiająca wrażenie zatroskanej, lecz hardą; i mgiełkę wokół.

— Wiedziałam, że jesteś... z nimi... — wyjąkała Eva, usiłując złapać kontakt wzrokowy ze starą. Ta uśmiechnęła się i ugryzła kanapkę.

— Aleś ty sprytna — rzuciła i gryzła dalej.

— Dlaczego tu jestem? — Eva pozwoliła głowie opaść, oparła czoło o chłodny blat, po czym przekrzywiła ją, patrząc na wielki kawał żółtego sera na talerzu. Wszystko było płaskie, dwuwymiarowe, ale może po prostu miała zawroty głowy.

— Jesteś tutaj — powiedziała stara z wściekłością — i tutaj zostaniesz. To wszystko, co powinnaś wiedzieć. I nie robiono z tobą nic, czego byś sama nie chciała. Łamiąc zasady, wiedziałas, że zostaniesz ukarana...

— Ja tego nigdy nie chciałam, niczego nie chciałam... — zareagowała Eva piskliwym głosem jak mała dziewczynka.

— Szkoda — kontynuowała stara — że wyrzuciłaś telewizor przez balkon, jakiś przechodzień mógłby ulec wypadkowi, jakiś niewinny przechodzień. Potem tłuczysz lustro! Nie wiesz, że to siedem lat nieszczęścia!? Może masz zamiar spędzić tu siedem lat? — Stara wybuchła śmiechem.

— Sprawdziłam... — mamrotała, nie mając pojęcia, czy ją jeszcze słyhać — zanim wyrzuciłam telewizor, nikogo nie było... na ulicy...

191

— Nie pierdol, mała artystko. — Eva usłyszała, jak stara nalewa do filiżanki, potem ciche mlaskanie, gdy jadła.

— Dlaczego tu jestem? — dociekała uparcie. Nie chciała dać za wygraną. Choć nie spodziewała się od-

powiedzi, to może starej coś by się wypsnęło.
— A dlaczego nie miałabyś być tutaj? — odparła stara. — W przechowalni, żeby inni mieli od ciebie spokój. Jesteś małą, egoistyczną suką, niechlujną, leniwą gówniarą, która zawsze stawia na swoim, nie licząc się z innymi. Robisz dokładnie to, co tobie pasuje, wywalasz swoją niechlujną cipę mężczyznom w twarz, żeby myśleli, że ich kochasz, a potem czynisz z nich lokai, swoją bezczelnością dołki pod nimi kopiesz, żebyś dalej mogła udawać artystkę. Twoja sztuka to szczytny. Zawsze byłaś leniwa, nawet jak na artystkę. Gdyby nie społeczeństwo i tolerancja innych, ktoś taki jak ty byłby trupem, w każdym razie w prawdziwej pracy, gdzie musiałabyś wstawać rano i dawać coś z siebie, gdzie musiałabyś pracować, a nie pasożytować na innych jak żebrak. — Stara umilkła, a Eva nic nie odpowiedziała, pomyślała sobie tylko, że zawsze wiedziała, iż stara bierze udział w tym, co się dzieje, ale jednocześnie czuła, że wiedziała o tym i zarazem nie wiedziała.

— Spotkałam tę dziewczynę — powiedziała Eva. — Tę, która była na prezentacji zadania... Nie wiedziałam, że jest także na prezentacji narzeczonego... Wy to potraficie łączyć, kurwy jedne...

192

Stara milczała. Potem wstała od stołu, strąciła Evę z powrotem na podłogę, kazała jej wpełznąć do salonu i położyć się na sofie. Może oglądać telewizję, podczas gdy „inni” posprzątają po posiłku.

Eva przeczołgała się do salonu, położyła się na sofie i zaczęła macać za pilotem, lecz skapitulowała; zawroty głowy stały się bardziej dotkliwe i już jej nie opuszczały, niezależnie od tego, czy się ruszała, czy nie. Pomyślała sobie o zapachu sera, ciężkim, żółtym zapachu, gdy padają na niego promienie słoneczne. Zupełnie jakby tuż przed jej nosem gniło truchło słońca, wychyliła się z sofy i zwymiotowała żółcią, potem zaczęła rzygać po całej podłodze. Po chwili pojawiła się stara z wiadrem i posprzątała po niej, dała jej tabletkę, którą Eva połknęła, i powiedziała, że może dostać tyle tabletek, ile tylko zechce. Zasnęła.

Następny dzień minął jak poprzedni, śniadanie ze starą, która tym razem zmusiła ją do jedzenia, trzymając za szczękę i karmiąc łyżkami pełnymi białej, pozbawionej smaku mazi, którą potem Eva i tak wyrzygała na sofę. Stara siedziała w kuchni i rozmawiała z kimś, kogo Eva nie widziała, potem zadziałała tabletką, którą dostała, i spała aż do zmierzchu. Ktoś przytrzymał ją od tyłu, nie stara, lecz jakiś facet

o włochatych ramionach — złapał za szczękę i wkładał jej w usta tę samą białą papkę, którą dostała rano.

193

Poprosiła go, żeby przestał, że zrobi to, co jej każą, że będzie grzeczna, lecz on zdał z niej szlafrok, zaniósł ją do sypialni, a ona ani razu nie zobaczyła jego twarzy. W sypialni świeciło jasne, niemiłe światło, jakby fluorescencyjne, uwypuklające kości: jej żebra wyglądały niczym zawalony grobowiec. Łóżko zniknęło. Rzucono ją na środek pomieszczenia, gdzie zamiast łóżka stała jakaś rzecz przypominająca siodło z wystającym bolcem, długim i rozszerzającym się ku dołowi. Leżała na podłodze obok siodła, ręce związane i wyciągnięte w górę przy pomocy liny zwisającej z sufitu; wszystko wirowało, łyżką włożono jej do ust więcej papki, a następnie posadzono ją na siodle, coś zimnego zatrzaśnięto na jej kostkach, żeby przytwierdzić stopy do podłogi, boliec wprowadzono do jej dróg rodnych, głęboko, aż poczuła ból; usiłowała zawołać kogoś na pomoc, boliec zaczął drgać, pęcznieć, poruszać się w przód i w tył i na boki jak macka wprowadzona do jej wnętrza i coś się rozerwało, drgania dotarły do jej układu kostnego i rozchodziły po całym organizmie, wyrzygała z siebie białą papkę, która spływała jej po brodzie, piersiach, łonie i w dół ud.

PIES LUKAS

Obudziła się, gdy ktoś nią potrząsnął. Powieki miała posklejane ropą lub spiochami, które wycierała, dopóki nie udało jej się otworzyć oczu. Stara stała nad nią, podając ciepły ręcznik i mówiąc, że czas iść do kuchni coś zjeść. Potem wyszła. Jej twarz lepiała się od zastygłej, przezroczystej wydzieliny. Blask bijący od okien raził ją w oczy, ale ciało miała zbyt słabe, by wstać. Dalej leżała na łóżku, dopóki stara znów do niej nie przyszła. — Dlaczego nie idziesz? — spytała. Miała nieudany makijaż na twarzy, fioletowy czy ciemnoczerwony, ubrana była w krótką, czerwoną sukienkę, czarne siatkowe rajstopy, futrzany kołnierz narzucony na ramiona. Przypominała lisa lub kota, Hógnego. — Wydaje mi się, że jestem chora — powiedziała Eva. Potrafiła już utrzymać równowagę. Zniknął sprzęt z jej uszu, ale była chora. — Nic ci nie jest — odparła stara. — Nic sobie nie wyobrażaj. Nocą leżała nieprzytomna i bardzo się spociła, a następnego dnia wciąż była bez sił, unieruchomiona w łóżku, i dużo spała.

— Wiem... — mamrotała Eva i ocknęła się z drzemki, kiedy stara weszła do niej i nagle pojawiła się

195

u wezglowia. — Jak... treser w zoo... gwiazda rocka... — Usiłowała dokładnie poukładać sobie, w jaki sposób stara jest związana z jej obecnością w tym wieżowcu, i dlaczego to robi. Lecz jej się nie udało. To co stara opowiedziała jej kiedyś o swojej „karierze kochanicy”, fruwało w jej głowie na kształt półwierkującego stada małych ptaszków, a obrazy i słowa wzajemnie sobie zawadzały. — Ty stara kurwo ... burdelmamo... — powiedziała i kiedy znów spojrzała ku wezglowiu, starej już nie było.

Trzeciego dnia poczuła się nieco lepiej. Stara przyniosła jej lunch, była cieplej usposobiona niż poprzednio i dała jej czasopismo, mówiąc, że może je sobie poczytać dla rozrywki, póki leży w łóżku. Czasopismo nosiło tytuł „Lornetka”. Na samej górze okładki widniały czarne kontury mężczyzny przekreślone znakiem X, a pod zdjęciem widniał napis Zniszczenie i Joseph Novak oraz informacja o tym, że wewnątrz numeru znajduje się kilka rozkładówek poświęconych Novakowi i jego islandzkiej wystawie; krytycy pisali recenzje jego dzieł, przetłumaczono artykuł Kundery o Novaku, krótki wywiad z Hannesem, dyrektorem muzeum i wypowiedzi islandzkich artystów na temat wpływu Novaka na islandzkie sztuki plastyczne. Oraz wielki wywiad z samym Novakiem. Zaczęła czytać: Z okazji przyjazdu niemieckiego artysty do Islandii i wystawy jego prac w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w połowie miesiąca „Lornetka” zleciła Brynjarowi V.

196

Lodmfjordowi, historykowi sztuki i tłumaczowi, dotarć do prawdy na temat opowieści krążących o artyście. Dlaczego tak niezdarnie prowadzi samochód? Co zrobił z psem Lukaszem i dlaczego jest tak przeciwny kobietom? Joseph Novak i Zniszczenie

Tym spośród czytelników, którzy jeszcze nie słyszeli o Josephie Novaku, należy się wyjaśnienie, że to nie artysta, lecz fenomen. W świecie sztuki od dawna pozostaje jednym z najbardziej znienawidzonych, a jednocześnie najbardziej podziwianym prekursorem Zniszczenia, luźnej grupy artystów z republik byłej Jugosławii.

Novak urodził się w roku 1980 w miasteczku Ipoh w albańskiej części Serbii. Podczas wojny w 1991 w wieku jedenastu lat stracił oboje rodziców i jeśli wierzyć jego

własnym opowieściom, chodził od wsi do wsi, usiłując różnymi sposobami zdobyć coś do jedzenia i dach nad głową. Po zakończeniu wojny młody Novak stracił umiejętność mówienia, jak mówi, w efekcie gwałtu, którego na nim dokonano, po czym następne trzy lata spędził w sierocińcu w Zagrzebiu i to tam, za sprawą jednego z pracowników, fotografa amatora, po raz pierwszy zetknął się ze sztuką. Przecierpiawszy w dzieciństwie okropności pierwszej wojny bałkańskiej, jako młodzieniec musiał przeżyć ataki oddziałów NATO podczas wojny Paktu ze Slobodanem Milosevicem i jego nacjonalistami i to właśnie w czasie tej wojny fotografie Novaka po raz pierwszy ukazały się w gazetach, pomimo

197

młodego wieku, między innymi w „Morgunbladid”. W następstwie przeprowadził się do Berlina, uzyskał niemieckie obywatelstwo i studiował psychologię i politologię, ciesząc się opinią wybitnie uzdolnionego studenta.

Lecz niełatwo zrezygnować ze sztuki i już wkrótce Novak poświęcił się wyłącznie jej. Poza fotografią, którą zdaje się traktował zawsze raczej jako źródło pozyskiwania przychodów, zaczął brać udział w happenin-gach, instalacjach wideo, a potem zaczął rzeźbić i jego drogi zeszyły się z innymi artystami, co zaowocowało powstaniem wyżej wzmiankowanej grupy Zniszczenie. Z początku grupa działała głównie na terenie Sarajewa i najważniejszych miast Półwyspu Bałkańskiego, w konsekwencji zaproszono ją na Biennale w Wenecji, gdzie została zauważona i w końcu wtargnęła na zachodnią scenę artystyczną w roku 2007 w galerii Tate w Londynie, co jeden z krytyków określił jako „piekło na ziemi”, oraz przed sądy brytyjskie z powodu procesu o uśmiercanie i znęcanie się nad zwierzętami, między innymi końmi.

Ideologia grupy od początku była kontrowersyjna, większość uważa ją za wroga ludziom, antyestetyczną i „niszczącą”, jak zresztą dawała do zrozumienia nazwa grupy. Sam Novak, jako najważniejszy rzecznik grupy, oznajmił, że Zniszczenie od początku było skierowane przeciwko Odrodzeniu, włoskiemu kierunkowi arty-

198

stycznemu i filozoficznemu, i jest w związku z tym antyhumanistyczne, mroczne i dąży do zniszczenia tego, co w sztuce ludzkie, zniszczenia tego, co czyste, przejrzyste i linearne, najpierw w dziedzinie „dzieła”,

a potem przechodząc do ataków terrorystycznych, zniszczenia „odbioru”: muzeów, galerii, bezcennych dzieł w rodzaju Kaplicy Sykstyńskiej — przy użyciu bomb. To właśnie te słowa wypowiedziane przez dwóch rzeczników grupy, wśród nich Novaka, w wywiadzie dla polskiej gazety „Merdeka!”, stały się przyczyną ich aresztowania w ojczyźnie, gdzie wytoczono im proces, w którym zastanawiano się, czy określać Zniszczenie jako grupę artystyczną czy terrorystyczną. Na początku ubiegłego roku skazano Novaka i jego towarzysza na karę grzywny i więzienia, którą już odbyli, za nawoływanie do terroryzmu, lecz grupę uwolniono od oskarżeń o dokonywanie aktów terroru. „Dla wymiaru sprawiedliwości zamiar to nie to samo co czyn”, powiedział jeden z sędziów. Na schodach prowadzących do gmachu sądu, po ogłoszeniu wyroku, Novak powtórzył swoje słowa i być może umocnił estetykę grupy następującym stwierdzeniem: „Czysta forma bomby, farma Zniszczenia”.

Od tego czasu przestało być głośno o grupie, ale sam Novak grzał się w światłach mediów za swoje słowa na temat Wyprawy Piekielnej, oświadczenie, że regularnie uprawia seks ze swoim bratem, za dokonanie samookaleczenia brzytwą w kawiarni Starbucks, za pojawienie

199

się jego zdjęcia przedstawiającego go w trakcie rzygania na okładce czasopisma, za stworzenie zagrożenia dla życia innych na skutek nieuważnego prowadzenia samochodu, za swój głód sławy i pieniędzy, powtarzające się fałszerstwa własnej biografii, a ostatnio kontrowersje wzbudziły jego wypowiedzi na temat wiary muzułmańskiej i kobiet.

Islandia i pies Lukas

Nie wiem, od czego zacząć. Umówiliśmy się z Novakiem w kawiarni w Eyrarbakki, gdzie przebywał przez ostatnie miesiące. Novak się spóźnia, mówiąc, że utknął z powodu pogody, bliżej tego nie wyjaśniając. Ma na sobie wiatrówkę marki 66° N i dzinsy, twarz wychudzona, wysmagana wiatrami i ogorzała i mogłaby równie dobrze należeć do człowieka sporo starszego. Oczy ma czujne, bacznie obserwujące wszystko wokół, niektórzy bez wątpienia nazwaliby ten wzrok rozbieganym, a nawet pijanym. Prosi, żebyśmy przesiedli się do innego stolika, na co się zgadzam. Przesiadamy się pod ścianę, zdejmuje z ramion nieduży plecak, w którym, jak powiada, nosi swój komputer, i siada zwrócony plecami do kąta. Zamawiamy piwo i zaczynam wypytywać go o Islandię. Podczas podróży

dookoła kraju, w kilka tygodni po jego przyjeździe, został aresztowany za jazdę po przeciwnym pasie szosy pod szczytem wzniesienia. Pytam go o to. Mówi, że popełnił błąd, bo był tak oczarowany widokami za oknem, że zapomniał patrzeć na szosę.

200

„W Islandii niczego nie ma — mówi i ożywia się. — Niczego poza wiatrem! I mrozem, i wodą, i wszelkimi możliwymi formami. Ale natury, owego tworzywa sił panujących, nigdzie nie ma! W każdym razie ja jej nie znalazłem. Może ty wiesz, gdzie ona jest?“. Zaprzeczam i pytam, czy może nie przyjechał tu po to, żeby uciec od prześladowania przez dziennikarzy na kontynencie. Przeprasza i wychodzi do toalety. Kiedy wraca, odnoszę wrażenie, że musiał zażyć dodatkową dawkę pewnego odurzającego specyfiku, którego rzekomo używa, choć sam cały czas zaprzecza, by ukrywać swoje uzależnienie od narkotyków.

Postanawiam zmienić temat. Po raz pierwszy Novak trafił na Islandię w roku 2004, zanim zyskał uznanie na kontynencie europejskim. Bawił tu całe lato, podróżując po bezdrożach górskiego interioru — być może poszukując jedynej islandzkiej natury, a Muzeum Sztuki w Akureyri kupiło od niego rzeźbę, która później stała się przedmiotem licznych, lecz bezowocnych dyskusji Islandczyków.

„Wiem, że nie pierwszy raz pada to pytanie, ale czy mógłbyś mi wytłumaczyć swoje dzieło Żywy i martwy pies?“.

„A co tu tłumaczyć!? — dziwi się i wybucha śmiechem, po czym zaciska szczęki. — Rzeźba przedstawia torbę sportową, figuratywną i wulgarną. W torbie znajduje

201

się pies, żywy lub martwy. Tego nie wiemy, dopóki nie zostanie otwarta. Swego czasu było to moje niedokończone podejście do fizyki, której bardzo długo nie rozumiałem, mechanika kwantowa, Bohr, Schrödinger, eksperyment z kotem! Z drugiej strony miałem także określone oczekiwania co do przyszłości rzeźbiarstwa, jak uczynić zeń coś więcej niż tylko sztukę ozdobną, fontannową czy kościelną i nawet jak połączyć je z happeningami i instalacjami wideo, gdyż w owym czasie zdawało mi się, że w tych dziedzinach doszedłem do kresu.

Moje zainteresowanie rzeźbą wynikało również z tego, że uważałem, iż może się stać «czystą» formą, czystą

w tym sensie, że materia jest obrobiona, sformatowana, lecz pozbawiona zawartości dodanej ręką artysty — tak naładowana brakiem jakiegokolwiek istoty lub w najgorszym przypadku pełna stereotypów, że wszelkie recenzowanie staje się niemożliwe. «Oto jest torba sportowa!» — może powiedzieć krytyk i zaimprovizować coś na temat tytułu czy raczej swojego wykształcenia jako historyka sztuki! Na tym polegał pomysł, dzieło jako próżnia — zapakowane i wręczone podczas wystawy albo do rąk nabywcy, ale dalekie jeszcze od ukończenia: właściwa treść przyjdzie dopiero później. To zresztą nieuniknione, ale zazwyczaj rzeczywista zapłata za dzieło leży w rękach krytyków lub konsumentów sztuki, a miałem ochotę nad tym trochę popracować, sprawić, by okres, który następuje «po» dziele, stał się również jego częścią, być może z pomocą happeningu lub instalacji wideo. I jeśli

202

nie przejąć władzę, jako twórca dzieła, to przynajmniej kontrolować jego znaczenie, tak długo, jak uznam to za stosowne. Wciąż pracuję nad tymi pomysłami".

Powiedziałem mu, że to brzmi świetnie. Zgadza się ze mną i dodaje, że sama realizacja była o wiele łatwiejsza od tłumaczenia, jeśli już do niego dochodzi.

„Ale nie odpowiedziałeś na to, co wszystkich interesuje! W każdym razie Islandczyków. Czy byłeś odpowiedzialny za zniknięcie psa Lukasa? Czy kiedykolwiek został zapakowany do torby sportowej?"

„Dlaczego nie spytasz policji islandzkiej? Dzieło, nad którym teraz pracuję, być może wytłumaczy to do pewnego stopnia. To się okaże. Jeśli oczywiście zostanie gdzieś zaprezentowane..."

— Strasznie tu śmierdzi szczynami — odezwał się ktoś w drzwiach.

Eva podniosła wzrok i zobaczyła Rannveig stojącą w wejściu. Stara pojawiła się za jej plecami.

— Oszczęła się? — spytała stara.

— Zsikała się w łóżko — odparła Rannveig.

Podniosły ją z posłania, choć wzbraniała się, nigdzie nie chcąc iść, zaciągnęły z sobą do klozetu, zdjęły piżamę i posadziły w plastikowej balii na podłodze, wypełnionej ciepłą wodą. Rannveig włożyła żółte gumowe rękawice, chwyciła mydło i szorowała ją tymi,

203

szorstkimi rękawicami między nogami i pod pachami, szepcząc jej jednocześnie do ucha, czy nie potrafi nawet kontrolować swojego pęcherza, czy nie wie, co się dzieje wokół niej i w jej własnym wnętrzu. Stara przyniosła

do łazienki zmięte prześcieradło i pokazała Rannveig żółte plamy, które uznały za mocz Evy. Ona nic nie powiedziała. Potem wytarły ją zasikany prześcieradłem i odprowadziły do łóżka, które zostało na nowo pościelone, pościel pachniała, przywodząc jej na myśl dzieciństwo.

Następnego dnia usiadła przy stole kuchennym i paliła. Stara i Rannveig zachowywały się tak, jakby jej nie zauważały, nie odpowiadały na jej pytania lub wyrażały się o niej poniżająco w trzeciej osobie, coś o szczochach czy nowej narzeczonej Hrafna — jak to coraz częściej się spotykają, ona coraz bardziej w nim zakochana, a on zdaje się pogodzony ze zniknięciem samolubnej, głupiej, zapijaczonej dziewczyny, z którą był wcześniej. Eva spytała, czy mówią o dziewczynie w masce, ale nie udzieliły jej odpowiedzi. W wewnętrznej kieszeni Rannveig widać było jakieś urządzenie, podobne do tych, których się używa do rażenia prądem osób, które należy szybko uspokoić.

Przejrzała ich zamiary — będą mówić, jakby jej tu nie było, jakby jej w ogóle nie było. Rannveig poszła do toalety, a Eva zapaliła sobie papierosa. Kiedy pochyliła się nad stołem, żeby strzepnąć popiół, chwyciła okrągłą popielniczkę z grubego szkła, ścisnęła mocno w dłoni, uniosła ją i zorientowała się, co robi, dopiero kiedy

204

zdziałała nią starą w czoło. Popiół i żar wirowały w powietrzu, a stara padła bezgłośnie na plecy na podłogę. Eva wstała od stołu. Wciąż jeszcze trzymając popielniczkę, uklękła na starą, która zbladła, oczy wywaliła do góry, a na jej czole widniał fioletowy półksiężyc od uderzenia. Eva stuknęła ją popielniczką w głowę, lekko, i ponownie w czoło, jakby chciała wycelować, a potem wstąpił w nią szal i waliła staruchę popielnicą w łeb raz po razie, z całej siły; krew ciurkała z twarzy, nosa i kącików ust i spod powiek, a potem Eva już nie trzymała popielniczki, lecz kawałki szkła, waliła i drapała i zrywała skórę z twarzy starej, dopóki nie zaczęła się ukazywać czaszka, śnieżnobiała, jakby uśmiechnięta. Za jej plecami bez wytchnienia dzwonił telefon, lecz ona tego nie słyszała, potem coś wylądowało na jej głowie i wszystko stało się czarne.

KOBIETY

Kara nie nadchodziła. Pewno pomysł był taki, by kazać jej czekać. Jej było wszystko jedno. Drzwi balkonowe znów były otwarte, więc postanowiła skwapliwie z tego skorzystać, ubrała się porząd-

nie, wystawiła krzesło na balkon i ulokowała się na nim z książką, paliła i popijała kawę na świeżym powietrzu, cieszyła się widokiem gór i zatoki, i półwyspu Snaefellsnes, i lodowca. Bywały momenty, że jej umysł całkowicie się otwierał i szybował gdzieś w powietrzu, w błękicie. Wtedy zapominała zupełnie o ścianach, ich niezrozumiałości i całej swojej nędzy.

Mimo że wiodła rozwiązłe życie artystycznej bohemy, zawsze nosiła w sobie ideę czystości przybliżającą ją do religijności, ascezy, ideę doskonałego, przezroczystego życia — o utartych, skromnych rytuałach, transparentnych myślach; pragnęła, by ta ogromna energia twórcza, która w niej tkwi, mogła zostać wykorzystana, musiała więc całkowicie się poświęcić, by skierować ją na dokładnie przewidziane tory, i w zasadzie stać się niewolnicą samej siebie. Pewno nigdy nie starczyło jej odwagi, by spojrzeć faktom w oczy — jako artystka nie reprezentowała nic specjalnego, może ciut lepsza niż przeciętna, czyli też żadna; była zbyt leniwa, zbyt pobłażliwa dla siebie. Sztuka, która

206

miała wyrwać ją z przeciętności, musi być w pewnym sensie nieosobista i okrutna, woła o niewolnictwo, wyrzeczenie się samej siebie, dyscyplinę.

Nie pamiętała już, ile czasu minęło, od kiedy usłyszała w telewizji ogłoszenie o swoim zaginięciu. Kilka tygodni, parę miesięcy? Już nie dostawała „Frettabladid”. Jej przyjaciółka z Nowego Jorku wiedziała o „islandzkim chłopaku z banku”, który załatwił jej mieszkanie w Reykjavíku, i najpewniej powiedziała o tym jej tacie; Hrafn też o tym wiedział i o tym, że mieszka przy Saebraut, na najwyższym piętrze jednego z punktowców — tak wiele ich znowu nie było, by policja nie mogła przejść się od mieszkania do mieszkania. Dlaczego nikt nie przychodził? Dlatego, że uznano to za samobójstwo. Bo w zdenerwowaniu nagrała na sekretarce Sigurliny komunikat i wysłała SMS-a do Hrafna, że przebywa przy Aegisida i ma zamiar ze sobą skończyć. Ale to nie ona wysłała tego SMS-a. Zrobił to ktoś z nich, mężczyzna w niebieskiej wiatrówce, wtedy gdy w nocy straciła przytomność; a potem wyłączył telefon. To wszystko był „zaprojektowany bieg wydarzeń”. Wszystko, żeby wpędzić ją w kłopoty. I to się udało. W kuchni zauważyła czasopismo, które przyniosła jej stara, gdy była chora. Leżało na środku stołu, otwarte na wywiadzie z Novakiem, spoczywało tam od samego rana. Dłużej już nie mogła udawać, że go nie widzi. Ciekawość wzięła górę. Przeleciała wzrokiem wywiad i zaczęła czytać w miejscu, w którym ostatnio

przerwała, na śródtytule „Kobiety”:

207

Kobiety

Novak dalej mówi o formie, lecz wraca do tematu owego ciekawego dzieła sztuki, którego jeszcze nikt nigdy nie widział. Pytam, jaki jest jego temat, ponieważ nigdy nie wiadomo, czym nas zaskoczy.

„Tytuł roboczy brzmi «Kobiety». I dzieło traktuje o kobietach, czego nietrudno się domyślić. Wciąż jeszcze nad nim pracuję, ale myślę, że mogę zapewnić, że nie będzie ani popularne, ani nie zostanie uznane za piękne. Natomiast będzie to triumf sztuki nad jej odbiorem, i życiem. Co się tyczy kobiet, drugiej połowy ludzkości, uważam, że sztuka bez udziału mężczyzn byłaby tylko rękodziełem. I trudno mi wyobrazić sobie oryginalną twórczość, formowanie, w jakiegokolwiek dziedzinie — bez mężczyzn. Być może to tylko mój ograniczony horyzont myślowy, osobiste skrzywienie. Ale historia wydaje się ze mną zgadzać”.

„Historia pisana przez mężczyzn”.

„A dlaczego nie przez kobiety? Bo to mężczyźni spisują! I mężczyźni odkrywają nowe dziedziny, zawłaszczają nowe formy myślenia i tworzenia, czy to w polityce, biznesie czy sztuce, a dopiero potem przychodzą kobiety. Nie mówię, że jest to oczywiste albo naturalne, albo że w ogóle ma cokolwiek wspólnego z normą, ale takie są fakty, niezależnie od przyczyn. Tak było zawsze i tak jest dziś. Rozejrzyj się wokół!”.

208

„Rozmawialiśmy o sztuce. Chcesz mówić o polityce?”.

„Oczywiście! Bo jeśli chodzi o kobiety, to nie ma tu żadnej różnicy. Sztuce, podobnie jak wszystkiemu innemu w życiu kobiety, nigdy się nie udało — lub do tego nie dopuszczono — wyrwać bez reszty spod wpływów codziennej praktyczności i polityki; sztuka kobiet zazwyczaj nie przekracza granicy twórczości domowej — cieszące oko ozdóbki do garnka, barwne wyszywanki czy sztuka pamiętnikarstwa, będąca wykładnią oddalenia kobiety od władzy, panujących form współczesności czy jej wypaczonego stosunku do siebie samej — zazwyczaj swojej cielesności. Sztuka kobiety to sztuka więźnia, który w dzień wytwarza tablice rejestracyjne albo szczotki do zmywania i nie sięga — co całkiem zrozumiałe — psychicznie poza mury”.

„A co z takimi kobietami, jak Jane Austen czy Doris

Lessing — niedawna literacka noblistka? Powiedziałabyś, że one też uprawiały sztukę domową?"

„Wyjątki się zdarzają. Ale nie czynimy z nich reguły! Wszystkie nasze wypowiedzi i całe nasze kształtowanie się poznania naginane jest do przeciętności. Ani jedna z naszych teorii na temat świata nie ma najmniejszego znaczenia poza wyraźnie określonym obszarem — ma znaczenie jako średnia: pod określonymi warunkami teoria prawidłowo przepowiada wydarzenia, stany, ruchy. Wyjątki ukazują natomiast, gdzie

209

kończy się reguła, jej ograniczenia, lecz nie podważają jej istoty odnośnie do przeciętności, gdzie reguła jest niemal nieomylna w danym czasie, w danych warunkach. I dlaczego mielibyśmy, gdy chodzi o płęć, uznać wyjątek za regułę? Wszystkie te — nieliczne zresztą, krótkotrwałe, wymarłe, a przy dokładniejszym przyjrzeniu się może i żadne — matriarchalne społeczności łowców i zbieraczy; te wszystkie silne, nieliczne kobiety! My nie jesteśmy łowcami ani zbieraczami. Nie budujemy wymarłego społeczeństwa. Dziś kobiety uczestniczą we wszystkich codziennych sytuacjach w uprzemysłowionych, bazujących na ego, demokratycznych i urynkowionych społeczeństwach; takie środowisko nie jest ani wymyślone, ani osadzone w przeszłości i w tych warunkach wydaje się jasne, że kobiety — czy to z przyczyn społecznych, czy genetycznych — rzadko wybijają się na wybitność w jakiegokolwiek dziedzinie, nie łamią, nie są wybitnymi pionierkami. Natomiast wiele z nich podąża śladem mężczyzn i czynią to dobrze — przyswajają sobie nowości i postęp, kiedy faceci kierują wzrok w zupełnie inną stronę, i może nawet dokleją kilka drobniejszych wynalazków do tych oryginalnych i ważnych; nadają się do dłubaniny, przydatne przy przetwarzaniu i zdobieniu, dobre w produkcji domowej, prowadzeniu kawiarnianych galerii. To oczywiście mogłoby się zmienić, ale jedynie pod warunkiem jakiegś fundamentalnej zmiany całej organizacji społecznej, do jakiej należymy".

210

„Rozmawiajmy o sztuce..."

„Tak, rozmawiajmy o sztuce! Filmy — ile znamy kobiet reżyserów? Albo jakie są najbardziej znane dzieła sztuki stworzone przez mężczyzn w XX wieku? Powiedzmy Fontanna Duchamps'a, Ulysses Joyce'a czy Krzyk Muncha.

Mamy jakiś kobiecy Krzyk - jaki jest najbardziej znany obraz namalowany przez kobietę w XX wieku? Nie ma nic, co by się choć zbliżyło do Krzyku. Autoportrety Friedy Kahlo? A co z Fontanną? Najgłośniejszy i pewno najbardziej znany wkład kobiety to Łóżko Tracy Emin; sztuka jako brud — kobieta odrzucająca porządek żyje w brudzie, biograficznie, politycznie. A żeński odpowiednik Ulyssesa? - Dziennik Anny Frank! Cóż by innego? — Najniższa forma życia kobiety zamkniętej, uwięzionej, podczas gdy za oknami przetacza się historia tworzona przez mężczyznę, wojna między odmiennymi formami myślenia, wojna o to, jak zdefiniować rzeczywistość, niezrozumiała dla kobiety".

„Stylista z Ciebie! A czy w tym nowym zadaniu chodzi wyłącznie o kobiety? Żeby poprawić ich sytuację? Czy faceci nie ponoszą jakiejś odpowiedzialności, być może moralnej, i nie powinni wziąć na siebie odpowiedzialności za to, co zrobili?”.

„Zrobili? Faceci zrobili wszystko, co można zrobić! Ale czy mają ponieść za to odpowiedzialność, jest pewno zbyt wielkim pytaniem, by na nie odpowiedzieć. Jednak za to, że są karbowymi kobiet, nie powinni ponosić

211

odpowiedzialności, chyba że w tym samym stopniu co kobiety, które są karbowymi dla siebie samych, jak już mówiłem. Ta kwestia nie jest natury moralnej, chyba że w jakimś idealistycznym, doskonałym świecie — który nie jest naszym, na wypadek gdybyś tego nie zauważył!”.

„Czyli że to nie jest wina mężczyzn?”.

„A jeżeli nie jest to niczyja wina? Ani kobiet, ani mężczyzn, albo powiedzmy, że to wina nas wszystkich. Co wtedy? Rozwiążemy tę sprawę wspólnie, zgodnie z możliwościami i zdolnościami każdego z nas. Od prawa do lewa! Jest też inne pytanie, pewno o wiele przydatniejsze: czy mężczyźni są en masse zdolni uznać, że kobiety powinny osiągnąć «równouprawnienie», albo jeśli pytanie może być świadome i mądre — czy wystarczy przetasować swoje mocno skamieniałe organizacje równouprawnieniowe? Ugruntowane na płci, po pierwsze, ale i na narodowości i rasie. Zazwyczaj mówi się o «wyzwoleniu kobiety» jako niemal nieziemskiej idei, jakby jej prawo do wolności samo z siebie było dane i wszyscy to rozumieli. A co, jeśli tak nie jest? Co, jeśli «kobieta» stapałaby po ziemi, podnosiła wzrok znad swojej pełnej dobrych intencji moralnej walki i pytała o bardziej pierwotne i zgoła niemoralne siły związane z żądzą rządu — radość z czystego, niepotrzebnego nadużywania władzy, torturowania małych albo fizycznie słabszych: kobiet. I o szczęście, o wolność, jaka staje się udziałem poddanej, pozwalając

się ograniczać? Lub strach i nienawiść do wszystkiego,

212

co jest różne — czy to w obrębie rasy, narodu czy płci? Prawa kobiet! Jak prosto to brzmi! Za każdą kobietę, która zasiada w parlamencie, na stanowisku kierowniczym lub «poniżej» mężczyzn w inny sposób mocą swojej władzy, produkuje się tysiące filmów pornograficznych, w których kobietom przywraca się ich «właściwe miejsce», pozbawiając je władzy, czyniąc uległymi i zazwyczaj poniżając. Dlaczego pornografia dla mężczyzn stała się tak ostra? Czyżby w ciągu ostatnich stu lat zmienił się ich popęd seksualny? A może tylko jego kontekst — z powodu kolejnych zwycięstw kobiet w walce o równouprawnienie? Może to wszystko jest proste i sprowadza się do tego, że mężczyźni nienawidzą i zawsze będą nienawidzić kobiet za to, że są od nich uzależnieni w kwestii zaspokajania swojego najistotniejszego popędu, popędu płciowego — wszyscy mężczyźni. I wtedy, zsumowawszy to, pozostaje pytanie: dlaczego my mężczyźni mielibyśmy «go tits up» - jak to mówią w Wielkiej Brytanii — i torować drogę prawom kobiet i dążeniu do uzyskania przywilejów i władzy przez niektóre z nich, albo raczej: czy stać nas na to? W istocie uważam, że na te pytania już dawno padła odpowiedź — rozejrzyj się wokół! Nie, nie jesteśmy w stanie zmienić naszego stosunku do kobiet, i nie, nie pomożemy im — nie z własnej inicjatywy, chyba że do pewnej granicy: niewolnicy, którzy trzymają z panami, pewnego dnia dostąpią ulgi, ci są spokojni, nie strajkują, lepiej wykonują swoje zadania, a marzenia same w sobie nie są niczym złym. Lecz gdy poczujemy, że rzeczywiście zostały zagrożone nasze prerogatywy,

213

i kiedy zwiększony zakres władzy zaczyna ograniczać seksapil kobiety — jej pasywną przymilność, wówczas zaczynamy się bronić, świadomie lub nieświadomie. Tak wygląda, pominawszy wszelką hipokryzję, gra pozorów o równe prawa, to jest ten «szklany dach», o którym mówią kobiety, ta trzecia część, którą otrzymują mocą męskiej władzy i która nigdy nie będzie większa niż trzecia część, chyba że jako wyjątek, czasowy i miejscowy. I jeśli jeszcze ktoś pozwala sobie snuć sny na temat wolnych, lecz pewnych postępów, niechaj spojrzy na wschód, w przyszłość. Jak wygląda pozycja feminizmu w Chinach? Albo w Indiach? — Tak jak w roku 1850, kiedy zaczynała się walka. Kobiety siedzą w domach, są gospodyniami lub w miarę potrzeb pra-

cują na polach, w fabrykach lub usługach. Nad niczym nie mają władzy, ani nad ludźmi, ani nad pieniędzmi. Albo słuszniej byłoby powiedzieć: nie mają żadnej władzy, poza tą, której im użyczono. A w języku sztuki, że wróćę na własne podwórko, nazwać je należy tematem, materią do formowania, a nie formującymi. Nie żeby ktokolwiek poważnie do tego podchodził, najwyżej jak do polityki czy historiografii, życia przed sztuką".

„A nie sztuki przed życiem, jak ty?”.

„Jak wszyscy mężczyźni, czy są tego świadomi, czy nie”. Na koniec pytam Novaka o jego wystawę w Muzeum Sztuki Współczesnej i czy Islandczykom dane będzie

214

zobaczyć jego Kobiety, lecz twierdzi, że jeszcze nie wie. „Może. Kto wie! Sam jeszcze nie podjąłem decyzji. Ale może nikt się z nim nie zapozna, chyba że ze słyszenia — z jakiegoś sądu, który je wystawi!”.

Już chcę go pożegnać, ale kiedy wstaję, Novak wyciąga z plecaka komputer i otwiera go. Powtarza, że dzieło znajduje się na etapie „powstawania”, ale że mogę napisać na jego temat w gazecie. Na ekranie pojawia się zdjęcie trzech rzeźb wokół stołu, a na mniejszych okienkach ekranu widzę kobiety, które napychają się tabletkami, poza jedną, która chodzi i pali.

Przeszywa mnie dreszcz. Kiedy wychodzę na mróz na brzegu morza w Eyrarbakki, myślę o tym, czym zadziwia Joseph Novak, jak szybko i dużo mówi i jak jego myślenie jest w istocie pełne wysiłku. Kieruję wzrok w rozgwieżdżone, nocne niebo i patrzę na migoczące gwiazdy, wieczne i milczące. One przynajmniej nie mają płci, myślę sobie, znikając w nocy.

Spojrzała na zdjęcie umieszczone obok wywiadu — przedstawiające Novaka gdzieś na górskich bezdrożach islandzkiego interioru; twarz wysmagana wiatrem, pomarszczona zdaje się należeć do człowieka starego, lecz oczy są błyszczące i młode. Ma na sobie niebieską wiatrówkę, jak ten facet przy stawie. Ile jest niebieskich wiatrówek na świecie?

W ŚCIANIE

Gdy tylko przyłożyła twarz do ściany, zdało jej się, że dostała kopniaka w głowę, cichy szum, a potem cisza i pieczenie oczu, które niemal natychmiast zniknęły. Głowa została wyciągnięta ze ściany, lecz nie jej własna — głowa dziewczyny.

Znowu znalazła się w toalecie, tym razem naga, stała przed lustrem i podnosiła niewielkie piersi, ścierała szminkę z kącików ust. Pozbawiona makijażu, twarz

biała i płaska, po chwili skinęła głową, uśmiechnęła się bezbarwnie do lustra, jakby chciała powiedzieć, że wie, iż ona się tam znajduje, za jej oczami.

Potem przez drzwi, krótkim korytarzem do sypialni, gdzie ktoś leżał pod kołdrą, na poduszce widać było ciemną potylicę. Dziewczyna położyła się do łóżka i przylgnęła ciasno do ciemnej potylicy, przysunęła twarz i złożyła pocałunek na karku. Czuła niemal jego zapach, jakby wanilii i słodko-kwaśny zapach snu — może imbiru, i wiedziała, że to jest on, Hrafn.

Obrócił się, oczy miał nadal zamknięte, coś wymamrotał i przysunął twarz do niej, potem otworzył oczy i widziała w nich odbicie dziewczyny. Usiłowała się wyrwać, lecz znów czuła to paraliżujące uczucie ciasnoty w całym ciele, jakby była spętana, i miała

216

wrażenie, że świat wokół niej gęstnieje i zastyga, a ona zapadała się głębiej, dopóki nie zniknęły jej myśli, potem wola, dopóki nie zostało z niej tylko oko, nieruchome gapiące się oko, którego nie mogła zamknąć i przez które wsączał się świat. Przytuliła się do Hrafna i zaczęli się całować, Hrafn i ona.

Potem leżała na boku, patrząc nieruchomo na niezakwitnięte kwiaty w wazonie na nocnym stoliku.

Tulipany. Czerwone pięści zaciśnięte przeciwko wacianej, milczącej jasności panującej w pokoju, tnącej po oczach. Wypelzła z łóżka, włożyła szlafrok i poszła do kuchni, gdzie Hrafn nalewał kawę do filiżanek.

Odwrócił się do niej uśmiechnięty i roześmiał się, usta rozciągnęły się na boki, oczy przymrużyły, pewno z powodu czegoś, co powiedziała. Pocałowała go, podeszła do okna i wszystko stało się płonąco białe, pozbawione formy, lecz niemal natychmiast przystosowało się niczym automatyczny światłomierz w aparacie fotograficznym, i patrzyła na ogród na tyłach domu, płot, grill gazowy, dwoje dzieci na huśtawkach, bezlistne drzewo obok okna na pierwszym czy drugim piętrze, gdzieś w Dzielnicy Zachodniej.

Pili kawę. Na ścianie w salonie wisiało obramowane zdjęcie przedstawiające instalację Man Raya zatytułowaną Piąta Aleja, którą kupiła za uzbierane pieniądze z kieszonkowego, kiedy jako nastolatka po raz pierwszy zainteresowała się sztukami plastycznymi. Nie pamiętała już, gdzie kartony były przechowywane, pewno w domu mamy Hrafna.

217

Potem wyszła z domu, przyglądała się morzu i białogrzywym falom, czuła niemal, że będzie jej zimno, ale okazało się, że nie jest. Spojrzała na tablicę z napisem Sólaskjól, a potem podjechała do niej taksówka, wsiadła do auta i pojechali w kierunku centrum, mijając staw Tjórnin, do Thingholt, przez ulicę Skólavórdustigur i zaraz potem taksówka się zatrzymała. Dziewczyna zapłaciła i wysiadła, przeszła przez parking i weszła do wielkiej, białej sali.

W sali znajdowało się kilka osób popijających kawę i palących papierosy. W kącie siedział mężczyzna w kombinezonie roboczym i zdierał parkiet, a drugi wbijał gwoździe w ścianę. Podeszła do wbijającego gwoździe i przez chwilę rozmawiali ze sobą, śmiali się, potem wyszła za nim do innej sali, ciemniejszej i nie tak dużej. Na ścianie wisiał wielki ekran, jak w kinie. Mężczyzna trzymał pilota, którym wymierzył w projektor zwisający z sufitu. I nagle wszystko stało się śnieżnobiałe, ekran na ścianie rozblysnął i kiedy jasność przestała oślepić jej oczy, rozróżniła trzy kobiety, czy raczej trzy rzeźby przedstawiające kobiety. Siedziały wokół stołu w mieszkaniu, które poza tym sprawiało wrażenie pustego. W dwóch rogach ekranu znajdowały się mniejsze ramki przedstawiające dwie z kobiet, Marie i Grace, zasiadające, jak to niegdyś miały w zwyczaju, przy stole w salonie, wkładające do ust tabletki, a w ramce w trzecim rogu widać było kobietę, która już nie chodzi i nie pali, lecz przedstawiona od tyłu znajduje się w ścianie — powoli przez nią przenika.

POTAJEMNA NOCNA PODRÓŻ

Mieszkanie zaczęło się zmieniać. W salonie pod ścianą w jednym kącie budowano coś w rodzaju estrady — półokrąg liczący kilka metrów kwadratowych wokół stalowego drążka. Prace nad sceną były zaawansowane, ale jej zdaniem należało jeszcze lepiej ją wykończyć, poza tym rozbierano ładę barową i wynoszono ze wszystkim — co z pewnością miało zająć jeszcze kilka godzin. Usunięto też z salonu większość mebli, jakby potrzebowano więcej przestrzeni. Przyjęcie — przyszło jej na myśl. Przygotowują przyjęcie. To dobrze. Każda zmiana niosła dla niej okazję.

Była niemal pewna, że została wyprowadzona z mieszkania podczas snu. Jednej nocy zdało jej się, że się ocknęła i poznała mężczyznę, który się nią zajmował. W pokoju znajdującym się gdzie indziej, czuła to po zapachu, słyszała, zauważyła po świetle.

Mieszkanie się zmieniało, i o ile się nie myliła, zostanie na ten czas stąd przeniesiona. To zdawało się

możliwe — konieczne z estetycznego punktu widzenia. Czy jakoś tak. Nie miała jednak pojęcia, do jakiego stopnia to sobie wyobraża.

219

Wieczorem, stanąwszy na łóżku, wzięła głęboki oddech i wstrzymała go, przywierając do ściany. Słyszała szum sączącego się z niej roztworu.

Nie miała pojęcia, ile czasu zazwyczaj tak stoi, zanim padnie na plecy, ale pewnie raczej krótko. Stała teraz z twarzą w ścianie, wstrzymując oddech przez niecałe pół minuty, potem padła do tyłu na łóżko.

Leżała bez ruchu i czekała, serce łomotało jej w piersiach, ale powoli się uspokoiło. Nie wiedziała, ile czasu musi czekać, ani na co. Usłyszała cichy trzask, jakby ktoś otworzył drzwi gdzieś w mieszkaniu; potem ciche skrzypnięcia, jakby ktoś stąpał po parkiecie, usłyszała pisk, jakby pchano w kierunku łóżka coś na kółkach.

Wyobrażała sobie, że świadomość unosi się w powietrzu w pokoju, ponad nią, i patrzy w dół, obserwuje męczyzną pochyloną nad łóżkiem, luzującego prześcieradło, zawijającego ją w nie i przenoszącego ją na coś twardego, co musiało być noszami na kółkach. Zaczęła się jazda przez sypialnię, nie otwierała oczu, nawet wtedy, kiedy opuścili pokój, jechali przez salon i do pralni. Czują zapach proszku do prania, słyszała, jak męczyzna cichutko szepce coś do kogoś, kto najwyraźniej zjawiał się w mieszkaniu, zniesiono ją ze schodów na dziesiąte piętro — a nie do drugiego mieszkania na piętrze, czego się spodziewała.

Słyszała cichy pisk, kiedy szybko przetaczano ją przez korytarz na dziesiątym piętrze, a potem skręcili

220

niemal natychmiast tam, gdzie najpewniej znajdowało się mieszkanie starej.

Potem nastąpiła cisza.

Nasłuchiwała ruchów, oddechu czy czegokolwiek, lecz nic nie słyszała; postanowiła więc uchylić oczy, najpierw lewe, potem prawe. Zobaczyła biały sufit, białe ściany, brązowy parkiet na podłodze. Znajdowała się w mieszkaniu starej, lecz zostało ono opróżnione. Opodał noszy, na których leżała, po lewej ręce, stało czarne urządzenie z wieloma ekranikami i mrugającymi, czerwonymi i zielonymi punkcikami. Największy spośród ekraników, umieszczony nieco wyżej niż inne, pośrodku urządzenia, wyświetlał poziomą, zieloną linię. Od urządzenia ciągnął się kabel czy wąż kończący

się na statywie przy nogach Evy — niknął w czymś, co przypominało maskę, przezroczystą, z tasiemkami do zakładania na potylicę.

Nieco dalej, bliżej ściany, ktoś siedział bez ruchu za biurkiem zastawionym kolejnymi urządzeniami, komputerem, jak jej się zdawało i czymś jeszcze. Zauważyła stopy pod biurkiem i przestraszyła się, że się zdemaskuje, więc zamknęła lewe oko i uchyliła prawe, i zobaczyła drzwi prowadzące na korytarz na dziesiątym piętrze. Kilka metrów od niej. Stamtąd dostanie się do windy albo schodów przeciwpożarowych. Podczas gdy obserwowała drzwi, klamka nagle się poruszyła, drzwi się otworzyły, więc szybko zamknęła oko. Ktoś wszedł do mieszkania, słyszała wściekły głos. Potem ktoś chwycił ją za rękę, zacisnął coś na

221

palcu serdecznym, podłożył coś pod głowę, a nos i usta zakrył zimnym plastikiem. Wdychała suchy, żelazisty gaz, a zasypiając, słyszała ciche, miarowe piszczenie jakby swojego tętna — podejrzenie szybkie, pomyślała sobie, lecz szybko się uspokajające.

OTWARCIE

Następnego dnia obudziła się w swoim łóżku. Barek zniknął z salonu bez śladu, podobnie jak telewizor. Małą estradkę w kącie pomalowano na czarno; rura pośrodku nie była już samotna, lecz było ich piętnaście, a może dwadzieścia, rozstawionych w półkołu przed ścianą. W ścianie na scenie, na wysokości jej pępka, wyżłobiono nieduże wgłębienie przypominające maskę w sypialni, lecz mniejsze i niepodobne do twarzy, w każdym razie jeszcze nie.

Reszta dnia upłynęła na zbijaniu bąków i słuchaniu radia z wielgachnego boomboksa pokrytego plamami farby, włączonego i zapomnianego, a może nie. Może miała go znaleźć. W radiomagnetofonie znajdowała się kasetka z napisem Transilvanian Hunger, z heavy lub death metalem, ciągły szybki łomot przestrojonych gitar i głos wokalisty wyjącego coś, czego nie rozumiała, jakby był uwięziony za stalowymi kratami wzniesionymi wokół niego przez gitary. Puściła kasetę na pełen regulator, słuchała i piła, dopóki nie odniosła wrażenia, że chłód muzyki zniszczył resztki jej życia uczuciowego. Czekwała na to, co się stanie, chłodna w środku, lecz tak było dobrze.

A potem jakby się obudziła. Serce waliło ciężko i szybko, zaschło jej w ustach, choć czuła się zdumiewająco dobrze, ciemność szumiąca białymi punktami. Kiedy uniosła rękę do oczu, przezroczyste fale rozeszły się w powietrzu.

Była noc. Z salonu dobiegało dudnienie basu i rytm. Usiadła na łóżku, ułożyła poduszkę za plecami i powoli z obu stron osłoniła rękoma oczy, czując się jakby zatopiona w błękitnej, przezroczystej wodzie, w jeziorze Thingvallavatn, białe promienie słoneczne padały na wodę, a ona kształtowała je dłońmi, głęboko wdychając ich woń. Była rozpalona, jej skóra tak wrażliwa, a dźwięki z salonu niczym z wnętrza jaskini, miękkie i falujące, jej serce głęboko i wolno waliło, wargi miała nabrzmiące i gorące. Przeczłogała się na krawędź łóżka i usiadła, raz za razem przetykała ślinę, usiłowała dotykać językiem podniebienia, by je zwilżyć, lecz bezskutecznie. Jej biały obrys w ścianie błyszczał niczym księżyc we mgle. Była pod wpływem narkotyków, ktoś jej podał narkotyki w ścianie, czuła się źle i dobrze.

Uniosła rękę i spojrzała na żyły; niewielkie i delikatne. Po przedramieniu rozmasowała falę odrętwienia rozchodzącą się ku ramionom, na kark, w dół pleców i między nogi.

W mroku narożnika poruszył się cień, wstał i zbliżył się do niej. Mężczyzna o białej twarzy w garniturze. Kazał jej wstać i opuścili sypialnię w rosnący gwar,

potem prosto w ciszę łazienki, gdzie silne ręce uchwyciły ją za szyję i wepchnęły głowę do muszli. Jej włosy i czoło zanurzone w wodzie toaletowej i wszystko pieniście białe, polala się na nią woda. Mężczyzna przemysł jej twarz wodą, wyciągnął z muszli, mocno uderzył w potylicę, tak że aż w uszach jej zawyło i usłyszała szum. Następnie zdarł z niej koszulę nocną i ubrał ją w wydekoltowaną, srebrną suknię, przy pomocy spinek ułożył jej włosy i umalował powieki, policzki i wargi, zbyt ostro, tak że nie poznała się w lustrze.

Potem wyszli z łazienki na korytarz, gdzie mężczyzna zniknął. Sama weszła na przyjęcie w muzykę do salonu. Pełno tu było ludzi siedzących lub stojących, rozmawiających wśród gwaru, który niekiedy zlewał się z muzyką, popijających z kieliszków i palących, salon tonął w dymie, a ją przepełniało pragnienie zapalenia papierosa, lecz nie miała pojęcia, gdzie może je znaleźć. Pod jedną ze ścian, gdzie wcześniej znajdował się

barek, za konsolą tkwił didżej. Prosty jak tyka, odziany we wzorzystą koszulę i kapelusz, a rozlegał się jazz — to słowo do niej przyszło. — I że salon jest „nawalony ludźmi”. Większość z nich w garniturach. Podeszła do najbliższego człowieka, złapała go za rękę czy uwiesiła się na nim i powiedziała, że trzymają ją w tym mieszkaniu wbrew jej woli, że jest więziona, słyszała, jak słowa płaczą się niezrozumiale wokół jej ust, język zbyt spuchnięty i suchy, jakby słowa uwięzły w jakimś małym pokoiku z włochatym, postawnym koniem, który zastępuje im drogę, gdy chcą się wydostać.

225

Mężczyzna roześmiał się i powiedział coś do swego towarzysza po angielsku, a ona podchodziła do kolejnych i zauważyła, że wielu tu obcokrajowców w czarnych garniturach, w okularach w grubych oprawkach lub żadnych, kojarzyła jednego z nich z przyjęcia w Nowym Jorku — jakby z poprzedniego życia — słynnego faceta z Londynu, Hansa Obsta lub Obiego, jak go jej kiedyś przedstawił przyjaciel Hrafna, rozglądała się za kimś, kto mógłby znać Hrafna, ale trudno się było skupić, miała wrażenie, że pławi się w ciepłym basenie, a woda sięga jej do oczu. Światło, które wdarło się do jej głowy od tyłu, pochodziło z kamery na ramieniu jakiegoś faceta. Chodził za nią od pewnego czasu, nie miała pojęcia, jak długo, może cały czas. Ukryła pierś głębiej pod suknią, poczuła ciepło od światła i usunęła się z jego zasięgu i spod dziwnych spojrzeń ludzkich. Przy drzwiach prowadzących na balkon stał ubrany na czarno mężczyzna pozbawiony wyrazu twarzy, z jakimś urządzeniem w uchu, i patrzył wprost przed siebie jak ochroniarz. Na balkonie znajdowało się trzech chłopaków, młodszych od pozostałych gości, pili piwo, zaglądali do mieszkania, szeptali coś między sobą i wybuchali śmiechem.

Już miała zamiar wyjść na balkon, gdy wyrósł przed nią siwowłosy mężczyzna, którego nie знаła, przedstawił jej się albo coś powiedział — że cieszy się, iż ma okazję ją spotkać, widział ją w galerii.

— Jestem unieruchomiona — powiedziała, choć nadal miała kłopoty z wydobywaniem z siebie słów.

226

Mężczyzna zaprowadził Evę do sofy i posadził obok faceta w czarnym garniturze. Ten ujął ją za rękę. Mężczyzna z lśniąco czarnymi włosami i maleńkimi czarnymi oczkami. Ktoś podał jej szklanekę wody.

Czarny mężczyzna nachylił się do niej i spytał, co się stało z jej włosami.

— Dopadła cię ulewa? Twoja mała prywatna ulewa?

— bełkotał pijany. — A może stałaś na głowie i płakałaś?

— ...Już nie płaczę — odparła Eva.

Rozbrzmiewał spokojny jazz. Nie potrafiła przestać gładzić się po przedramieniu, w górę i w dół i kołysać głową, a pod powiekami wszystko było białe i szumiące, jak sen perły w muszli: słońce migoczące nad powierzchnią wysoko w górze, białe grzywy wzdłuż brzegu, w przód i w tył... potem zmieniła się muzyka, dźwięki uciekały od siebie, a potem znów układały się w szereg i stawały bardzo wyraźne, rozbrzmiewając jednocześnie echem niczym w jaskini.

Otworzyła oczy. Przyjęcie. Wszyscy tu są, wszyscy ci ludzie razem z nią w klatce; coś trzeba zrobić, komuś powiedzieć, i stała się ociążała w środku i ciemna, miała na sobie suknię do kostek, śniła, to były znaki, znaki graniczne.

— Chcę stąd odejść — powiedziała i podniosła się.

— Nie chcę tu być...

Kobieta stojąca obok niej w czarnych butach, dwóch czarnych kulach z dziurami z wierzchu, o śnieżno-białych oczach patrzyła na nią, była tak dobra, że na pewno pomoże, na pewno coś zrobi. Podszedł do niej

227

chłopak z muzyki, poruszając się dokładnie do taktu, tak duży, a ona bała się go i jego nieskoordynowanych ruchów, pijanych i chamskich.

— I co my tu mamy! — zawołał, gwizdnął, a jego słowa brzmiały wyraźne i ostro niczym łańcuchy zwi-sające mu z głowy. W ręku trzymał piwo.

Sięgnęła po jego piwo i piła, i nie mogła przestać, była spragniona, skończyła piwo. Poprosiła go o pomoc.

— ...więcej nie — odparł chłopak i wybuchnął rytmicznym, powolnym śmiechem, a ona spojrzała na swoją suknię. Głowa obracała się wkoło.

— Nie mogę... — powiedziała. — Nie ma mnie tutaj, ja tu nie mieszkam...

— ...może ciebie później — wykrzyczał chłopak do jej ucha, które wypełniło się piskiem i zauważyła, jak on się uśmiecha, a potem zniknął za facetem z tacą, kelnerem z tacą pełną drinków.

— Nie — wyrwało się Evie, lecz słowo po drodze zwolniło i zmieniło się w kroplę spływającą po drucie, która w końcu się rozrywa, odurzenie wciąż się wzma-gało, usiłowała je powstrzymać, znikało, a wszystko trwało tak długo...

— Niektórzy cię znają, wiedzą, kim jesteś! — powiedział czarny mężczyzna, który znowu znalazł się przy niej lub był cały czas, a muzyka stała się głośniejsza, otworzył usta i zamknął i patrzył jej w twarz okrągłymi oczami, przypominającymi dziury.

— Dlaczego tu jesteś!? — spytała, lecz nikt nie usłyszał. Popchnęła go i spytała, czy to może otwarcie

228

Novaka, otwarcie, dlatego są w mieszkaniu. Jednym z mężczyzn przy niej był facet ze spotkania w banku Kaupthing, ten który był z „E-mailem”. Śmiał się i zmienił w szczękę, jedną wielką kłapiącą szczękę. Spytała go, ilu ich tu jest, czy wszyscy ludzie wiedzą, lecz czarny mężczyzna potrząsnął głową.

Ktoś chwycił ją za ramiona, napierając z całej siły, tak że upuściła kieliszek albo zniknął, a potem znalazła się w chłodzie na balkonie. Już nie padało. Po raz pierwszy. Gwiazdy w ciemnościach. Trzej chłopcy patrzyli na nią. Jeden miał piękne, błyszczące oczy, odbijające jedną z gwiazd. Rozumiała, jak on się czuje. W środku było tak gorąco. Kamera wciąż za nią chodziła. Koło chłopaka znajdowała się duża grupa ludzi stojących w półkolu wokół jednego z mężczyzn mówiącego po angielsku, dużo po angielsku, a ci z półkola regularnie wybuchali śmiechem. Zbliżyła się i zauważyła, że to Joseph Novak. Otoczony przez wielbicieli. Przejrzeli listę gości. — Tego nie mogli. Mogli wszystko, co im się podoba. Miała ochotę rzucić się na niego i wtopić w jego objęcia. Nie ruszyła się nawet. Zauważył ją, patrzył na nią ponad głowami otaczających go ludzi, wiele kobiet go otaczało. Patrzył na nią z uśmiechem, podniósł rękę i pokazał w jej kierunku, a otaczający go ludzie zwrócili się w jej stronę i zaczęli klaskać. Niektórzy robili miny i śmiali się. Nikt z nich nie wiedział, że ona tu mieszka, byli pijani.

Novak wystąpił naprzód i podszedł do niej, a wtedy światło kamery skierowało się wprost na nią, stał obok

229

niej, jedną rękę położywszy na jej ramieniu, a ona zapatrzona w podłogę słuchała, jak mówi po angielsku z silnym akcentem. Mówił na temat sztuki. Rozdziawiła usta, a potem nagle zachichotała. Wiedziała, jak wygląda: jak każda inna zapijaczona, odurzona, wymazana sosem kurwa, głupia kurwa, ale nie mogła się z tego wyrwać, nie mogła się zmienić.

— ...przybiera postać, którą wymuszają na niej męż-

czyżni. Kobięę jako temat odrzucenia przez mężczyzn, ucieleśnienie wszystkiego, czym nie są mężczyźni. To jest klasyka, znana. Natomiast to, co ja chciałem zrobić, miało być projektem dzieła — otwartego dzieła — które pokazałoby ten proces i udział samych kobiet we własnym zatraceniu.

Wokół nich zaczęły strzelać migawki aparatów fotograficznych, robiono im wspólne zdjęcia, a ktoś w grupie zapytał o coś i wtedy odkryła, że znajdują się na konferencji prasowej, przed nimi stoją dziennikarze. Pomyślała o swoim poniżeniu poprzez to, że w ten sposób jest „pokazywana”, pomyślała o „czynniku poniżenia”.

— A co gdyby wypowiedziały posłuszeństwo i z uporem przy tym trwały? Czy ucisk by zelżał? Czy wówczas kraty zostałyby zauważone, a potem przekroczone?

Tego nie wiem. Czy kobiety w ogóle potrafią przekraczać? A może po prostu są skazane na to, co ziemskie, życie — żyć wewnątrz ram i zajmować się tym, co praktyczne? Czy one kiedykolwiek naprawdę... — Patrzyła w podłogę. Powiedział coś na temat jej włosów i wtedy rozległ się śmiech.

230

Podniosła ręce, zamknęła oczy i usiłowała złapać go za szyję, by go powstrzymać, lecz wówczas śmiech się wzmógł, myśleli, że ona chce go pocałować, że jest wynajęta przez niego, by szlajać się po chacie, jak kurwa, jak cipa i pizda. Pozwoliła komuś wprowadzić się z powrotem do salonu.

— Jakie kobiety? — Eva odwróciła się w drzwiach, przypomniała sobie, co mówił na temat kobiet w tamtym wywiadzie, jakby były śmieciami. A prowadził ją grubawy recepcjonista, już nie w mundurze.

— Teraz znowu pójdziesz spać — powiedział i roześmiał się, wprowadził ją do sypialni i zamknął za nimi drzwi. Usiadł na łóżku, uderzył otwartą dłonią w pościel obok siebie, każąc jej usiąść. Spytał, dlaczego jest tak niegrzeczna wobec gości, gości, których człowiek zaprasza do siebie, powinno się traktować przyzwoicie. Ona odparła na to, że nikogo nie zapraszała, wszyscy po prostu pojawili się w salonie.

— Pojawili? — zdziwił się ochroniarz. — A kto ich wpuścił?

— Ja nie — odparła Eva.

— Oj, mała Eva, która nigdy niczemu nie jest winna. Mała biedna Eva.

— Nie mów tak... — powiedziała, kładąc się na plecach na łóżku.

— Ale ty z nimi przyszłaś. Widziałem was, wszyst-

kich bardzo zadowolonych. Przeszliście przez hol i do windy. Byłaś jak mężczyzna z bajki, który dmuchał we flet, pamiętasz, ten, co szedł przez wieś,

231

grając melodię i wywabiając w ten sposób wszystkie szczury ze wsi.

— Kłamiesz... — powiedziała. — To były dzieci? To znaczy... czy to nie były dzieci?

— Ja tylko żartuję. Szczury... Za dużo jest szczurów. Evo, czy ty masz szczura między nogami? Małego, zarosniętego szczura? — Wyciągnął ręce, pomiętolił jej piersi: ramiona wyprostowane, przypominające dwa kije z chwytakami na końcach, takie jakimi śmieciarze zbierają z ulic odpadki. — Ja lubię się bawić twoim szczurem. — Śmieciarz obmacał jej brzuch i zszedł między nogi. Palce miał suche, lecz twarde, a szczur usiłował uciec, lecz został zagoniony do kąta. Otworzyła oczy, gdy wepchnął jej coś do ust, swoje paluchy, znów paluchy, obmacał nimi szczura, a potem leżała na plecach i on się na niej położył, wepchnął swój jęzor w jej usta, ale jej było wszystko jedno, dobrze się czuła, ciało miała zdrętwiałe i szumiące niczym wodospad, który po długiej zimie uwalnia się z lodu i połykuje w słońcu, spadając z zielonego wzniesienia. Seljalandsfoss^{*}, i w tym momencie obudziło się zapomniane wspomnienie, bo kiedyś siedziała tam na kocu, z koszykiem pełnym czegoś, na co miała ochotę, jedzenia, była małą dziewczynką, z mamą i tatą.

— Sel a... lands... foss —

* Wodospad w Islandii. Dosłownie: wodospad sprzedanej ziemi.

MAŁA DZIEWCZYNKĄ

Hałas. Nie mogła dłużej go ścierpieć. Jakieś dźwięki jej przeskadzały, przebijając się przez ludzki gwar lub ciszę.

Spojrziała w sufit, zbudziła się. Leżała w sypialni. Jeśli się dobrze nad tym zastanowić, to pewno słyszała ten dźwięk już od jakiegoś czasu. Zawsze tam był. Płacz. Z salonu.

Wyśliźnęła się z sypialni, zajrzała za róg do salonu. Rury na estradzie rozmnożyły się, wszystkie biegły łukiem do samej ściany, tworząc klatkę z dzieckiem, małą płaczącą dziewczynką.

Eva weszła do salonu i odniosła wrażenie, jakby jej nogi należały do kogoś innego, a nawet całe ciało. Nie zauważyła żadnych pozostałości po przyjęciu, żadnych

zmian poza zniknięciem barku. Telewizor wrócił. Parkiet lśnił. Dobrze po sobie posprząтали.

Mała czarnowłosa dziewczynka, trzy- albo czteroletnia, kulila się w klatce, przyciskając kolana do czoła i krzyżując ręczki na nogach. Płacz przypominał dźwięk, jaki powstaje, gdy igła rysuje żelazo, albo głos ptaszka, którego znalazła kiedyś zaplątanego w drut kolczasty. Kraty klatki były grube, z żelaza lub ze stali — nie znała różnicy. Klatka była odpowiednio duża, by

233

dziewczynka mogła w niej stanąć wyprostowana, powierzchnia jakieś trzy albo cztery metry kwadratowe. — Halo — odezwała się Eva cicho. Dziewczynka podniosła wzrok. Oczy miała spuchnięte od płaczu, usta popękane, otwarte. — Halo — powtórzyła Eva, uklękła przed klatką, a sytuacja była niemożliwa, przerastała to, co była w stanie wytrzymać. — Kto ty jesteś, ma lutka... jak się tu dostałaś?

Twarz dziewczynki była blada, wyrażała uległość, brak rozumienia i strach, ale pisk ucichł. Miała na sobie białą koszulę nocną, ozdobioną latającymi elfami rozsiewającymi złoty pył ponad kwietnymi polami, i czerwone skarpety z wełny. Gdzieś pośrodku klatki znajdowały się niskie drzwiczki, wykonane z samych rur, zamknięte na kłódkę.

— Mam na imię Eva. Jestem twoją przyjaciółką, nie musisz się mnie bać. Będę dla ciebie dobra. Świetnie, jeśli porozmawiasz trochę ze mną, żebym się czegoś dowiedziała... Jak masz na imię?

Dziewczynka wyglądała na zdeorientowaną, nie wiedziała, czy ma ponownie poddać się lękowi, ale zdawała się wyczerpana. Była tak mała i krucha za tymi kratami. Wymruczała coś do swoich kolan, czego Eva nie dosłyszała, więc zapytała ponownie i wydało jej się, że usłyszała: Lina.

— Lina to ładne imię — skomentowała Eva, usiłując niezauważalnie, tak by nie spłoszyć małej, otworzyć drzwiczki klatki, ale jak podejrzewała, były zamknięte na zamek. — Nie jest ci zimno, Lino, a może chcesz coś

234

jeść albo pić? — Lina potrząsnęła głową. — Przyniosę ci kocyk i poduszeczkę. Nie musisz teraz jeść, jeśli nie chcesz. Pójdę tylko po kocyk dla ciebie i natychmiast wracam. Nie musisz się bać. — Gdy tylko powiedziała „bać” usta Liny wykrzywiły się i znów opuściła głowę na kolana.

Wgłębienie w ścianie zmieniło się w maskę — twarz dziewczynki, jeśli Eva się nie myliła. Wyprostowała się i zaczęła szukać kocyków i poduszek.

Po niecałej godzinie rozmowy udało jej się nakłonić dziewczynkę, by opowiedziała, w jaki sposób znalazła się w klatce: poprzedniego wieczoru przebywała w swoim domu, „u mamusi i tatusia”, ale adresu nie знаła, poza tym, że to „niedaleko morza”; pocałowali ją na dobranoc, tatuś jej poczytał, a potem zasnęła z „Dawidem małpką”. A kiedy się zbudziła, już była w tym pokoju, przestraszona, nie wiedziała, gdzie jest, i nie było przy niej mamy ani taty, Dawida, ani jej pokoiku, ani łóżka.

Kac stał się znośniejszy, ból głowy zniknął i nie pozostało nic poza wszechobecnym lękiem, który tak dobrze znała, na tyle dobrze, by go pokonać. Poszła po wodę dla dziewczynki, zaparzyła herbatę, siedziała przy klatce i sączyła napar, usiłując się skoncentrować, zastanowić, co to oznacza, dlaczego dziewczynka tu jest. Bała się, że nie podoła sytuacji; dbać o siebie

235

nieudolnie to jedno, czymś zupełnie innym, zdecydowanie bardziej skomplikowanym, było wziąć na siebie odpowiedzialność za dziecko w klatce, które musiało przestać pisać, bo nienawidziła płaczu dziewczynki i sama siebie się obawiała — że się wścieknie na dziecko i zacznie krzyczeć, by przestało, albo sama zacznie płakać i straci panowanie nad sobą. Musi być dorosła, ale nie miała pewności, czy potrafi.

Między prętami było dość miejsca, by wsunąć nogi i ręce, skrzyżowała nogi we wnętrzu klatki i docisnąwszy tułów ciasno do prętów, czuła się niemal tak, jakby siedziała w środku z dziewczynką. Namówiła ją, by zawinęła się w kocyk, i przytuliła ją, i głaskała po główce, co na początku wywołało u małej nowy lęk i potrzebę obecności mamusi. Potem spłynęło z niej to wszystko i przytuliła się do Ewy, stała się spokojniejsza, zachowując równocześnie na tyle zimnej krwi, by zadawać pytania, na które Eva nie wiedziała jeszcze, jak odpowiedzieć: gdzie jest i dlaczego.

— Gdzie jesteś? — powtórzyła Eva zamyślona, usiłując znaleźć jedyne właściwe w tej sytuacji słowa, a potem zaczęła mówić coś, o czym nie miała pojęcia, czy jest dobre dla dziewczynki, ale nie potrafiła się powstrzymać, słowa same wypływały z jej ust: — Pamiętam, kiedy ja byłam mała i mama z tatą robili mi takie rzeczy. Ile teraz masz lat?

— Pięc — odpowiedziała Lina, patrząc na Evę spod kocyka.

236

— Kiedyś też byłam taka mała jak ty. I wtedy raz moi rodzice musieli wyjechać za granicę do pracy i na ten czas oddano mnie pod opiekę.

— Pod opiekę?

— Tak, pod opiekę. Oni pojechali za granicę, a w tym czasie ja byłam pod opieką, jak ty teraz. Jesteś teraz pod opieką i niedługo znowu...

— Nie! — krzyknęła Lina, gotowa znów wybuchnąć płaczem, oczy okrągłe, wystraszone i potrzebujące rozglądały się za czymś, co by pomogło jej się przekonać, że świat jest w porządku — chciała wierzyć, ale istniały pewne granice, które Eva przekroczyła.

— Nie wolno nam rozpaczać... Bądźmy po prostu spokojne, rozmawiajmy ze sobą, bo jesteśmy przyjaciółkami, prawda, a ja chcę być dla ciebie dobra, nie chcę, żebyś się bała.

— Babcia Hildur się mną opiekuje — rzekła Lina.

— Wiem — skłamała Eva. — To dobrze. Ale czasem babcia Hildur nie może się tobą zaopiekować, bo ma inne sprawy. I teraz właśnie ja mam się tobą zaopiekować, bo babcia Hildur musiała iść do pracy. Mamusia i tatuś, i babcia Hildur musieli pojechać w podróż, żeby pracować, i chcieli dać ci znać i pożegnać się, ale nie chcieli cię budzić, bo tak ślicznie spałaś. Dlatego kiedy spałaś, przyszli z tobą do mnie i powiedzieli, że mam się tobą zaopiekować, dopóki nie wrócą i wtedy będzie wszystko w porządku. Ale ja nie miałam dodatkowego łóżka, w którym mogłabyś spać, i dlatego musiałam położyć cię na podłodze, dopóki nie znajdę

237

kocyka i poduszeczek. — I mimo że jeszcze nie podjęła żadnej decyzji, zdania wypływały z niej same, niemal bez wysiłku, wszystkie oparte na marnym kłamstwie, którego nie udało się jej odpowiednio nagiąć, jedno kiepskie kłamstwo goniło kolejne, chwytalo je pod ramię i cały tłum kłamstw tańczących kankana zaczął wykopywać spod siebie spódnicę.

Dziewczynka miała dość, pokręciła główką i zaczęła płakać, powiedziała jej, że kłamie, i skuliła się do rozmiarów niewielkiego kokonu. Eva uspokoiła ją, mówiąc, że wszystko będzie dobrze, spytała, czy chce jeszcze wody, i wyszła do toalety, gdzie wciąż znajdowało się duże pudełko z tabletkami, od kiedy stara po raz pierwszy zjawiała się w mieszkaniu, wielkie pudełko

z zawartością odnawiającą się każdego ranka. Połknęła jedną tabletkę, a następną skruszyła na blacie, zmiotła ćwierć proszku do szklanki z wodą, namówiła małą, by wypila, i dziewczynka niebawem się uspokoiła, troszkę chichotała, potem wzrok odpłynął gdzieś daleko i usnęła.

Eva przyglądała się bladej twarzy dziewczynki, usiłując przypomnieć sobie, gdzie ją wcześniej widziała, po czym ostrożnie uwolniła się z objęć klatki i wyszła do kuchni.

Następnego ranka dziewczynka nadal była w klatce. Kiedy Eva weszła do salonu, dziewczynka już nie spała i powiedziała, że zsikała się na podłogę. Powiedziała też, że dziwnie czuje się w głowie, i zaczęła płakać za rodzicami.

Eva usiadła przed klatką, głaskała ją, uspokajała, potem mokrą ścierką starła mocz z podłogi i namówiła dziewczynkę, by zgodziła się coś zjeść, przyniosła jej kanapkę z serem i ciastko czekoladowe. Spytała małą, czy chciałyby sobie coś poczytać albo czy ma przysunąć bliżej telewizor i pozwolić jej pooglądać. Dziewczynka znów zaczęła od pytania, gdzie jest, kiedy wrócą jej rodzice, a Eva znów zaczęła opowiadać o opiece, lecz dziecko wykrzychało, że jej nie wierzy. Kiedy wreszcie dziewczynka się uspokoiła, Eva zaczęła ubogacać opowieść o wyjeździe jej rodziców do pracy za granicą i opiece, że nie tylko oddali ją w opiekę, ale wysłali przy okazji na obóz letni, czy słyszała kiedyś o letnim obozie? Ale to nie jest zwyczajny obóz, lecz gra, jak podchody i wszyscy muszą rozwiązać jakieś zadanie, że one obie biorą udział w grze polegającej na rozwiązywaniu zadań i muszą zachować zimną krew. Lina powiedziała, że widziała taki program w telewizji,

239

w którym ludzie mieli jeść robaki i dżdżownice i ścigali się w dżungli z dzikimi zwierzętami.

— No właśnie, rozwiązywali zadania — odparła

Eva. — Tak jak my. Jesteśmy zamknięte w tym domu i mamy zachować spokój.

— A czy mamusia i tatuś oglądają mnie w telewizji?

— spytała dziewczynka i Eva od razu zauważyła, że jest na właściwej drodze: to, co niespodziewane, mieszka w telewizji, wszystko, co tajemnicze i przerażające, mieszka w telewizji, a zbudzić się pewnego dnia w ciasnej klatce w nieznanym miejscu mogło równać się czemuś, co człowiek widział w telewizji, kiedy miał spać.

— Może... Często oglądają telewizję? — Usta dziew-

czynki zaczęły drzeć na wspomnienie rodziców i małą zdawał się pochłaniać ten symboliczny obraz codzienności — bezpieczne siedzenie przed telewizorem w salonie wśród kochających osób; Eva w końcu odnalazła się w kłamstwie i szybko kontynuowała: — Na pewno. Mamusia i tatuś na pewno teraz oglądają nas w telewizji i chcą, żebyś dobrze w tej grze wypadła. Musimy być dzielne i pomagać sobie, starać się zbyt dużo nie płakać, bo wtedy nie jesteśmy aż tak silne. Twoja mamusia na pewno chce, żebyś była silna i nie płakała, tak żebyś mogła szybko wrócić do domu.

— Ale co mamy robić!? — wykrzyczała dziewczynka, usiłując jednocześnie rozróżnić przeciwstawne uczucia, radość z nowych informacji i nadziei z nimi związanej i rozdzierające podejrzenie, że jest to kolejne kłamstwo, które wmawia jej ta kobieta.

240

— Bądźmy dzielne! — odkrzyknęła Eva i zaczęła chichotać, poczochnęła główkę małej, która zrazu uśmiechnęła się ostrożnie, lecz po chwili parsknęła śmiechem. — Jesteśmy dzielnymi dziewczynkami w jednej drużynie i żadna z nas nie musi się bać! To będzie świetna zabawa!

I zanim dotarło do niej, jakie intencje jej przyświecają, zaczęła tłumaczyć dziecku, o co chodzi z tą maską w ścianie — i objaśniać to dziwaczne zadanie, które obie muszą wykonywać codziennie o północy. Udało jej się na tyle zainteresować małą, że chciała natychmiast spróbować, lecz Eva uświadomiła ją, że musi przestrzegać zasad, inaczej „oni” się zdenerwują. Wtedy mała umilkła i zdawało się, że zaraz wybuchnie płaczem, ale Eva skierowała jej myśli gdzie indziej, przynosząc z kuchni garnek — „garnek na zadania”, którego dziewczynka miała użyć, gdyby musiała siku lub kupę, a ona wtedy go opróżni.

Pozostałą część ranka rozmawiały. Eva starała się przypomnieć sobie historie, jakie jej opowiadano, ale szło jej różnie, przeważnie kiepsko. Dziewczynkę jednak bawiło to, że sama może dopowiadać, zrobiła się nienaturalnie wesoła i gdzieś koło południa, zanim pojawiły się objawy depresji, Evie udało się ją nakłonić do połknięcia skruszonej tabletki, rozpuszczonej w szklance wody.

Wieczorem usiadła przed klatką, a gdy zbliżała się północ, powiedziała małej, by podeszła do ściany i włożyła głowę w maskę, co ta uczyniła bez prote-

241

stów. Eva czekała i obserwowała, czy mała odpadnie od ściany i czy przewróci się na plecy, lecz nic takiego się nie wydarzyło. Trwała bez ruchu, stając się biała jak ściana.

WSZYSTKO SIĘ ZMIENIA

Kiedy rano się obudziła, zauważyła, że drzwi do pokoju projekcyjnego są otwarte. Ale nie było tam już żadnych filmów. Pokój świecił pustką. Cała farba została zeszkrobana ze ścian, wszędzie znajdował się szary, szorstki beton i mdły zapach wilgoci, pierwotny i surowy.

U dołu ścian powykuwano w betonie dziury, a odpryski i gruz leżały porzucane po całym pomieszczeniu, zaś pośrodku podłogi wykuto sporych rozmiarów dziurę, z której wзираła rura. Drzwi do pokoju także się zmieniły. Nowe, wykonane z litego żelaza czy stali, zamykane na potężną sztabę, od zewnątrz.

Ale to, co wzbudziło w niej największe przerażenie, niewymowne i niezrozumiałe, to kolejna maska — pośrodku sufitu, wprost nad dziurą w podłodze.

W suficie? Zastanawiała się, dla kogo przeznaczono tę maskę i jak możliwy jest do niej dostęp. Szybko jednak przestała o tym rozmyślać.

Wszystko wypełniało się maskami, czy czym tam — to nie były maski, chyba że cały dom był maską, ale trudno jej było znaleźć lepsze określenie na to zjawisko. Zrobiła jeden krok do pokoju, lecz zaraz się cofnęła, przeraziła się, że drzwi zatrzasną się za nią i zostanie uwięziona.

243

Poszła do kuchni, kątem oka widziała dziewczynkę leżącą na podłodze w klatce w salonie. Odniosła wrażenie, że wszystko się rozmywa. Nic nie było trwałe, przewidywalne, wszystko zaś pogmatwane i pogięte i jak tylko miała się już do czegoś przyzwyczaić, natychmiast to zmieniano.

Później tego dnia, namówiwszy dziewczynkę na treściwy lunch, zabrała krzesło do dawnego pokoju projekcyjnego i wspięła się na nie, aby z bliska przyjrzeć się masce, którą zauważyła w suficie. Zrazu nie miała pewności, na co patrzy; u dołu i pośrodku wyłobienia, przypominającego kształtem twarz, wystawał z sufitu malutki żelazny pręt, a wokół rysowały się linie i wklęsłości, łączące się i rozchodzące, i czasem przypominały twarz, a czasem nie, plątały jej się przed oczami, lecz w końcu zrozumiała, że to nie była jedna twarz, lecz dwie, mała i duża; wewnątrz większej twa-

rzy, takiej samej, jak na ścianie nad łóżkiem w sypialni, znajdowała się druga, mniejsza. Twarze zbiegały się tam, gdzie były usta, mniejsze wkomponowane zostały w większe, i to właśnie w środku obu ust sterczał ów niewielki pręcik z żelaza. A może rurka.

Kiedy wyteżała wzrok, przyglądając się obu twarzom, które pozostawały jakby w ciągłym wobec siebie napięciu, wyłaniając się jedna z drugiej, przypomniało jej się, skąd знаła dziewczynkę: to była ta mała z placu

244

zabaw przy Kościele Chrystusowym, mała dziewczynka, która odezwała się do niej, gdy siedziała, czekając na spotkanie z tamtym mężczyzną.

JAK JĄ POŁOŻYŁAŚ?

W salonie Eva zastała klatkę otwartą, a dziewczynki nigdzie nie było.

Znalazła ją w kuchni, gdzie siedziała, wyglądając przez okno. Na stole przed nią leżał talerzyk z okruszkami czekolady i do połowy wypita szklanka mleka. Eva usiadła przy niej, objęła ją i pochwaliła za to, że tak świetnie rozwiązała pierwsze zadanie: włożyła twarz w maskę i dlatego pozwolono jej wyjść z klatki. Dziewczynka powiedziała, że zbudziła się na podłodze i klatka była otwarta, a potem wyszła, żeby obudzić Evę, ale nie mogła.

— Boli mnie brzuch — powiedziała mała, a Eva zauważyła, że czoło jej się błyszczy i jest blade.

— Jadłaś coś? — spytała Eva, podchodząc do stołu; na talerzyku leżało kilka okruszków czekolady, niedużych, z wzorkiem, który rozpoznała; z resztkami czekolady mieszały się pojedyncze żelki i kulki. — Skąd wzięłaś tę czekoladę?

— Pan powiedział, że mogę sobie wziąć.

— Jaki pan?

— Pan w telefonie. Powiedział, że jest przyjacielem mojej mamusi i tatusia i że właśnie oglądali mnie w grze w telewizorze i że jestem dzielna. Powiedział,

246

że byłam taka dzielna, że mogę sobie wziąć jajko wielkanocne. Ale przecież jeszcze nie ma świąt!

— Jajko wielkanocne — powtórzyła Eva i zachichotała. — Wzięłaś jajko wielkanocne z czekolady... Gdzie ono było?

— W lodówce — zdradziła dziewczynka. — Kiedyś jadłam takie jajko. Mamusia powiedziała, żebym tak dużo

nie jadła, ale pan powiedział, że mogę zjeść, ile chcę.
— Dziewczynka złapała się za brzuch i wykrzywiła twarz.
— Dziwny pan — podsumowała Eva.
— Boli mnie brzuch — powtórzyła dziewczynka.
Na stole opodal resztek czekoladowego jajka Eva zauważyła żółtą, złożoną karteczkę — z mądrością pochodzącą z jajeczka. Rozłożyła ją: Jak ją położyłaś? Pytanie, a nie mądrość.
— I co jeszcze mówił ten pan? — spytała, mnąc karteluszek.
Dziewczynka zawahała się, spuściła wzrok na podłogę i powiedziała:
— Powiedział, że mam być dla ciebie dobra...
— Dobra dla mnie? A dlaczego masz być dla mnie dobra?
— Bo ty nie żyjesz.
Wieczorem zjadły zapiekane kanapki z serem, dziewczynka nie miała ochoty na nic innego. Była milcząca, lecz spytała, kim jest pan w telefonie

247

i kiedy skończy się gra, a noc zdawała się wzbudzać w niej lęk.
Eva zwabiła ją z powrotem w świat ludzi przebojowych i radosnych, którzy biorą udział w grze, a potem położyły się na sofie w salonie i Eva masowała jej palce u stóp, następnie przygotowała dla niej na sofie posiłek i pozwoliła oglądać telewizję. Poszła do kuchni przyrządzić dla nich deser ze śmietany, lodów i gruszek z puszek, a podczas przeszukiwania półek w pralni zauważyła pistolet, niewielki klocek sterczący z plastikowego trzonka, spoczywający na półkach między kartonami z jedzeniem, tuż obok wyjścia awaryjnego. Taki sam, jaki widziała wcześniej w kieszeni Rannveig. Któryś z mężczyzn transportujących ją między piętrami musiał odłożyć go na półkę i zapomnieć o nim.
Udawała, że nie patrzy na nic specjalnego, dalej grzebała po półkach, ale pistolet przyciągał jej wzrok. Na rękojści widniał wypukły napis Taser. Sięgnęła do skrzynki po dwie ściereczki, przez chwilę udawała, że je ogląda, po czym odłożyła je nonszalancko na pistolet, przeszukując kolejne półki, zdjęła z jednej puszkę z owocami, zabrała ściereczki razem z pistoletem i wyniosła to wszystko do kuchni, odłożyła puszkę na stół, a ściereczki zabrała do sypialni. Położyła się na łóżku i wsunęła pistolet pod jeden z materaców, a ze ściereczek wyczarowała szmacianego misia — tego nauczyła się jeszcze w dzieciństwie. Potem przyniosła flamaster, narysowała misiowi czarne oczy i usta i poszła wręczyć

go dziewczynce, która aż zapiszczała z radości i nazwa-

248

ła misia Mały Jon na cześć większego Jona, który został w domu rodziców dziewczynki.

Od tej chwili siedzieli na sofie we trójkę i oglądali film w telewizji, na którym Eva nie potrafiła się skupić — myślała o pistolecie — dopóki nie zaprowadziła małej do maski. Tym razem dziewczynka przewróciła się na plecy i wylądowała na poduszkach, które Eva specjalnie poukładała. Poprawiła jej pozycję, pocałowała w policzek i skonstatowała, że w zasadzie przez cały dzień nie miała czasu pomyśleć o sobie, jedynie kiedy gotowała kolację, i pomijając kilka pojedynczych, niewygodnych chwil, dzień minął stosunkowo szybko w porównaniu z poprzednimi, poza samą sobą miała kogoś, o kim mogła myśleć: „ona i tak umarła”, gotowa była zrobić wszystko, żeby się stąd wydostały, a jeśli nawet nie ona, to choćby mała.

Stała w drzwiach prowadzących do dawnego pokoju projekcyjnego. Cały pokój, podłoga, ściany i sufit pomalowane zostały na różowo, rozwodniony, różowy kolor, który nie przypadł jej do gustu — oczy biegały po pokoju, jakby poszukując schronienia przed różowym, mdłym okropieństwem. Nisko, przy samej podłodze, dostrzegła w końcu okrągłe światła, jakie często widuje się przy dnach basenów, opasujące cały pokój. Światła były wyłączone. W środku podłogi tkwiła dziura przykryta kratą, co także przypominało basen.

249

Eva zdążyła spytać dziewczynkę, czy pamięta ich pierwsze spotkanie, na placu zabaw przy kościele. Dziewczynka zaprzeczyła.

Dlaczego doprowadzono do tego spotkania? Może po to, by uświadomić jej, jak potężna i nieprzewidywalna jest władza, naprzeciw której stoi.

Dziewczynka była w wieku jej córeczki, gdyby przeżyła.

Podeszła do windy i nacisnęła guzik, rozchichotała się na myśl o tym, że przyjedzie winda, drzwi się, ot tak, otworzą, a ona zjedzie na dół, wyjdzie z windy, i pójdzie na przykład na swój grób.

Nie miała dużo więcej czasu do namysłu. Coś wisiało w powietrzu, miała złe przeczucia i uważała, że musi coś zrobić, natychmiast. Leżała pod kołdrą i zapoznawała się ze swoim nowym przyrządem. Już dłużej nie mogła tkwić tu beczynn timer, już dość się na-

myślała.

PRZEZ SZKLANĄ ŚCIANĘ

Upewniła się, że dziewczynka śpi, obeszła salon raz w koło, oddychając przez nos, wciągając powietrze głęboko do brzucha i wydychając, czuła, że odzyskuje pełną kontrolę nad sobą. Postanowiła się nie rozbierać. Nie powinno się to im wydać podejrzane; często podchodziła do ściany zupełnie ubrana, a dla niej lepiej będzie być ubraną.

Porwała butelkę z barku i wypła z gwinta dwa duże łyki. Potem zapaliła papierosa, spojrzała na Thingholt, na miejskie latarnie, na latarnię morską w Grotta obracając się koło za kołem.

Była pewna, że ją obserwują — widzą, jak światło latarni morskiej odbija się w jej oczach, niczym w dwóch małych ekranikach, rozbłyskuje, ciemnieje, rozbłyskuje; zanotowali, jak zapaliła sobie papierosa: podniosła zapalniczkę, uformowała ustaw ciup, włożyła papierosa w płomień. Sama też mogłaby odtworzyć w pamięci każdy ruch, przeżyć ten moment na nowo.

Odnosiła coraz bardziej dojmujące wrażenie — dziwne — że jest stale inwigilowana: śledzą ją w każdej sekundzie; każde jej spojrzenie i ruch nagrywane są przez kamerę, notowane, komentowane i umieszczane w kontekście jej całej historii. Zupełnie jakby nie za-

251

kładała czynników ludzkich przed ekranami monitorującymi, bałaganiarstwa, senności — obecności ludzi, którym zdarza się oderwać wzrok od ekranu, spojrzeć w bok lub nie zauważyć czegoś w jej zachowaniu, bo ich myśli krążą wokół jakichś detali z ich własnego życia; usiłowała sobie wmówić, że ci ludzie są słabi jak ona, ale uczucia mówiły jej co innego — w jej myślach przed urządzeniami inwigilacyjnymi siedziały inne urządzenia, monitory monitorowały monitory, nie uchodziło ich uwadze i poczucie tego perfekcyjnego urobotowienia i inwigilacji powodowało, że coraz bardziej się w sobie zatapiała. Pomyślała, że już nigdy nie będzie w stanie się odprężyć, nie wypuszczając wszystkiego z rąk i nie uruchamiając niepoohamowanej lawiny wydarzeń, które rozerwą ją na strzępy. Całe jej życie było walką z tym natrętnym podejrzeniem, naznaczonym pożądaniem myśleniem, że oni są od niej lepsi: wszechmądrzy, wszechwidzący i wszędobylscy. Jak tylko to zaakceptuje, przegra; upierając się jednak przy negacji — również przegra. Jej życie to ciągle balansowanie na linie. Była sama.

Czuła ciężki, duszący smak alkoholu. Nie miała ochoty pić, ale uznała, że właśnie teraz jest odpowiedni moment, żeby ich zmylić.

Zakręciła butelkę, lecz nie odstawiła jej, zabrała ją z sobą do sypialni, głęboko wciągnęła powietrze, weszła na łóżko. Flaszka była jedynie grającym rekwizytem, jakich i oni używali. Weszła w ścianę, czuła, jak ziębnie, jak ściana ją pochłania, słyszała cichy szum,

252

policzyła do dwudziestu, trzydziestu, czterdziestu, dopóki całym ciałem nie poczuła bicia serca, nawet uszami i oczami, i już dłużej nie mogła wytrzymać, zwiotczała w kolanach i osunęła się prosto na plecy na łóżko.

Potem leżała bez ruchu, słuchała, jak serce się uspokaja w ciszy w mieszkaniu. Wkrótce do jej uszu dotarło ciche trzaśnięcie drzwi w pralni. Ktoś wszedł do apartamentu, najpewniej ten sam co wcześniej.

Wyobraziła sobie, że jest nim, widzi z jego perspektywy — weszła do kuchni, trzymając paralizator, czy co to tam było, rozejrzała się ostrożnie dookoła lub nie; przeszła przez kuchnię do salonu, rzuciła okiem na jego wnętrze — cichy pisk noszy i jeszcze cichszy terkot plastikowych kółek obracających się po parkiecie — była tak bardzo skoncentrowana, że już nie czuła swojego ciała albo raczej miała wrażenie, że jej ciało to chmurka wypełniająca pokój, mieszkanie, jakby jej w ogóle nie było, lecz rozpylona była tu i tam; albo nawet, że jest maluteńkim groszkiem we wnętrzu mężczyzny, wygodnie umoszczonym.

Podszedł do niej z boku, czuła bijące odeń ciepło, słyszała oddech. Obszedł łóżko dookoła, obluzował prześcieradło, położył ją na noszach i odjechali do kuchni, gdzie mężczyzn zrobiło się dwóch, wymienili między sobą ciche uwagi, znosząc ją na dziesiąte piętro, następnie pchali nosze korytarzem do mieszkania starej.

Nie ruszała się. Leżała tylko i nasłuchiwała. Jeden z mężczyzn opuścił mieszkanie. Drugi pozostał. Nie

253

miała pojęcia, ile czasu minęło, miała ochotę zerwać się natychmiast na równe nogi, ale wiedziała, że to głupie. Postanowiła zaczekać. Czuła się niemal tak, jakby widziała słuchem, jakby mogła nim kierować, wysyłać zgodnie z wolą to bliżej, to dalej. Usłyszała szum dużego, czarnego urządzenia obok noszy, szmer urządzeń na biurku.

Drzwi na korytarz otworzyły się, do mieszkania

wrócił drugi mężczyzna i przysunął coś do niej — dziewczynkę, o ile się nie myliła. Potem kiedy wyszedł, zamknęły się za nim drzwi.

Rozszczelniła nieco oko od strony biurka. Znajdowała się w tym samym miejscu co wcześniej, w salonie mieszkania starej. Na noszach obok niej leżała dziewczynka z białą i gładką twarzą. Spała i niezależnie od tego, co by Eva zrobiła, nie była w stanie się obudzić. Nie będzie mogła jej stąd zabrać, nie da rady uciekać, niosąc ją na rękach. Zresztą to nie ma znaczenia. Jak tylko zawiadomi pomoc, każe ją stąd zabrać. A jeśli sama nie spróbuje, na pewno żadna z nich nie ocaleje. Po drugiej stronie noszy z małą, kilka metrów od niej, znajdowały się drzwi prowadzące z mieszkania na klatkę. Były zamknięte. Kilka metrów.

Znów zamknęła oko, leżała, wdychając spokojnie powietrze przez nos i przez nos wydychając, utrzymywała równy i wolny rytm serca i skupiała świadomość w jasnym, wybranym punkcie między oczami, słyszała skrzypnięcie krzesła, kiedy mężczyzna się podniósł, usłyszała, jak wybiera numer na klawiaturze komórki

254

i melduje komuś, że „wszystko jest gotowe”, pewno żeby iść do ich mieszkania.

Potem podszedł do urządzenia usypiającego, pokręcił kilkoma potencjometrami i usłyszała trzaski i jak zmienił się szum; usłyszała ciche nucenie mężczyzny — jakąś melodię, której nie знаła, poczuła bijące od niego ciepło, kiedy zbliżył się do jej głowy, poczuła jego ciepło na policzku, jak delikatnie chwyta ją pod kark i unosi, podtrzymując drugą ręką plastik łączący ją z urządzeniem, myśląc, że śpi — zawsze te ich urządzenia, wiedziała, że nadszedł już czas.

Uniosła jedno biodro, chwyciła za kolbę pistoletu paralizującego, który zrazu ukryła w rękawie, a potem wsunęła pod siebie, by mieć łatwiejszy dostęp, otworzyła oczy i spojrzała pochylonemu nisko nad nią mężczyźnie prosto w twarz; widziała, jak jego oczy wybałusza zdziwienie, gdy dotarło do niego, że ona nie śpi, jak jego obie ręce trzymają maskę, jak sama naciska mały, czerwony guzik i posyła mu dwa druty w szyję. Z początku nie była pewna, co się stało, miała wrażenie, że nie trafiła, ale potem zobaczyła białka jego oczu, zatrzęsł się i targany skurczami runął na plecy. Zamarł w bezruchu.

Eva uniosła się, zsunęła stopy na podłogę i wstała, wciąż trzymając paralizator. Nie wiedziała, ile ma czasu. Znów rozpoznała mężczyznę jako tego, który pokazywał jej mieszkanie — przedstawionego jako prawnik

Emila Thorssona, lecz wrażenie nie było rzeczywiste, jakby to wszystko jej się śniło. Ciało mężczyzny zadrdzało, a ona stała bez ruchu i obserwowała, jak nim

255

wstrząsa, raz i drugi; wyrwała się z tego odrętwienia, kiedy usłyszała pistolet spadający na podłogę. Odwróciła się, minęła dziewczynkę, podeszła do drzwi prowadzących na korytarz, uchyliła je nieco i wyjrzała. Nikogo nie zauważyła.

Wyszła z mieszkania, zamknęła za sobą drzwi, po czym szybko ruszyła korytarzem, lecz zatrzymała się przed windą. Patrzyła na cyfry ponad drzwiami. Wjeżdżała do góry.

Pobiegła korytarzem i dotarła na jego koniec, od strony północnej, otworzyła drzwi prowadzące na klatkę przeciwpożarową i stanęła na podeście schodów. Usłyszała dzwonek windy, gdy ta się otworzyła.

Eva nie czekała, by zobaczyć, kto z niej wysiądzie albo dłaczego; zamknęła za sobą drzwi i przechyliła się przez poręcz schodów; ukazał jej się widok na sam dół — aż do garażu, gdzie nie będzie musiała spotkać się z ochroniarzem, wyjdzie przez drzwi prowadzące na ulicę, na Saebraut, gdzie rzuci się na jezdnię i zatrzyma pierwszy samochód, bo zawsze widzi dużo samochodów na Saebraut o każdej porze doby...

Biegła w dół schodami, ale zaraz jedno czy dwa piętra niżej usłyszała otwierane drzwi, przez które sama wyszła, ktoś pojawił się na podeście schodów i krzyknął, by ją powstrzymać, słyszała rozkazy wykrzykiwane w komórkę lub walkie-talkie, słyszała, jak krzyczą do niej w trzeciej osobie, nie wiedziała już, co się dzieje, tylko tyle, że to wszystko nie do pomyślenia — sądząc po czasie, który upłynął, nie do pomyślenia

256

było, by facet wszedł chociaż do mieszkania starej — wysiadł z windy i natychmiast skierował się ku wyjściu przeciwpożarowemu, jakby o wszystkim wiedział. To nie miało znaczenia — zbiegła ze schodów, widząc coś ciemnego majaczącego na podeście poniżej — innego mężczyznę. Stanęła jak wryta, zauważyła, że znalazła się na drugim piętrze, chwyciła za drzwi prowadzące na korytarz drugiego piętra, lecz zamknięte były na klucz, spojrzała na mężczyznę wbiegającego po schodach i krzyczącego coś do tego, który zbliżał się do niej z góry. Odwróciła się na pięcie, wbiegła na trzecie piętro i wybiegła niezamkniętymi drzwiami, popędziła

korytarzem i od razu skierowała się do drzwi pierwszego mieszkania, które zauważyła, waliła w nie z całych sił, podbiegła do następnych i także waliła, podobnie jak do trzecich i czwartych — do wszystkich drzwi na korytarzu. Serce dudniło jej w głowie ciężko, jakby chciało się wyrwać przez oczy i nos, i dobiegła do końca korytarza, zwieńczonego ogromną szybą od podłogi po sufit. Przed oknem znajdował się stolik, dwa krzesła i duża, czerwona gaśnica. Zbliżyła się do okna, wyrzała przez nie na trawnik na tyłach domu. Mogłaby skoczyć, wysokość nie byłaby dla niej nadmierna, zwłaszcza gdyby udało się jej dobrze wylądować. Spojrzała w głąb korytarza i dotarło do niej, że żadne drzwi się nie otworzyły. Na przeciwległym końcu korytarza pojawili się dwaj ścigający ją mężczyźni, jednym z nich był recepcjonista Snorri, a drugim ten, którego poraziła, co było nie do pomyślenia. Szli szyb-

257
ko korytarzem, a Snorri niósł coś, co przypominało rozpylacz, trzymał go przed sobą, jakby miał zamiar prysnąć na nią. Nie miała czasu.

Jeszcze raz szybko rozejrzała się wokół, dopadła szyby na końcu korytarza, chwyciła za gaśnicę i z całych sił uderzyła nią w sam środek okna, raz, drugi i trzeci. Szkło się rozprysło i obserwowała, jak połyskliwe odłamki obracają się w powietrzu i osiadają na trawniku. Pomyślała, że najlepiej będzie, jeśli ucieknie jak najdalej od domu — żeby uwolnić się od odłamków szkła, puściła gaśnicę i skoczyła.

Przez kilka sekund zdawało jej się nawet, że jest wolna — szybowała i wyglądało na to, że wszystko jest w porządku, po czym ciężko uderzyła o ziemię i natychmiast wiedziała, że lądowanie się nie udało, najpewniej straciła równowagę, odbijając się zbyt mocno od domu, a gdy lądowała, nie udało jej się całkiem wystawić nóg, najcięższe uderzenie przyjęła na górną część ciała, głowę, klatkę piersiową i biodra.

Pełzła po trawie. Szumiało jej w głowie, przed oczami miała ciemne korytarze, a na ich końcu ukazała się jasność. Czołgała się na brzuchu ku światłu na końcu korytarza i wzywała pomocy. Ale nie była tego pewna. Gdzieś tu po prawej stronie powinny być okna do siłowni i możliwe, że ktoś — w środku nocy! — zauważy jej położenie i przyjdzie jej z pomocą.

Potem znalazła się przy tabliczce, tej którą już raz widziała, lecz być może nie rozumiała aż do tej pory. Przebiegła wzrokiem napis: Tu kończy się ucieczka.

Otworzyła usta, głupawo wpatrując się w słowa, które wirowały jej wokół głowy, potem uniosła wzrok w górę na tego, który stał nad nią. Mężczyzna pochylił się z uśmiechem na twarzy, a potem wszystko pociemniało.

STATUA

Życie biegło dalej. Wkładała sobie w usta tabletki z uzupełnianego pojemnika w łazience, uśmierzały ból. Cała była pokryta żółtymi sińcami. Wokół ramienia miała jakieś łubki, które zerwała, a gazę wokół kolana. Nie chciała żadnej pomocy. Dziewczynka płakała, a ona ją pocieszała.

Oglądały telewizję. Ostatnia wiadomość wieczoru była na temat Kim Cattrall, aktorki grającej w serialu Seks w wielkim mieście. Odwiedziła Islandię, aby promować swoją najnowszą książkę na temat orgazmu. Była przekonana, że światło, a tym samym bieg dnia i nocy regulowane jest przy pomocy okien. Jeden dzień mijał jak dwie czy trzy godziny, tego była pewna. Jedyne zegary, jakie znajdował się w mieszkaniu, to cyfrowy wyświetlacz na kuchence, ale nim można było manipulować przy pomocy jakichś elektronicznych sztuczek; jednego dnia minuty na kuchence zmieniały się szybko niczym sekundy, a jej się zdawało, że wyciągają z niej duszę, jakby wyparowywała; zaciskała dłonie, zamykała oczy, prosząc

260

Boga, jeśli istnieje, aby pozwolił jej odejść, już nie chciała tu być. Jednego dnia wypaliła cztery i pół paczki papierosów. Jeden dzień był dłuższy, niż powinien, rozciągnięty raczej do trzydziestu sześciu albo i czterdziestu godzin. Gdy się ściemniało, obserwowała niebo nad górami podczas zmiany, plamy światła z lamp na ulicy, światła w mieszkaniach najbliższych domów i to zdawało się w porządku, ale ci, którzy poprzez szkło mogli sterować światłem, mogli również dobrze zapalać i gasić latarnie albo poruszyć małą plamką świetlną na ekranie, przypominającą słońce. Nie miała pewności.

Włożyła twarz w maskę i ciało niemal w całości zniknęło w ścianie. Myślała o sypialni w mieszkaniu obok, zastanawiała się, jak wygląda, oczyma duszy widziała jasne światło żarówek wiszących na drutach w powietrzu, szorstki beton ściany i druty z niej sterujące, grube szare rury wystawiające końcówki, lecz wijące się w ścianach, otwory, plastikowe okna i wszędołybskie kamery — małe i czarne, poprzykręcane do

ścian z mrugającymi czerwonymi oczami, śledzące każdy jej ruch. Ze ściany w tamtej sypialni wystawał biały posąg przypominający statwę na dziobie okrętu — biała twarz bez wyrazu patrząca ślepymi oczami w jej twarz, a pod nią rysowały się barki, piersi, ramiona opadające wzdłuż boków, a potem kolana i palce nóg, nieśmiało wystające ze ściany. Pewnego dnia, już wkrótce, statua oderwie się od ściany, zniknie w szarym szkielecie mieszkania, usiądzie przy stole w sa-

261

lonie obok pozostałych, i siedzieć będzie bez ruchu, dopóki dom nie zostanie rozebrany lub nie nastąpi koniec świata.

Tuż przed kolacją zaczęły się bawić w chowanego, najpierw chowała się dziewczynka, potem Eva, potem zjadły kolację i usiłowały oglądać telewizję. Wszystkie kanały pokazywały recepcjonistę w holu na dole. Wysypywał tabletki ze słoika, rozsypywał je na blat przed sobą i wkładał z powrotem do słoika, znowu rozsypywał i wkładał.

— Gra — powiedziała Eva i wyłączyła telewizor.

RÓŻOWY POKÓJ

Ocknęła się, wzrok się wyostrzył i znów wypełniła sobą ciało. Przed nią znajdowała się maska, lecz coś się zmieniło, jej obrys na zmianę to się wyostrzał, to zlewał z różową mgłą i strach zaczął dawać znać o sobie. Nie stała wyprostowana i nie znajdowała się w sypialni — leżała na plecach w różowym pokoju i nie patrzyła przed siebie, lecz w górę, na maskę na suficie.

Podniosła się z podłogi i zauważyła, że dziewczynka leży obok niej, cicho pomrukując i mrugając oczami, jakby się budziła. Spróbowała uśmiechnąć się do niej, rozglądając się jednocześnie za drzwiami, lecz jeszcze zanim zauważyła nieco ciemniejszy kontur w różowym otoczeniu, wiedziała, że są zamknięte, a sztaba ryglowała je od zewnątrz. Wszystkie światła w ścianach były zapalone.

— Gdzie jesteśmy? — wymamrotała dziewczynka, usiłując usiąść, ale chyba miała zaburzoną równowagę.

— Wszystko w porządku — powiedziała Eva. — Jesteśmy w małym pokoju. Leż sobie i spróbuj zasnąć... Zamknij oczy.

Rozdzielała je dziuraw podłódze i rysa i Evie się wydało, że usłyszała ciche siorbanie dochodzące z otworu. Dziewczynka usiadła przepelniona strachem, jak Eva, i zaczęła się rozglądać za drzwiami.

263

— Nie martw się — powiedziała Eva, ujmując ją za rękę — wszystko będzie dobrze. Drocą się z nami, budzą nas w środku nocy i do tego w innym pokoju.

- Jak w grze?

— Tak. W grze. Myślą, że się przestraszymy i zaczniemy pukać w ściany, ale my tego nie zrobimy, będziemy zupełnie spokojne i spróbujemy po prostu zasnąć. Nie wiedziała już, co mówi, coś gadała, nasłuchując dźwięków z dziury, które stawały się coraz wyraźniejsze, a dziewczynka też to zauważyła, złapała mocno Evę za rękę i powiedziała, że już nie chce brać udziału w tej grze. Eva wstała, wzięła dziewczynkę pod ramiona i podniosła ją, odsunęła się od dziury pod ścianę i jednocześnie z dziury wyjrzało coś czarnego, zniknęło w niej ponownie, rozległ się ssący dźwięk, a potem zaczęła się z niej wylewać brudna woda, rozprzestrzeniając się po podłodze.

Mała wtuliła się w Evę mocniej i zaczęła szlochać.

— To tylko woda, nic się nie stało — uspokajała ją Eva, przywarła plecami do ściany i mocno tuliła dziewczynkę, głaszcząc ją po główce. Woda pełzała po podłodze, sięgała palców jej stóp, ścian, a strumień stawał się coraz silniejszy, potem zaczęła tryskać z dziury jak mała fontanna, a jej plusk rozchodził się echem po pustym pokoju.

Eva przysunęła się bliżej szczeliny obrysowującej drzwi. Niezauważalnie dla dziewczynki napała na nie plecami, lecz te ani drgnęły, zapała się nogami i ramieniem uderzyła w drzwi, choć wiedziała, że to

264

beznadziejne i rozpaczliwe, poślizgnęła się na mokrej posadzce i wywróciła się na plecy, zdołała uchronić małą przed uderzeniem, które poczuła na górnej części własnego kręgosłupa. Dojmujący, pulsujący ból rozszedł się od karku do głowy. Przewróciła się na bok, a potem podniosła na kolana. Dziewczynka wstała sama, stała tuż obok niej z brodą przy piersi, rękami przyciskając uszy; mamrotała sobie coś pod nosem, jednak Eva jej słów nie rozróżniała.

Wstała, macała wzdłuż drzwi, poszukując szczeliny czy czegoś, lecz drzwi okazały się perfekcyjnie dopasowane. Woda sięgała jej do kolan, usiłowała się tym nie przejmować, dobrnęła do małej i ponownie wzięła ją na rękę. Dziewczynka przycisnęła twarz do jej szyi, wciąż coś mamrocząc czy recytując, podczas gdy Eva patrzyła w sufit, taksując maskę, lecz oczy zbłądziły natychmiast ku pieniącej się pośrodku pokoju fontannie. Wydawało jej się, jakby woda coraz szybciej wypływała z dziury;

w niecałą minutę lub w pół minuty, a może dziesięć sekund jej poziom podniósł się od kolan do pasa i jednocześnie plusk ucichł, fontanna znikła, lecz w jej miejsce na powierzchni pojawiło się wypukłe, szarawe oko. Poziom wody podniósł się do pępka, do piersi, a ona się nie ruszyła — nic nie mogła zrobić. Niebawem będą musiały pływać. Nie wiedziała, czy dziewczynka potrafi i czy uda się jej namówić ją, by ją puściła.

— Teraz musisz być dzielna — przyłożyła usta do ucha małej i szeptała: — Bądź dzielna, dla mamusi i tatusia. Pamiętaj, że oni cię oglądają, a ty musisz

265

być dużą dziewczynką. To tak szybko się nie skończy, będziemy musiały trochę popływać w wodzie, żeby się stąd wydostać, pływać w kółko, aż zniknie woda i wtedy znów będziemy mogły iść spać. Zrobisz to dla mnie? Będziesz dzielna? — Dziewczynka patrzyła jej w twarz zmrużonymi oczami, przestała mamrotać i wciąż kiwała głową, zagryzła wargi i poruszała głową. — Spróbujemy troszkę popływać... — Woda sięgała jej do ramion i Eva przeciągnęła małą na plecy, kazała jej objąć się nogami w talii i trzymać ją za głowę lub za szyję. Kiedy dziewczynka już się umościła, Eva wyciągnęła ramiona przed siebie na powierzchnię, odepchnęła od dna, machała nogami tak szybko, jak umiała, i szerokim łukiem poruszała rękami na boki, ale jej głowa natychmiast znalazła się pod wodą z powodu ciężaru dziecka. Usiłowała chlapać i skakać do przodu, ale cały czas opadała pod wodę, dopóki nie kazała małej zwolnić uścisku nóg, rozkładając w ten sposób korzystniej ciężar, dzięki czemu udało jej się utrzymać na powierzchni, płynąc w równym rytmie. Wkrótce zniknęła kipiela, tafla wody się wygładziła i w pokoju zrobiło się cicho, pominąwszy chlupot, jaki czyniła Eva, płynąc. Sufit szybko się zbliżał, znajdował się niecałe pół metra ponad poziomem wody i główka dziewczynki zaczęła już go dotykać. Eva wypłynęła na środek i utrzymywała się na wodzie pod maską, próbowała w nią spojrzeć, lecz nie mogła. Skurcze zaczynały wstrząsać mięśniami nóg, zęby ciągle dzwoniły z zimna, a palców u dłoni już nie czuła. Wiedziała, że

266

to dużo dłużej trwać nie może, i nie starając się nawet wytłumaczyć czegokolwiek dziecku, złapała je za rączki, przeciągnęła ponad swoją głowę, jednocześnie obracając się na plecy. Dziewczynka zanurzyła się pod

wodę, po czym plując, wypłynęła na powierzchnię; Eva płynęła obok niej na plecach, usiłując podtrzymać ją jedną ręką pod brzuchem. Ich głowy, wynurzając się spod wody, uderzały w sufit. Eva odkryła, że tuż pod maską, gdzie ciśnienie wody było największe, mogą unosić się na wodzie bez ruchu, leżeć nieruchomo na plecach, opierając się palcami o sufit. Zajrzała w maskę, na rurkę sterującą z jej ust. Odległość od tafli wody do sufitu wynosiła zaledwie kilka centymetrów i dziewczynka zaczęła się krztusić i zachłystywać wodą, czepiać się Ewy i ciągnąć za sobą pod wodę. Fale zalewały rurkę i Eva zauważyła wylatujące z niej pęcherzyki powietrza. Wiedziała, co się ma wydarzyć. Dlaczego wciąż udawała? Ale to nie było uczciwe, dziewczynka nie miała na tyle wiedzy czy nie była aż tak opanowana, żeby oddychać przez rurkę, była zbyt młoda i on wiedział o tym od początku. Czoło i czubek nosa szorowały o sufit, więc zaczęła poruszać rękami i nogami, udało jej się uwolnić od małej i wtedy woda sięgnęła sufitu. Obie były zanurzone w cichym, różowym świetle. Eva podpłynęła do pęcherzyków powietrza wylatujących z rurki, czuła na plecach ciśnienie wody wciąż tryskającej z dziury w podłodze, dociskające ją delikatnie do maski w suficie albo ściągające ją w dół, sama już nie wiedziała, czy

267

twarz miała dobrze zwróconą i czy pasowała do maski albo czy miało jakieś znaczenie, że dziewczynka pasowała lepiej, przyłożyła wargi do rurki, ułożyła w ciup i wypełniło ją powietrze, przez usta, w rozgrzane, różowe płuca, a potem znów z powrotem przez usta, rozejrzała się dookoła i zauważyła w różowej nieostrości coś, co dryfowało z wyprostowanymi ramionami, ciemne falujące włosy i głowę pod samym sufitem, tuż obok niej błyszczący pęcherzyk powietrza niczym perła lub dusza uwięziona i zamknięta w czterech ścianach, która nigdy się stąd nie wyrwie.

Potem woda zaczęła wypływać z pokoju. Eva wypuściła rurkę z ust, razem z ciałem dziewczynki zataczała kręgi po pokoju, podczas gdy woda wylatywała przez dziurę w podłodze.

ELLY

Kłęcząca w łazience przed muszlą. Usiłowała się przenicować do sedesu, lecz jej się nie udało; oczy czerwone i popękane, napuchnięte, chciały wyrwać się z jej głowy; skurcze, które u siebie wywoływała, uśmierzały ból w jej wnętrzu, ale to nie wystarczało, nie miała

pojęcia, co by wystarczyło. Spuściła wodę i patrzyła, jak zasysa ją ciemna rura, jeszcze raz zwymiotowała, po czym wstała i chlusnęła sobie zimną wodą z umywalki w twarz, połknęła trzy tabletki, nie pamiętając, czy tamte, które wzięła wcześniej, wyleciały z niej do kibla. Zapadła w drzemkę, spływała swoją małą łódką wiosłową w dół rzeki zwanej bólem, patrzyła w śnieżnobiałe, szumiące niebo. Czasami odnosiła wrażenie, że wszystko, co się dzieje lub działo, wydarzyło się wyłącznie w niej samej. Przez jakiś czas zdawało się jej, że przebywa w innym mieszkaniu, kulistym, staczającym się ze zbocza góry. Co chwila znajdowała się w innym mieszkaniu, przebywając jednocześnie w nich wszystkich. Nigdy nic nie robiła. Szybowała pośrodku salonu, pośrodku sypialni albo zwisiała z sufitu nad nogami łóżka, horyzont w dole przy ścianie, patrzyła, jak błędnie, wygląda się, znika w ścianie. Ona jest horyzontem.

269

Przebywała na zewnątrz, na parkingu przed wieżowcem i patrzyła w górę wzdłuż ściany, rząd za rzędem lustrzanych okien — na barierkę na balkonie na samej górze, a potem na Hrafna. On też przyglądał jej się z uśmiechem, po czym wzruszył ramionami i poruszył usta śmiechem, szczęśliwy i nieco zdziwiony. Podeszli do mężczyzny, tego samego, który pokazał jej mieszkanie — prawnika Emila Thorssona. Wręczył im klucze, pomachał dłonią i zniknął. Weszli do holu, gdzie za biurkiem siedział nieznajomy mężczyzna. Nowy ochroniarz. Podali mu dłonie, on odprowadził ich do windy. Włożyła klucz w szczelinę. Te same klucze, co wcześniej. Odwróciła się do lustra i uśmiechnęła. Hrafn pocałował ją w szyję, a ona bez mrugnięcia patrzyła na ich odbicie, z mdłym uśmiechem na ustach. Weszli do pustego mieszkania, obeszli je, kręcili się w kółko i machali rękami. Wstąpili do pustej sypialni, gdzie był tylko materac na podłodze, ten sam, który wcześniej leżał na łóżku. Dziewczyna zwała buty, ze śmiechem ułożyła się na materacu, a on obok niej. Ponad jego głową, w ścianie, widać było jej nogi — kostki, łydki, uda, skóra biała i gładka niczym marmur, prawie zlewająca się ze ścianą. Leżała obok niego i wcierała się w jego szyję, czuła jego woń, jego obecność w sobie, gdyż wciąż pozostawała wolna i kochała go i byli razem. Zasypał pocałunkami jej twarz i wszystko zaczęło drżeć i się zblurowało, a w środ-

270

ku tego nieładu znajdowały się jego oczy, zapalczywe i napuchnięte, ale jednak czułe, zbiegły się i zmieniły w księżyc rozjaśniający mgłę.

Wstała i wtarła zimną wodę w twarz, ściągnęła włosy z tyłu głowy i spojrzała na siebie w lustrze, na resztki samej siebie, zaczęła coś mruczeć do lustra, a potem znalazła się w telewizji, w wywiadzie dla programu Elly:

— Moim kolejnym gościem jest Eva Einarsdottir.

Eva właśnie miała premierę swojego filmu dokumentalnego zatytułowanego *Bal maskowy*, który jest... no właśnie, jaki? Film otrzymał niedawno nagrodę w Kalifornii, gdzie uznano go za największe dokonanie kobiecej kinematografii. Film opowiada o młodych kobietach, żyjących dzisiaj, może trochę jak popularna kilka lat temu książka *Dis*, pokazując, w jaki sposób płcie wciąż zmagają się ze sobą, wystawiają wzajemnie dla siebie sztuki teatralne, odgrywają swoje role i... ippo prostu grają, może trochę jak w *Mężczyźni są z Marsa*, a kobiety z *Venus*... Ten film jest wielki, Evo, witaj u nas w programie.

— Dziękuję.

— I gratuluję filmu...

— Dzięki, dzięki!

— Powiedz, kiedy człowiek ogląda ten film, zadaje sobie pytanie: Czy fajnie było go kręcić, tak pełen jest szczęścia, radości życia, to w jaki... w jaki prosty

271

sposób pokazujesz tę walkę płci. I człowiek zaczyna myśleć: „Jasne! Tak to właśnie wygląda! Prawie niewiarygodne, że człowiek potrafił sobie skomplikować te stosunki...”. Jakby człowiek szybował wysoko nad ziemią i patrzył z góry na nas, na ludzi, na społeczeństwo. Zupełnie jakbyśmy byli zwierzętami, jakby to był program o zwierzętach...

— Tak, to fajne. Nie ty pierwsza tak uważasz.

— A poza tym jest w tym wyraźna dynamika, fabuła prawie, do jakiej człowiek nie jest w dokumentach przyzwyczajony, nie takiej wyraźnej, zakończenie było...

— Ciii... Uważaj!

— Cha cha. Tak, najlepiej zbyt dużo nie zdradzić.

Ale chciałam zapytać, jak ci się udało wyczarować tę prostotę? To jest raczej skomplikowana sprawa i na pierwszy rzut oka nie jest to coś takiego, co łatwo zamienić na film, prosty film, jaki zrobiłaś...

— Wszystko zaczyna się od scenariusza, w którym w pewnym sensie wytyczam kierunek, w jakim chcę pójść, opierając się na własnym doświadczeniu i po-

myślach. A potem zależy to także od rozmówców, jak bardzo gotowi są zachować uczciwość wobec samych siebie i widzów... A ja miałam szczęście, że oni... że oni zupełnie nie przybierali póz, po prostu byli jak... jak ludzie. Doskonale się odkryli!

— Ale namówić ludzi na to, by tak się zachowywali, wcale nie musi być łatwo, sama mam w tej materii doświadczenia z telewizji, to jedna z najtrudniejszych

272

rzeczy, jakie... A do tego pokazać to jeszcze w tak fajny sposób!

— Tak! Z początku miałam z tym kłopoty. Wydało mi się, że wywiady powinny być mądre, poważne, głębokie. Wystartowałam z ogromnym bagażem wiedzy na temat różnicy płci, historii ich walki, z tym wszystkim, co plątało mi się po głowie, jak jeszcze byłam nastolatką. Ta cała plątanina. Potem po prostu z tego zrezygnowałam, poczułam nagle, że wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Ale jak to przekazać? Człowiek tworzy sztukę tak, jak mówi... tak jak mówią ludzie! A jeśli ty chcesz mówić, powiedzieć coś, co komuś pomoże, to lepiej, żeby to było fajne, a nie skomplikowane. Tak to ujmijmy. Życie jest zbyt krótkie na komplikacje i nudę. Poza tym sama mam wielkie doświadczenie wyniesione z własnych rozmów z psychologami!

— Tak, na tym może skupimy się później. A kiedy podjęłaś decyzję, żeby nakręcić ten film?

— Właśnie. Dobre pytanie, dobrze, że mnie o to pytasz. Nieczęsto podczas wywiadów zadają ci tak trafne pytania! Na początku, kiedy zaczynałam w Akademii Sztuki, nigdy nie przyszło mi do głowy, że któregoś dnia zajmę się raczej dokumentalistyką niż, dajmy na to, happeningami czy instalacjami wideo. To po prostu samo się jakoś stało. Nigdy na przykład nie przyszłoby mi do głowy, że kiedyś zrobię film taki jak ten, że będzie w tym stylu, że ja będę tak szalenie polityczna. Ale to bardzo ważne, żeby znaleźć jakąś społeczną perspektywę w swojej sztuce, żeby człowiek mógł rozma-

273

wiać z ludźmi i żeby ludzie chcieli z tobą rozmawiać! I żeby ze sztuki był jakiś pożytek. Sądzę, że kiedy byłam młodsza, musiałam być bardziej niewzruszona, niosąc wszelkie troski tego świata na barkach, dopóki pewnego dnia nie postanowiłam ich zrzucić! Po prostu tak sobie postanowiłam i wiedziałam, że nikt tego za mnie nie zrobi, postanowiłam być szczęśliwa, szukać

ciekawych i fajnych rzeczy i robić wszystko, by uczynić życie przyjemniejszym!

— Albert Einstein powiedział kiedyś, że prawda nie może być skomplikowana, wszystko to, co jest prawdziwe, jest proste, jak i to, co piękne.

— Tak, tak sędzę. Myślę, że powinniśmy zaufać Einsteinowi! Prawda nie jest taka skomplikowana. Ale myślę, że kobiety często są dobre w dostrzeganiu prawdy, nawet jeśli nie zawsze potrafimy ją dalej przekazać tak jak mężczyźni.

— Nie, nie jesteśmy również bezczelne jak oni, ci kochasie.

Sala klaszrze.

— Tak, może dlatego — mówi Eva. — Rodzimy dzieci i myślę, że to doświadczenie łączy nas z naturą i samym życiem bardziej, niż ich kiedykolwiek coś złączy. Mamy głębię spojrzenia, którą powinniśmy pielęgnować.

Tu nastąpiła pauza. Eva została, a kolejny gość mościł się obok niej — czterdziestolatka, która niedawno zrezygnowała z pracy w banku i wyprowadziła się do Toskanii, gdzie otworzyła kawiarnię. Elly zawołała do kogoś za jedną z kamer, ale Eva nie zauważyła, do kogo.

274

Dziewczyna, która ją ucharakteryzowała przed programem, przyszła poprawić makijaż. Charakteryzacja była niczym maska, ściekająca pod wpływem temperatury telewizyjnych reflektorów, a pod nią czaiła się ta druga maska, chłodniejsza, bez wyrazu, nieruchoma i jakby spleciona z nią samą, a gdzieś jeszcze głębiej nie było nic, pusta perspektywa, nieosobista, bezideowa — to co przez jej twarz patrzyło na świat, było niczym obraz obrazu obrazu. I kiedy pauza już się kończyła, ułożyła mięśnie wokół ust w doskonałej imitacji uśmiechu i światła się zapaliły.

WIECZNOŚĆ

Usłyszała dzwonek telefonu w oddali, po raz ostatni spojrzała na siebie w lustrze, wyszła i odebrała, trzymała słuchawkę przy uchu, słuchając tego, co mówił jej mężczyzna, potem ją odłożyła, długo stała, przyglądając się pozytywnie na środku kuchennego stołu, jak pierwszego dnia, kiedy ją tu zamknięto, i nagle odniosła wrażenie, jakby czas się zatrzymał, jakby w ogóle nie istniał, najwyżej jako drobne fale na spokojnej i gładkiej powierzchni życia, choć w rzeczywistości nic się nie wydarzyło i nigdy nie wydarzy. Oczyma duszy widziała zdjęcie mężczyzny i kobiety w białym pokoju pozbawionym drzwi i okien, byli tam zawsze i nigdy i usta bezustannie

się poruszały, wmawiając ruch w świadomość, takt, czas, rzeczywistość, całe światy materii i uczuć, a potem było po wszystkim, najpierw zamilkło jedno z nich i odwróciło wzrok, przerwało to oszustwo i zaczęło drętwieć, na to drugie ożywiło się nagle, dużo gadało i szybko, z uczuciem, po czym także zaczęło drętwieć, kontury pokoju również zaczęły drętwieć i nic nie pozostało poza pozbawioną formy bielą, nic.

Wróciła do łazienki po flakonik z tabletkami, po czym usiadła przy białym, nienakrytym obrusem stole w salonie, na krześle nieco odsuniętym od stołu,

276

według jej wiedzy dla niej przeznaczonym. Wysypała zawartość flakonika na blat, przeliczyła tabletki i zaczęła je układać sobie w ustach, zrobiła krótką pauzę, by przynieść z kuchni szklankę wody, aby łatwiej jej było wprowadzić tabletki do organizmu, i kiedy ponownie zajęła miejsce, zdało jej się, że nigdy nigdzie indziej nie siedziała, tylko tutaj, wyciągnęła rękę i uniosła ją do ust, jakby ręką nie była już częścią jej samej, jakby była częścią maszyny, ramieniem połączonym z maszyną, która szumi.

Wchłonęła tabletki i wstała, udała się do sypialni i weszła w ścianę; zdało jej się, że przez chwilę miała mroczyki przed oczami, przeniknęła przez ścianę do sypialni po drugiej stronie. Obejrzała się przez ramię lub tak sobie pomyślała i przyjrzała się ścianie, białej, pustej, nienoszącej żadnych śladów formy, która z niej wyrosła, i weszła do mieszkania.

Pokój był pusty, ściany białe i sterylne, żadnych drutów czy sznurów, czy nawet gniazdek. Przy drzwiach dostrzegła ruch, to ktoś zaglądał do pokoju. Wygiął grzbiet i prychnął na nią. To tutaj się ukrywał, pomyślała sobie, gdy kot znów znikł gdzieś w głębi mieszkania.

Pokuśtykała do drzwi, a stamtąd do salonu, jasnego i białego. Ściany i podłoga emitowały coś, co przypominało szron. Dwie inne kobiety siedziały przy stole. Pokuśtykała do stołu i usiadła.

— Dzieło dokonane — ktoś szepnął; może ona, która dopiero co doszła do stołu, zrozumiała to jako ostatnia? Albo może był to tylko cichy szelest wieczności

277

kładącej się nad domem, nad trzema kobietami wokół stołu, plecy proste, palce dotykają rantu, wzajemne usytuowanie ciał wobec siebie — trójkąt doskonały; na stole przed nimi porozrzucane tabletki, małe białe tabletki, które mogłyby być guzikami do naciskania,

może usprawnioną klawiaturą dla sekretarek drugiej połowy XXI, XXII albo XXV wieku lub drobnymi, przeznaczonymi dla kobiet żetonami — jakby te kobiety zebrały się wokół stołu, żeby grać w grę, której, jak się później okazało, nie rozumiały, więc zrezygnowały, już nie patrząc na stół ani na siebie nawzajem, lecz prosto przed siebie, pomiędzy dwie pozostałe, na ściany, które je zamykają.

Spis rzeczy

CZEŚĆ I

Maska	7
Zmarła kobieta	13
„Zawsze jest chłopak...”	21
Program o północy na kanale 14	33
Spacer w deszczu	38
„Tu kończy się ucieczka”	54
Czerwone drzwi przeciwpożarowe	69
Marie i Grace	78
„Bajkowe życie Paris Hilton...!”	90
Robić sobie twarz	98
Cień	110
Mała dziewczynka na placu zabaw	114
Oczy konia	124

CZEŚĆ II

Miłość i sztuka	137
Jej nowe życie	143
Mała kobieta w szlafroku	148
Telewizor	152
Słaby, szumiący pojemnik	157
Trąby powietrzne i ptaki	160
Tajemnicze spotkania z bankiem Kaupthing	165
W masce	173
Lustro	178
Odnowione myśli o ucieczce	183
Z tłoczkami w uszach	188
Pies Lukas	194
Kobiety	205
W ścianie	215
Potajemna nocna podróż	218
Otwarcie	222
Mała dziewczynka	232
Gra	238
Wszystko się zmienia	242
Jak ją położyłaś?	245
Przez szklaną ścianę	250
Statua	259
Różowy pokój	262
Elly	268

